



*Iwona
Czarkowska*



Słomiana wdowa

WYSTĘPUJĄ:

Zuzanna Roszkowska – agentka nieruchomości, kobieta zdolna... do wszystkiego.

Michał Roszkowski – mąż Zuzanny, lekarz ze zdiagnozowanym kompleksem Otella.

Barbara Nowik – siostra Zuzanny, specjalistka od kuchni tajskiej i pierogów ruskich.

Joanna Roszkowska – teściowa Zuzanny, kobieta z temperamentem i nogą w gipsie.

Andrzej Mikulski — szef biura nieruchomości właściciel niezwyklej kolekcji krawatów.

Anita Deresz – służbowo: sekretarka, prywatnie: zbieraczka suchego chleba dla koni.

Karol Jagodziński – agent nieruchomości, posiadacz trzydziestoletniego malucha.

Peter Smith – właściciel zakładu pogrzebowego Zielony Karawan.

Leszek Kowal – emeryt, wielbiciel *Kapitana Sowy* oraz *Stawki większej niż życie*.

Józef Kowal – brat Leszka Kowala, który w dzieciństwie nie wypadł przez okno.

Alina Kowal – żona Leszka, jej największym marzeniem jest rozwód z mężem.

Joanna Jarzębska – sąsiadka Zuzanny i Michała, emerytowana motornicza tramwaju.

Paweł Gawel – policjant, który nie wierzy, że Michał nie bije swojej żony.

Rozdział 1

ZEGAR CIOCI JADZI, czyli...

DO CZEGO JEST ZDOLNA KOBIETA, KTÓRA CHCE WYJŚĆ ZA MAŻ

Zuzanna Nowik zamierzała zejść po rynnie z siódmego piętra, trzymając w zębach pantofle, kapelusz i torebkę. Tylko w ten sposób mogła zdążyć na własny ślub, który miał się odbyć za pół godziny w Ratuszu. Zanim przełożyła nogę przez barierkę balkonu, odwróciła się i spojrzała z nienawiścią na drzwi wejściowe. To, że nie mogła przez nie opuścić mieszkania jak normalny człowiek, zawdzięczała dwóm osobom. Pierwszą z nich była jej młodsza siostra Baśka, która wychodząc na dworzec po rodziców, przekreśliła klucz w zamku dwa razy. A drugą – narzeczony Zuzanny – Michał – świeżo upieczony lekarz, który miał słabość do domokrażców chodzących od mieszkania do mieszkania z wielkimi torbami i sprzedających odkurzacze, kołdry antyalergiczne i pejzaże z jeleniem na rykowisku. Od jednego z nich kupił niezawodny zamek do drzwi, który miał ich zabezpieczyć przed najbardziej pomysłowymi włamywaczami. Wystarczyło, wychodząc, przekreślić klucz dwa razy, właśnie tak jak zrobili tego ranka Baśka i włamywacz, który wszedł do mieszkania przez balkon albo po rynnie i nie mógł już z niego wyjść, bo drzwi nie dało się otworzyć od wewnątrz.

– Taaaaak – stwierdziła Zuza po powrocie do domu, oglądając nowy nabytek przyszłego małżonka. – A nie przyszło ci do głowy, że taki bandzior zamknięty w naszym mieszkaniu z nudów wyżre nam wszystko z lodówki i będzie przez cały dzień dzwonił na sekstelefony?

– Czepiasz się, Zu. Lodówka i tak jest zazwyczaj pusta a sekstelefony – zablokowane. A mamy przynajmniej gwarancję, że nam szafy nie wyniesie.

– I właśnie szkoda, bo przypominam ci, że chcemy kupić nową i będziemy musieli zapłacić facetom ze sklepu meblowego, żeby wynieśli starą. A tak, byłoby za friko.

– No to co? – zapytał Michał, robiąc zboląłą minę.

– Mam odkręcić ten zamek? Tylko nie wiem, czy potrafię. Ten facet, co mi go sprzedał, pokazał, jak zamontować, ale nie zapytałem, jak go zdemontować.

– Nie, kochanie, niech już będzie – odpowiedziała wtedy na odczepne. Dlatego teraz stała na balkonie, i szykowała się do zjazdu po zardzewiałej rynnie.

– Mama dobrze mi mówiła, że łapanie męża to ciężka harówka. Ale zapomniała powiedzieć, że niebezpieczna dla życia – westchnęła i weszła na kuchenny stółek, który postawiła obok barierki. W tym samym momencie na sąsiedni balkon wyszła pani Jarzębska, emerytowana motornicza tramwaju.

– Pani Zuzanno, co pani robi? – przeraziła się, widząc młodą sąsiadkę balansującą na taborecie.

– Nie mogę wyjść, pani Joanno. Baśka zamknęła drzwi i teraz tylko z klatki schodowej można otworzyć. A ja muszę być na ślubie za pół godziny!

– Spojrzała na zegarek.

– Jasny gwint, to już za dwadzieścia minut!

– A co, jest pani świadkiem? – zapytała zaciekawiona pani Jarzębska, opierając się o barierkę.

– Nie. Jestem panną młodą! – odpowiedziała Zuzanna i w tym momencie poślizgnęła się na taborecie i niewiele brakowało a przeleciałaby przez barierkę.

– Rany boskie, niech pani wreszcie zejdzie z tego krzesła, bo będzie nieszczęście! – krzyknęła sąsiadka. –I niech mi pani da klucze, to otworzę drzwi.

Po chwili Zu biegła już po schodach, ciągle z butami w ręce, bo zapomniała je włożyć. Wpadła do Urzędu Miasta i Gminy Zabrzeżno boso i w ostatniej chwili, a po trzydziestu minutach wyszła jako szczęśliwa mężatka i już w szpilkach, które wciągnęła na nogi przy dźwiękach „Marsza weselnego” Mendelssohna. Co prawda, okazało się, że pędząc na ślub, zapomniała zamknąć drzwi balkonowe, a ponieważ nad miastem przeszła burza z ulewnym deszczem, goście zaproszeni na skromne przyjęcie brodzili po kostki w wodzie. Nic jednak nie mogło zakłócić podniosłego nastroju tego dnia. Nawet fakt, że Zu dodała do sałatki jarzynowej tarty chrzan zamiast majonezu.

Młodzi małżonkowie zostali wreszcie sami w mieszkaniu. Zuzka z ulgą śmignęła do łazienki, podczas gdy Michał porządkował prezenty, którymi zostali obdarowani na tak zwaną nową drogę życia. Odłożył na bok kolejny czajnik, ciesząc się, że będą mieli teraz zapas, bo Zu puszczała z dymem średnio jeden tygodniowo, gdy w drzwiach do pokoju stanęła ONA.

– Wow! – gwizdnął świeżo upieczony małżonek na widok swojej połowicy odzianej w koszulkę, która więcej odkrywała niż zakrywała. Zuza rozpuściła włosy przefarbowane przed ślubem na kolor o tajemniczo brzmiącej nazwie „Jesienne złoto”, w przyпыływie dobrego humoru określony przez Michała jako „Jesienne błoto”.

– Tylko sobie nie myśl, że ja w tym będę zawsze sypiać. Tylko jedną noc, a później wracam do mojej zielonej flanelowej piżamy. Ta seksowna koszulka okropnie mnie gryzie!

– To chodź do mnie! Podrapię cię... – zachęcał Zużę Michał, po czym pociągnął żonę na łóżko.

Ale Zuza, zamiast romantycznie paść w jego ramiona, wyskoczyła z posłania jak z procy, bo tuż nad ich głowami rozległ się potworny dźwięk. Aż dziwne, że ściany nie runęły. Pewnie były solidniejsze niż mury pechowego Jerycha. A ludzie tak narzekają, że w PRL-u kiepsko budowali!

– Co to było? – Zuza opadła na fotel, gniotąc leżący na nim ślubny kapelusz.

– Chciałem ci zrobić niespodziankę... – Michał krztusił się ze śmiechu. – I jak byłaś w łazience powiesiłem na ścianie zegar od cici Jadzi.

– Misiek, zdejmij to natychmiast! Przecież my nie zaśniemy!

– A kto mówi o spaniu? – Michał wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. – Chodzi mi właśnie o to, żebyś nie spała...

– Kochanie, jako lekarz powinienś wiedzieć, że człowiek wytrzymuje bez snu najwyżej kilka dni. Jak nie chcesz szybko zostać wdowcem, to wyrzuć ten badziew przez okno.

Ale Michał stwierdził, że pewnie niedługo ciocia Jadzia ich zwizytuje, żeby sprawdzić, czy wyeksponowali odpowiednio prezent od niej.

– Nie można robić staruszce przykrości, nawet jeśli jest trochę szurnięta – tłumaczył.

– Zdrowo szurnięta. Inaczej by sobie w siedemdziesiątej wiosnie życia nie ufarbowała włosów na niebiesko. Jak ją dzisiaj zobaczyłam, to mało nie padłam. Dawaj ten zegar. Zawiniemy go w kołdrę i władujemy do wersalki.

Kłopotliwy prezent został wreszcie unieszkodliwiony.

– Dobrze, że nie mam słabego serca, bo padłabym na zawał. Jeszcze teraz mnie trzęsie, jak sobie przypomnę ten dźwięk. O cholera! – Dopiero teraz dostrzegła zgnieciony kapelusz na fotelu. Podniosła go i usiłowała bezskutecznie rozprostować. – No zobacz. Kompletnie zniszczony!

– I bardzo dobrze, kochanie! Skąd ty wytrzasnęłaś takie paskudztwo? W sklepie ze starzyzną?

– Nie, kazałam sobie zrobić specjalnie na nasz ślub. Podobny widziałam w albumie, który mi dałeś na gwiazdkę. No, nie pamiętasz? Tym z przedwojennymi pocztówkami.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz ubierać się jak własna prababka? Bardzo by mi się nie podobały wełniane pończochy, barchanowe majtki i flanelowe koszule. A teraz zdejmij wreszcie ten kapelusz, bo nie będzie ci potrzebny...

– I barchanowe majtki też mam zdjąć? – zapytała przekornie Zu.

– Koniecznie, a ja ci w tym pomogę...

Rozdział 2

TRAMWAJ WIDMO, czyli...

CZYM NAJLEPIEJ SKORUMPOWAĆ SŁUŻBĘ ZDROWIA

W taki dzień ludzie zastanawiają się, czy to oni zwariowali, czy może pogoda? No, bo jak inaczej wytłumaczyć, że w lutym słupek rtęci osiąga dwadzieścia stopni Celsjusza a słońce grzeje jak w maju? Zuzanna de domo Nowik primo voto Roszkowska w rozpiętym płaszczu i bez czapki wracała do domu. W każdej ręce dźwigała dziesięć kilo zakupów. Z ulgą zwała siaty pod drzwiami od windy i nacisnęła guzik... Nic... Nacisnęła jeszcze raz... Nic. Gdy nacisnęła po raz trzeci, winda pozostała nadal zamknięta na głucho. Za to drzwi jednego z mieszkań na parterze otworzyły się i wyjrzała zza nich głowa dozorczyń, niejakiej Katarzyny Michalskiej.

– Zepsuta. Jutro mają przyjść ze spółdzielni i naprawić – wygłosiła krótki urzędowy komunikat i zniknęła. Na korytarzu pozostała po niej tylko woń domowego rosółu, która ścigała Zuzkę aż do drugiego piętra. Na trzecim niestety aromat uleciał zastąpiony przez odór wydobywający się z niedomkniętego zsypu. Na piątym dołączyły kapuśniak i przypalone mleko. I wreszcie siódme piętro, drzwi mieszkania numer siedemdziesiąt dziewięć. Tutaj nie należało się spodziewać żadnych, bardziej lub mniej smakowitych, zapachów. Ale, ku zdumieniu Zuzy, po otwarciu drzwi...

– Placki ziemniaczane! – krzyknęła. – Uwielbiam placki ziemniaczane!

– Wiedziałem o tym! Doceń męża, który je dla ciebie przygotował. – Michał wychylił się z mikroskopijnej kuchni.

– Hm, hm – chrząknęła z namysłem. – To bardzo piękne, ale niestety niemożliwe, Michu... Nie mamy ani tarki do ziemniaków, ani patelni. No i

przede wszystkim nie mamy ziemniaków! Mów natychmiast, skąd wzięłeś te placki? Napadłeś na jakąś staruszkę?

– Zaraz napadłeś! Staruszka sama przyszła.

– A, to już wszystko rozumiem. Pani babcia sąsiadka wpadła, żebyś wypisał jej plik recept na wszystkie choroby świata, łącznie z przerostem prostaty. A placki to miała być łapówka. Ty uważaj, bo zaraz zapuka CBA i wyprowadzą cię w kajdankach, jak doktora G. – ledwo to powiedziała, gdy nagle za jej plecami rozległ się dzwonek domofonu. Zastygła przerażona.

– Zu, otwórz wreszcie! – rzucił z kuchni zniecierpliwiony Michał.

– A jak to naprawdę CBA?

– Jezzzu... Ożeniłem się z blondynką. To mama! Dzwoniła, że wpadnie z niespodzianką.

– Mam nadzieję, że ta niespodzianka będzie się nadawała do jedzenia, bo tego co wyłudziłeś od sąsiadki nie ma za wiele – powiedziała Zu, sięgając po trzeci placek. Pogryzła, mlasnęła z lubością i powiedziała: – Pyszne, po płostu pyszne placki.

– Nie mówi się z pełną buzią. – Michał uszczypnął ją w pupę.

W tym samym momencie rozległo się pukanie. Zuzka przełknęła kęs, roztarła pośladek i otworzyła drzwi, za którymi stała matka Michała.

– O, matko moja! – krzyknęła na jej widok Zu. – To znaczy, chciałam powiedzieć: O, matko mojego męża!

Mama wspinała się tu do nas na siódme piętro z nogą w gipsie? Że też akurat dzisiaj winda się zepsuła.

– To windę macie zepsuta? – zdziwiła się teściowa i weszła do środka, zamykając za sobą drzwi jedną z kul. – Nic nie wiedziałam.

Michu wychylił się z kuchni...

– Mamo, ty nawet nie próbowałaś wjechać windą, tylko od razu z tą nogą w gipsie na siódme piętro kuśtykałaś? Rany boskie, takie głupoty to może robić tylko matka albo żona lekarza.

– A ode mnie czego chcesz? Ja z gipsem nigdy nigdzie nie wchodziłam – oburzyła się Zu.

Michał już chciał odpowiedzieć, że przecież ona nigdy w życiu nic nie złamała, ale nie zdążył, bo...

– No właśnie, co się jej czepiasz? – poparła Zu jego matka. – A złamaną nogę trzeba rehabilitować, sam mi zawsze mówiłeś.

Michał zaczął się zastanawiać, czy już powinien walić głową w ścianę, czy może jeszcze poczekać...

– Ale dopiero jak się zrośnie, jak się zrośnie, kobiety!

– E tam... – Machnęła ręką teściowa. – Czepiasz się szczegółów. Teraz pójdę sobie na dół, to mi będzie łatwiej. Zeskoczę po jednym stopniu.

– Tylko żebyś przy okazji drugiej nogi nie połamala. A w ogóle, to jak tę pierwszą złamałaś?

Joanna Roszkowska opowiedziała im historię o tym, jak to biegła za tramwajem, bo spieszyła się do lekarza. Potknęła się o wystającą płytę chodnikową i złamała nogę

– A gdzie to było? – dopytywał się Michał.

– Na Kolorowej – odpowiedziała.

– Acha. – Michał kiwnął głową i sięgnął po talerz do szafki kuchennej. Otworzył drzwiczki i znieruchomiał. Odwrócił się i spojrzał podejrzliwie na swoją matkę. – Kolorową od pół roku tramwaj nie jeździ, bo jest remont. Tory rozebrali. Coś kręcisz, mama...

Zu wiedziała, że Michał bywa upierdliwy i nie miała wątpliwości, że będzie prowadził śledztwo tak długo, aż wyciśnie ze swojej matki całą

prawdę na temat okoliczności, w jakich złamała nogę. Natychmiast ruszyła z odsieczą teściowej. Po minie matki Michała widziała bowiem, że za gipsem na jej nodze kryje się tajemnica, której z jakichś dziwnych powodów nie chce zdradzać synowi.

– No co się czepiasz? – odezwała się do Michała. – Nie jeździ, nie jeździ... A może akurat jakiś przejechał, bo się motorniczy pomylił albo co? Ja może wezmę tę torbę od mamy. A co tam jest w środku?

Teściowa spojrzała z wdzięcznością na synową i natychmiast skorzystała z okazji do zmiany tematu.

– A to placki kartoflane są. Spróbuj! – Zachęcona Zu sięgnęła po placek a teściowa kontynuowała. – Była u mnie dzisiaj Zosia Lewandowska i przyniosła .Lidzia smażyła. Na oliwie z oliwek.

Zuzka wydała głos, jakby się właśnie udławiła plackiem kartoflanym wyprodukowanym przez byłą narzeczoną jej aktualnego męża.

– Nie smakują ci? Nic dziwnego. Lidzia koszmarnie gotuje! – skwitowała teściowa, rewanżując się za to, że Zu uratowała ją przed śledztwem w sprawie gipsu.

– Taaaak? – zdziwił się Michał. – O ile pamiętam, to zawsze zachwycałaś się tym, co ona gotowała i piekła.

– Zdawało ci się. Pewnie tak tylko mówiłam, żeby bidulce nie było przykro. – I teściowa już chciała dodać coś na temat wspaniałych umiejętności kulinarnych Zu, ale w porę wyhamowała, bo to już byłaby lekka przesada.

– Placki pani babci sąsiadki naprawdę były lepsze od tych glutów Lidzi. Pozwalam ci, żebyś się w niej zakochał – powiedziała Zu po wyjściu matki Michała.

–W Lidzi? – zdziwił się Michał.

– Nie! W Pani Jarzębskiej z naprzeciwka. – To już z dwojga złego wolę ciebie, wyliniały rudzielcu.

– A dziękuję ci bardzo, ty niedouczony cyruliku!

– A proszę cię bardzo, ty zołzo biurowa!

I pewnie dalej prawiliby sobie czułości, ale przerwał im dzwonek telefonu.

– Tu zespół męskich striptizerów – rzucił do słuchawki Michał. – A, to ty Paweł. Co jest? Niiieeeee... Zadzwoń do kogoś innego... Nie żartuj! Sto pięćdziesiąt tysięcy bab i chłopów w mieście i ani jednego lekarza? To ludzie zdrowsi będą... No, dobra, dobra... Za godzinę.

– Nie chcę nawet słyszeć, że znowu idziesz na dyżur – nadała się profilaktycznie Zuza.

– Muszę. Patryk zachorował na gripę.

– Ja też mam gripę – stwierdziła Zuza i na dowód głośno wysmarkała nos. – Może nawet umrę.

– To możliwe. – Michał pochylił nad żoną swoje sto dziewięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i pocałował ją w sam czubek zasmarowanego nosa. – Nie od dzisiaj wiadomo, że żony szewców chodzą bez butów, a żony lekarzy umierają młodo. Ale jedno mogę ci obiecać. Jeśli zrobisz zejście śmiertelne, przyślę ci najlepszego patologa w tym mieście. W końcu ma się te znajomości!

Gdy wychodził, żona (na znak protestu) wysmarkała nos z takim impetem, że zagrzechotały talerze w kuchennej szafce. A później kilka razy głośno kichnęła. Pani Jarzębska była przekonana, że zanoszą się na burzę i zaczęła zwiijać z balkonu suszące się barchanowe majtki.

Rozdział 3

MIESIĄC MIODOWY, czyli...

JAK ZAPRZYJAŻNIĆ SIĘ Z KARALUCHAMI

Zuza przeleżała dwa tygodnie w łóżku nie z mężem, jak na miesiąc miodowy przystało, ale z koszmarnym przeziębieniem. Michała wyrzuciła do drugiego pokoju już pierwszego dnia.

– Jak się oboje rozłożymy, to zdechniemy z głodu, bo nawet zakupów nie będzie miał kto zrobić – argumentowała racjonalnie, wręczając swojej drugiej połowie poduszkę i kołdrę.

– Mamusia przyjdzie i będzie się nami zajmować – bronił się Michał, usiłując bokiem wślizgnąć się do łóża małżeńskiego.

– Kuszająca perspektywa. Gdzie mi się tu ładujesz? – krzyknęła Zuzka.

– Teraz jest separacja od łóża! Do drugiego pokoju, marsz! I to już!

– To ja poproszę o nałożnicę! Nie wytrzymam takiej abstynencji...

– Wytrzymasz, wytrzymasz... A ja się przynajmniej wyśpię.

Po dwóch tygodniach ciągłego leżenia, oglądania przedwojennych pocztówek i spania Zuzka nie czuła się co prawda komfortowo, ale uznała, że jak jeszcze jeden dzień spędzi w łóżku, to dostanie tak zwanego pierdolca. Zwlokła więc zwłoki z wyra i poczołgała się do pracy. Gdy tylko stanęła w drzwiach Agencji Nieruchomości Cztery Kąty, już wiedziała, że to nie był dobry pomysł...

– Witamy świeżo upieczoną żonkę – wycedził szef, na którego oczywiście musiała się zaraz natknąć. – Jak tam miesiąc miodowy? Coś długo trwał.

– Byłam przeziębiona – chciała powiedzieć, ale Mikulski tylko trzasnął drzwiami do gabinetu.

– A temu co się stało? – zapytała, wchodząc do pokoju.

– Nawet nie pytaj. Chodzi zły jak osa – Karolek ściszył głos konspiracyjnie. – Komornik zajął mu konto. Wiesz, za te alimenty, o które wyklóca się z dwoma byłymi żonami. Od dwóch dni nie może tego odkręcić.

– Aha – stwierdziła bez emocji Zuzka, która jakoś nie mogła wczuć się w tragiczną sytuację szefa. Stan jej konta był zazwyczaj tak żaloszny, że nie musiała się obawiać żadnych komorników, bo i tak nie mieliby co zająć. No i jak na razie nie miała ani jednego byłego męża. – Macie coś ciekawego?

– Tak. – Do pokoju weszła, a raczej wtoczyła się jak małe działo samobieżne Anita, podpora całej agencji, zbliżona gabarytami do przęsła Mostu Brooklyńskiego. – Masz być za godzinę u klientki. Kobita upierała się, że jeszcze dzisiaj musi być u niej ktoś z agencji, bo chce jak najszybciej sprzedać mieszkanie.

– Taaak... A jutro się rozmyśli. Znam takie dziunie – mruknęła wrogo Zuzka, wciągnęła z powrotem płaszcz na grzbiet i ruszyła do wyjścia. Traf chciał, że Mikulski właśnie otworzył drzwi do gabinetu.

– A ty co? Już wychodzisz? Nie przepracowałaś się dzisiaj! A potem wam się marzą podwyżki, premie, nagrody, bonusy, emerytury! Biercie się do roboty, kryzys jest!

– Ale ja idę do klienta! A na emeryturę jeszcze się nie wybieram – chciała powiedzieć Zu, ale drzwi zatrzasnęły się z powrotem.

Stanowczo to nie był jej dobry dzień. Dochodziła do przystanku, gdy odjechały z niego trzy tramwaje. Na następny czekała dwadzieścia minut, z minuty na minutę nasiąkając deszczem jak gąbka. Wreszcie dotarła na miejsce. Klientka mieszkała w bloku z wielkiej płyty. Zuza wspięła się na trzecie piętro i stanęła twarzą w twarz z ponurą kratą...

Samobójcy... – pomyślała. – Jak wybuchnie pożar, to na pewno nikt nie będzie mógł znaleźć klucza od tej kraty.

Najwidoczniej lokatorzy (podobnie jak jej mąż) bardziej od pożaru bali się złodziei, którzy mogli im ukraść starą szafę. Ale mieli w głębokim poważaniu tych, którzy dybali na ich bezcenne dane osobowe, bo z boku kraty był dzwonek ze starannie wykaligrafowanym nazwiskiem.

– „Alina i Leszek Kowalowie”... – przeczytała półgłosem i zadzwoniła. W głębi mieszkania rozległo się człapanie. Po chwili, za kratą stanął mężczyzna, na oko siedemdziesięcioletni, wysoki i chudy...

– Dzień dobry. Jestem z agencji nieruchomości – przedstawiła się.

– A, tak. – Staruszek skrzywił się, jakby mu oznajmiła, że jest komornikiem, po czym otworzył kratę i poprowadził ją do mieszkania. – Proszę, proszę... Żona czeka na panią od rana. Pozwól, Alinko... To jest pani z agencji nieruchomości. Proszę, niech pani usiądzie.

Zuza usiadła na fotelu z okresu wczesnego Gierka, który jeszcze kilka lat temu mógłby zostać uznany za kompletny grat. Ale ostatnio zapanowała moda na socrealistyczne meble i wartość fotela mocno wzrosła.

– Zgłosili państwo mieszkanie do sprzedania. Rozumiem, że chodzi o to mieszkanie... – zaczęła profesjonalną rozmowę i rozejrzała się dyskretnie po gospodarstwie państwa Kowalów. Co prawda, dużo do oglądania nie było... Jeden pokój i kuchnia, którą mogła zobaczyć przez niedomknięte drzwi. Stare meble, parkiet odarty do cna z lakieru. Za ogromnym oknem ciągnącym się przez całą długość pokoju było widać wieżowce.

– Ja to wcale nie chcę sprzedawać – odezwał się pan Kowal. – Ale żona się uparła. Wymyśliła sobie, że się ze mną rozwiedzie i musimy mieć dwa oddzielne mieszkania. Po czterdziestu pięciu latach małżeństwa.

– Czterdzieści pięć wystarczy – odezwała się ciemnowłosa, wysoka i szczupła pani Alina. – Zapowiadałam ci od dawna, że to zrobię, jak tylko Kasia się wyprowadzi. To nasza młodsza córka. Teraz wyjechała do Londynu, a ja mogę rozpocząć nowe życie! Nareszcie możemy się rozwieść. Sprzedamy to mieszkanie, kupimy dwa mniejsze i w końcu będę miała święty spokój. Na starość nikt mi nie będzie wypominał, że od rana do wieczora oglądam moje ulubione angielskie seriale kryminalne w telewizji... Jak szybko może pani sprzedać to mieszkanie?

– Trudno powiedzieć. – Zuza mogła teraz mniej dyskretnie rozejrzeć się po mieszkaniu. – Generalnie, mieszkanie do wymiany?

– Tak, tak – przytaknął skwapliwie pan Kowal. – I jeszcze pani powiem, że lufcik w kuchni musieliśmy zabić gwoździami bo wypadł na zewnątrz i raz o mało sąsiadki nie zabił. Krany przeciekają, z kuchenki ulatnia się gaz, a w kuchni są karaluchy! O, taaakie wielkie! Rzucają się na ludzi – dodał ze zgrozą, przemilczając fakt, że on sam dokarmił te karaluchy, żeby nikt nie zechciał kupić mieszkania.

– Takie rzeczy często nie mają dla kupujących znaczenia – stwierdziła Zuza ku rozpaczy pana Leszka. – Dla nich liczy się lokalizacja. No, wie pan... Kran i wannę mogą wymienić, karaluchy wytłuką, ale domu nie przeniosą do lepszej dzielnicy. Widzę tylko jeden problem... Państwo chcą kupić dwa mieszkania. Jak duże, za ile?

– Małe, bo niestety nie mamy żadnych oszczędności – przyznała z niechęcią pani Alina. – Liczyliśmy, że po sprzedaży tego mieszkania uda nam się kupić dwa mniejsze.

– Ale tutaj nie ma więcej niż trzydzieści pięć metrów kwadratowych – stwierdziła Zuza.

– Dokładnie trzydzieści trzy – sprecyzował pan Leszek z satysfakcją.

– Trzydzieści trzy i pół – poprawiła go żona i zabrała mu sprzed nosa talerz z ciastkami, mówiąc z ponurą satysfakcją: – Lekarz ci zabronił. Masz cukrzycę!

– Najmniejsze kawalerki mają po osiemnaście metrów kwadratowych – kontynuowała Zu. – Na dodatek, mniejsze mieszkania są zawsze droższe. Trzeba będzie sporo dopłacić. No i jeszcze dojdzie prowizja agencji, taksa notarialna i parę innych rzeczy.

– Był tu pan z agencji Zacisze i powiedział, że bez problemu dostaniemy kredyt. Nawet dwieście tysięcy – rzekła z urazą pani Alina. – Jeśli pani agencja nie chce sprzedać naszego mieszkania, to zadzwonimy do niego.

– Powiedział, że dostaną państwo kredyt? A jakie państwo mają dochody?

– A co to panią obchodzi? – oburzył się pan Leszek. – Mamy oboje emerytury. Żona osiemset złotych, a ja tysiąc dwieście.

– To sporo – stwierdziła Zuza, klnąc w duchu parszywą hienę z konkurencyjnej agencji, która chciała wrobić sympatycznych starszków w niespłacalny kredyt. – W takim razie moja agencja chętnie podpisze z państwem umowę. Tu mam formularze i proszę już nie dzwonić do innych agencji.

– A na koniec dali mi cztery słoiki dżemu z jabłek i trzy kilo ziemniaków z własnej działki. Myślałam, że mi ręce odpadną jak to targałam do domu. Jak już wchodziłam do klatki, to mi uszy w torbie puściły i kartofle się rozsypały. Zbierałam chyba z kwadrans. A jutro szef mnie opierdzieli, że podpisałam umowę z tymi emerytami. Super dzień... Nic, tylko się powiesić – opowiadała wieczorem Michałowi.

– Ja miałem jeszcze lepiej. Dałem jednej babinie maść na egzeme. Ale baba była przygłucha, nie zrozumiała mnie i całą maść zżarła.

– I co? Nie żyje?

– Ale skąd! Żyje, ma się wyśmienicie i na dodatek egzema jej zniknęła. Teraz chodzi po szpitalu i opowiada, że wszyscy lekarze to niedouczone konowały. Chyba będę musiał wyjechać do Londynu, bo tu jako lekarz jestem skompromitowany.

Zuza zastygła nad garnkiem z zupą pomidorową z kartonu, którą właśnie odgrzewała. W tym pozornie żartobliwym zdaniu było coś, co ją zaniepokoiło.

– Czy ty mi chcesz coś powiedzieć? – zapytała, wchodząc z talerzami do pokoju. – Wybierasz się do Londynu? Faktycznie, niezły dowcip! Chyba znasz moje zdanie. Nie, nie i jeszcze raz nie! Rozmawialiśmy o tym dziesiątki razy.

– Widzę, że masz kiepski humor, Zu. Pogadamy kiedy indziej. – Michał objął ją i przyciągnął do siebie.

– Nie, dlaczego? Mam bardzo dobry humor i możemy rozmawiać. – Zuzka stanęła za stołem niczym za barykadą. – Wiesz, że pomysł z wyjazdem nigdy mi się nie podobał. Od miesiąca częściej słyszę „Londyn” niż „Kocham Cię, Zu”.

– Kocham cię, Zu. Zrozum, że ten Londyn, to dla nas szansa!

– I na co to niby ma być szansa? Na życie osobno, seks przez telefon i rozwód za dwa lata? Wiesz przecież, że ja z tobą nie pojedę. Nie mówię po angielsku. I co tam będę sprzedawać? Big Bena czy Tower? Nikt mi nie da roboty. A może wyobrażasz sobie, że będę siedzieć w domu i godzinami przeglądać fora internetowe dla żon emigrantów? I po dwóch tygodniach

zapomnę, jak się mówi i pisze po polsku. Zamiast „moim zdaniem” będę pisać BTW.

– BTW to znaczy „tak przy okazji”. AIMHO albo IMO to „moim zdaniem”.

– No widzisz, że nie mam tam czego szukać!

– Przecież nie chcę cię zmuszać do wyjazdu. Rozstaniemy się tylko na krótko. No, kocie–Zuzocie... Na krótko. Zgódź się!

– Ale ja nie chcę nawet na pięć minut, Michu! – Zuzka wtuliła się w rękaw swetra Michała.

TTLRR

Rozdział 4

NIEMIECKI SEDES, czyli...

JAKIE MOGĄ BYĆ SKUTKI WIZYTY DWÓCH MĘŻCZYŹN Z DRABINĄ

– Zadzwoń natychmiast, jak tylko dolecisz. Obiecujesz?

– Oczywiście. Będę dzwonił codziennie wieczorem, żeby sprawdzić, czy siedzisz w domu. Nie próbuj mnie zdradzać, bo jak się dowiem, wrócę natychmiast, uduszę cię, a twojego gacha zastrzelę. – Michał dał żonie całusa w czubek nosa.

– Chyba z procy. Pewnie jutro o mnie zapomnisz. Zaraz cię dorwie jakaś napalona Angielka.

– No co ty! – skrzywił się Michał. – One są koszmarnie brzydkie. Podobno wszystkie mają pryszcze i wystające zęby jak koń.

Jakaś kobieta przechodząca obok spojrzała z dezaprobatą.

– Upsss... – Michał zachichotał. – Chyba Angielka.

– Taka brzydka, że pewnie tak – zgodziła się z nim żona i zaczęła się śmiać.

– No, nareszcie przestałaś się smęcić. Głowa do góry, Zu. Przyłecę niedługo.

Chciał coś jeszcze dodać, ale nagle na peron wtoczył się pociąg.

– Wracaj szybciotko do domu! – Michał przytulił ją raz jeszcze i wskoczył do wagonu.

Zuzka chciała powiedzieć, że nie chce, że tam jest pusto, że się nie zgadza. Ale z drugiej strony wiedziała, że na to wszystko jest już za późno. Dała się mężowi przekonać do pomysłu z wyjazdem i teraz żadna, nawet najbardziej dramatyczna, scena na dworcu nie mogła już tego zmienić.

– No to chyba pójdę – powiedziała, starając się zapanować nad drżącym głosem.

Jeszcze ostatni pożegnalny pocałunek, ostatnie dotknięcie rękawa jego kurtki i została sama. Wokoło przebiegali ludzie, a ona stała na środku peronu. Sama nie wiedziała, na co czeka. Może on się rozmyśli i wyskoczy z pędzącego pociągu? A może w ostatniej chwili pociąg się zepsuje... Albo maszynista z konduktorem ogłoszą strajk... Ale nic takiego się nie wydarzyło. A przecież w telewizji ciągle mówili, że wszędzie strajki i blokady!

W drodze powrotnej ugrzęzła w korkach i dotarła do domu dopiero po dwóch godzinach. Na schodach zaczepiła ją pani Jarzębska.

– Dobrze, że panią widzę. Byli dzisiaj z administracji, ale nikogo u państwa nie zastali.

– Tak? – zdziwiła się Zuza i choć jej to zupełnie nie interesowało, zapytała uprzejmie: – A czego chcieli?

Sąsiadka tylko czekała na to pytanie:

– Będą nas remontować. Bo, wie pani, jak nasz dom budowali, to miało być pięć pięter. Ale mieszkań brakowało, to dołożyli jeszcze dwa. I teraz to się wszystko może niedługo zawalić.

Tu pani Jarzębska zrobiła stosowną pauzę, dając swojej słuchaczce szansę na wydanie okrzyków grozy. Ale się ich nie doczekała, bo Zuza właśnie w myślach startowała z Okęcia i nie miała bladego pojęcia, o czym mówi sąsiadka. Ta jednak kontynuowała niezrażona:

– No to spółdzielnia będzie teraz wstawić na piątym i siódmym piętrze takie specjalne żelazne sztaby, żeby wzmocnić tę, no... konstrukcję budynku. I to ma iść przez moje i pani mieszkanie. Podobno to w Niemczech wymyślili. Jak w Niemczech, to chyba solidne. Jak pani myśli?

Ja ma niemiecki sedes w łazience i on wytrzymał już trzydzieści lat. Ci ze spółdzielni pytali, czy się państwo zgadzają i czy mogą przyjść jutro z rana?

– Z sedesem? – zdziwiła się Zu.

– Nie, no skąd z sedesem. Z remontem, przecież pani mówiłam... Że z administracji...

– A tak, tak, oczywiście... Do widzenia. – Zuzka marzyła teraz tylko o tym, żeby zostać sama. Skorzystała więc z krótkiej pauzy w wypowiedzi sąsiadki i zamknęła drzwi.

Usiadła na łóżku i wpatrywała się w dziurę, którą zrobiła jej siostra Baśka, rzucając żelazkiem w siedzącego na ścianie pajaka.

– Nie mam męża, mam za to dziurę w ścianie i siostrę wariatkę, która ma arachnofobię i na widok maleńkiego pajaczka dostaje ataku hysterii, i demoluje mi mieszkanie – użalała się nad sobą Zu. Po dwóch godzinach zasnęła i oczywiście natychmiast miała koszmarne sen...

Budzik dzwoni jakby oszalał. Ona otwiera oczy z ogromnym wysiłkiem. Za oknem leje tak, że nie widać sąsiedniego bloku. Spogląda na zegarek i...

– O rany! Michał, wstawaj! Zaspaliśmy! Już dziewiąta! Źle nastawiłam budzik – wrzeszczy i ściąga kołdrę z męża. Ale zamiast niego leży tam... Lidzia. Uśmiecha się jadowniczo i mówi: – Ja nigdy bym nie nastawiła mężowi źle budzika, bo ty złą kobietą jesteś!

Zuzka obudziła się przerażona i usiadła na łóżku. Deszcz lał identycznie jak w jej śnie. I tak samo dzwonił budzik. Na szczęście nigdzie nie było widać Lidzi.

– Ale Michała też nie ma – po tym stwierdzeniu Zu miała ochotę z powrotem wleźć pod kołdrę i nie wychodzić z łóżka przez cały dzień, a może nawet przez resztę życia. Niestety, realizację tego genialnego planu

uniemożliwiło jej upiorne dzwonienie. Pacnęła wyłącznik budzika, ale to nic nie dało.

– O, cholera! To do drzwi! – zerwała się z łóżka.

Na klatce schodowej stało dwóch facetów i jedna drabina.

– Byliśmy umówieni dzisiaj na ósmą – odezwał się ten w pomarańczowych ogrodniczkach. – Zaczynamy remoncik!

– Ale ja się z panami nie umawiałam! To jakaś pomyłka! – zaprotestowała Zuza i już zamierzała zatrzaskać fachowcom drzwi przed nosem i wrócić do łóżka, ale nagle drzwi naprzeciwko otworzyły się i zza nich wyjrzała pani Jarzębska.

– To ci panowie ze spółdzielni, co nas będą remontować. Mówiłam pani, jak ześmy się wczoraj spotkały na schodach. Powiedziała pani, że mogą przyjść w środę i ja tak przekazałam dozorczyńni.

Zuzie nareszcie coś zaczęło świtać.

– No dobrze. Jak panowie muszą... – westchnęła zrezygnowana.

Fachowcy już zamierzali wtargnąć do przedpokoju...

– Ale za godzinę. – I zatrzaskała drzwi.

Gdyby wiedziała, co ją czeka, nie otworzyłaby ich do końca życia. Zabiłaby gwoździami, zastawiła szafą, zamurowała. Ale ona nieopatrznie o godzinie dziewiątej wpuściła do mieszkania „fachowców”, którzy okazali się być ekipą nie remontującą, ale rujnującą. Wparowali z wielkim młotem i bez ostrzeżenia zaczęli rozwalać ściany. Meble, podłogi, okna – wszystko natychmiast pokryło się białym pyłem. Wszędzie leżały tony gruzu. Na szczęście, około południa fachowcy postanowili zrobić sobie przerwę na obiad. Wzięli swój młot i ulotnili się, zapowiadając jednak, że niebawem wrócą. Ledwo wyszli, a zadzwonił telefon. Może nawet dzwonił od dłuższej

chwili, lecz Zuzka nie słyszała go w tym piekielnym hałasie. Podniosła słuchawkę, ale ktoś po drugiej stronie właśnie się rozłączył.

– To na pewno Michał! – ucieszyła się i zaczęła powtarzać to zdanie w myślach, licząc, że dzięki telepatii ukochany usłyszy ją na drugim końcu Europy: – Zadzwoń jeszcze raz! Zadzwoń jeszcze raz!

I stał się cud – sygnał rozległ się ponownie. Zuzka rzuciła się na słuchawkę jak wygłodniała lwica:

– Halo? To ty?

– Tak, to ja – usłyszała po drugiej stronie głos Karolka, kolegi z pracy.

– Szef kazał mi do ciebie zadzwonić i zapytać, czy dzisiaj będziesz w robocie?

– Cholera! Dzwoniłam do niego rano, ale nie odbierał komórki. Powiedz mu, że mam remont i będę jutro, jak sobie załatwię kogoś do pilnowania robotników.

– To mu się nie spodoba. Lepiej mu powiem, że terroryści wysadzili ci chałupę, to może cię nie wyrzuci. Cześć, do jutra.

Zuzka odłożyła słuchawkę i rozejrzała się po mieszkaniu.

– Po wybuchu bomby chyba lepiej by tu wyglądało – jęknęła i zabrała się do sprzątnięcia gruzu. Wynosiła wiaderka do zsypu przez dwie godziny, wreszcie padła zmęczona na fotel. Bolały ją ręce, głowa pękała od huku młota.

– A niech to jasny gwint! – wrzasnęła i kopnęła plastikowe wiaderko, z którego wysypał się gruz pracowicie zebrany z podłogi. A potem rozplakała się i ryczała aż do północy. Z wściekłości na rozwalaczy ścian nasłanych przez spółdzielnię. Z wściekłości na Michała, który ją z tym wszystkim zostawił. I z wściekłości na cały świat. Wreszcie zasnęła i przyśnił się jej

mąż imprezujący w jakiejś knajpie w Soho w towarzystwie państwa Kowalów...

TTLR

Rozdział 5

PRAWDZIWI PRZYJACIELE, czyli...

JAK POZBYĆ SIĘ SZYBKO TONY GRUZU Z MIESZKANIA

– Słuchaj, musimy jakoś rozruszać Zużę. – Karolek wszedł rano do kuchni, gdzie na stole siedziała już Anita i wlewała w siebie hektolitry kawy. – Odkąd została słomianą wdową, bez przerwy chodzi naburmuszona. Zróbmy jakąś imprezę.

– Ale gdzie? – Anita puknęła się w głowę. – Masz jakąś wolną chatę? U mnie matka i siostra z dzieckiem. A u ciebie trzeba by najpierw trzy dni sprzątać.

– No, jak to gdzie? U Zuzy oczywiście!

– No, na pewno się zgodzi! Już to widzę!

– Nie będziemy jej pytać. Kupujemy wino i jedziemy zaraz po pracy. Wiesz, gdzie ona mieszka?

– Na Parkowej – odezwała się odruchowo Anita i natychmiast pożałowała. – Ale nie mów jej, że wiesz ode mnie. Ona mnie zabije!

W tym momencie do kuchni weszła Zuzka. Przecisnęła się do szafki i zrobiła sobie kawę. Anita przyjrzała się jej uważnie.

– O, farbowałaś włosy. Siwe są teraz modne. Może też sobie takie zrobię?

– No co ty? Ona posiwała z tęsknoty za swoim mężulkiem. – Roześmiał się Karol.

– Wiecie co? Zejdźcie ze mnie, bo mi duszno – poradziła im Zuzka. Odruchowo przejrzała się w szklanym blacie stolika i pomyślała: Cholerny kurz! Faktycznie wyglądam, jakbym posiwała. – Zbierajcie się lepiej, bo szef już parkuje. Jak nic, pojedzie wam po premii za obijanie się.

Wyszła z kuchni. Wszyscy pozostali spojrzeli po sobie.

– Czy masz jeszcze wątpliwości, że coś trzeba z nią zrobić? Niedługo będzie taka zołzowata, że z nią nie wytrzymamy. Kawę nam zacznie wydzielać, stoperem czas na lunch odmierzać. A kto wie, może i donosić na nas szefowi? Zbiórka przed budynkiem pięć po czwartej. A teraz faktycznie trzeba się ewakuować do roboty. No, szybko, szybko kobieto!

– Znalazł się ten najbardziej pracowity – mruknęła Anita i zeskoczyła ze stołu. – Siebie lepiej pogoń, trutniu jeden.

Gdy po chwili szef zajrzał do kuchni, nie zastał tam nikogo. Cała ekipa siedziała przy biurkach i pracowała jak mrówki. Zadowolony zamknął się w swoim gabinecie.

– No, to rozumiem. Nareszcie do nich dotarło, że w tym kraju nie jest tak łatwo o robotę, jak się wszystkim wydaje i przestali się obijać. Jakaś korzyść z tego kryzysu jednak jest.

Pewnie byłby bardzo rozczarowany, gdyby znał prawdziwą przyczynę pracowitości swojego zespołu. Karolek i Anita chcieli po prostu wyjść punktualnie o czwartej na zaplanowaną imprezę u Zuzki.

Ta ostatnia bardzo się zdziwiła, otwierając im o piątej drzwi.

– Żartujecie, prawda? – powiedziała z nadzieją w głosie.

– No co ty? – oburzył się Karol. – To jest bardzo poważna sprawa. My tu przyszliśmy z urzędową misją. Chcemy ci pomóc! Zgodnie z najnowszymi dyrektywami Unii Europejskiej.

– Super! W takim razie zapraszam do środka. Wchodźcie wszyscy. Tylko uważajcie, bo...

Nie zdążyła dokończyć, rozległ się bowiem potworny łomot. Karol wdepnął w plastikowe wiaderko z gruzem, które stało za drzwiami.

– ...bo wdepniecie w wiaderko z gruzem...

– Cholera, kobieto! Co ty tutaj robisz? Ściany rozwalasz?

– Ciepło, ciepło. Ładujcie się do środka. Patrzcie pod nogi. Anita, nie zapłacz się w kable od telefonu. Zwisają nad drzwiami...

Goście rozglądali się zdezorientowani po mieszkaniu, które wyglądało, jakby zapomniano je odbudować po bombardowaniu w 1939.

– Słuchaj, Karolek. – Anita szturchnęła kolegę. – Miałeś doskonały pomysł z tym, żeby odwiedzić Zuzę. Pomożemy w sprzątaniu. Zuzka, dawaj kubły i szczotki. Karolek wnosi gruz, my łapiemy się za ściery.

– To był pomysł Karolka? Dziękuję ci bardzo. A jak już jesteś taki miły, to wystaw może jeszcze na korytarz tę komodę z przedpokoju. Ciężka jest jak cholera!

Po dwóch godzinach harówki mieszkanie zaczęło z grubsza przypominać siedzibę ludzką. Można było zacząć imprezę. Niestety, nikt nie miał już na nią ani siły, ani ochoty.

– Jasny gwint, ale mnie ręce bolą! – marudził Karol. – Jak następnym razem będę się do kogoś wybierał, to najpierw zapytam, czy przypadkiem ścian nie przestawia albo drzewa nie rąbie. Jak dobrze, że jutro jest sobota, bo się z łóżka do wieczora nie zwlokę. Cwany ten twój Michałek. Zostawił cię z tym całym bałaganem, a sam – myk! na Wyspy! A ja za niego gruz wynoszę!

– Od Michałka to się Karolku odgruzuj łaskawie, bo cię przestanę lubić – powiedziała Zuzka lodowato. – Dziękuję bardzo za pomoc. I tobie, Anitko, też. Zrewanżuję się przy najbliższej okazji. Dzwoncie, jakby ktoś musiał kilka ton węgla do piwnicy wrzucić.

Rozdział 6

MĘŻOWIE I KOCHANKOWIE, czyli...

JAK TELEFONY KOMÓRKOWE KOMPLIKUJĄ ŻYCIE

Gdy za gośćmi zamknęły się wreszcie drzwi, Zuzka padła nieprzytomna na posłanie. Chyba po raz pierwszy w życiu spała nieumyta i w ubraniu. Niestety, zapomniała o czymś ważnym, co robiła zawsze przez pójściem do łóżka. Nie wyłączyła komórki i skoro świt obudził ją prze-
rażliwy dźwięk.

– Halo? – ziewnęła do słuchawki. Po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Halo? – rzuciła dla formalności jeszcze raz i zamierzała się rozłączyć, gdy niespodziewanie ktoś odezwał się po drugiej stronie:

– Czy mogę rozmawiać z Karolem?

– Nie!

– A dlaczego nie?

– Bo jeszcze śpi. I ja też, do jasnej cholery! – odpowiedziała Zuzka i połączenie zostało przerwane.

Udało jej się z powrotem zasnąć, gdy komórka znowu zadzwoniła. Tym razem w drugim pokoju. Zuzka zwlokła się z wyra i poczłapała tropem upiornego dźwięku.

– Halo?

– Cześć, tu Karol! Czy ja zostawiłem u ciebie wczoraj komórkę?

– A zostawiłeś?

– No właśnie się pytam.

– To zapytaj mnie, jak się obudzę. A nie, poczekaj! Chyba faktycznie zostawiłeś, bo ktoś do ciebie przed chwilą dzwonił. Jakaś kobita.

Odebrałam, bo masz identyczny telefon jak mój. Nawet sygnał taki sam. Powiedziałam jej, że nie może z tobą rozmawiać, bo śpisz.

– Cholera! To była Matylda, moja narzeczona. Pewnie pomyślała, że śpię z tobą. To po mnie. Jak nic obleje mnie kwasem solnym.

Zuzka wyraziła swoje głębokie współczucie i życzyła powodzenia w poskramianiu temperamentnej narzeczonej. Ale przede wszystkim stanowczo zażądała, żeby odebrał swój telefon, bo nie będzie robić za jego sekretarkę. Karol stwierdził, że wpadnie w takim razie po południu, pod warunkiem, że Zuzka mu nie każe sprzątać gruzu i przestawiać mebli.

Biedna ofiara porannych telefonów ruszyła z powrotem do łóżka. Niestety, ledwo przyłożyła głowę do poduchy, telefon znowu zadzwonił.

– Karola tu nie ma! – rzuciła mocno już zirytowana.

– Czy możesz mi wyjaśnić, co jakiś Karol robi z moją żoną w moim domu o siódmej rano? – zażądał wyjaśnień Michał.

– Michał! Cudownie, że dzwonisz!

– Dobra, dobra, nie ściemniaj... O co chodzi z tym Karolem?

– O nic nie chodzi. Lepiej powiedz, kiedy przylecisz... Tęsknię okrutnie...

– No właśnie słyszę – stwierdził sarkastycznie Michał.

– Powiedz szybko, kiedy przylecisz? Bo inaczej ja porwę samolot i przylecę do ciebie.

– Prawdopodobnie w sobotę, ale jeszcze zadzwonię. – Po drugiej stronie Kanału La Manche słuchawka z łoskotem stuknęła o widełki, odłożona zupełnie nie po angielsku.

– No to po co dzwonisz idioto, jak nie możesz rozmawiać? – Zuzka z wściekłością rzuciła telefonem o ścianę.

Do wieczora w mieszkaniu przybyło jeszcze kilka dziur, bo za każdym razem, gdy przypomniła sobie rozmowę z mężem rzucała tym, co akurat miała w ręce. Dzięki temu miała dużo mniej kubków i talerzyków do zmywania.

Karol zjawił się po piątej.

– Zderzyłeś się z odrzutowcem? – zapytała na widok siniaka na jego policzku.

– Nie. Za wolno tłumaczyłem Matyldzie, jak mój telefon znalazł się w twoim łóżku. Ale widzę, że nie tylko ja miałem burzliwe popołudnie. – I wymownie wskazał na rozbity klosz w lampie.

– Rzuciłam w niego butem. Kupiłam już co prawda nowy, ale nie mam drabinki, a z krzesła nie mogę dosięgnąć.

– Dawaj ten klosz. – Karol zdjął kurtkę i powiesił ją na wieszaku w przedpokoju na płaszczu Michała.

Po paru minutach lampa odzyskała pierwotną świetność.

– Dobra, klosz wisi, ja spadam. Gdzie masz mój telefon? Jeszcze dzisiaj wystawię go na Allegro, żeby nam się więcej nie pomyliło.

Zuzka przyniosła aparat. Karol włożył kurtkę, przy okazji zrzucając płaszcz Michała, i sięgnął do klamki. Ale nagle drzwi otworzyły się i stanęła w nich... dozorczyńni.

– No to pa, skarbie. Zadzwoń, jak znowu trzeba ci będzie coś wkręcić. Znasz mój numer telefonu – rzucił na odchodne Karol i zniknął na korytarzu.

Oślupiała dozorczyńni wpatrywała się przez chwilę w zamknięte drzwi, a później przeniosła zgorszony wzrok na Zuzkę. Zuzka powstrzymała chęć zamknięcia sąsiadce drzwi przed nosem i zapytała uprzejmie:

– Czy coś się stało?

Dozorczyńni zwlekała z odpowiedzią. Rozglądała się przy tym uważnie po mieszkaniu, jakby spodziewała się, że wypatrzy tu jeszcze z pięciu gachów Zuzanny.

– Tak? – próbowała zachęcić ją Zu.

– Przyszłam pani powiedzieć, że jutro ciepłej wody od rana nie będzie.

– Dziękuję bardzo. – Zuza próbowała zamknąć drzwi, ale dozorczyńni oparła się o futrynę i ani myślała się ruszyć.

– Coś jeszcze?

– Zimnej wody też nie będzie... – wycedziła z satysfakcją dozorczyńni.

– A pan doktor to jest?

– Kto jest? – nie załapała Zu. – Przecież mówiła pani, że nie będzie. To znaczy ciepłej wody nie będzie.

– I zimnej też nie. A kiedy będzie? – dociekała dozorczyńni.

– Ciepła woda? – zdziwiła się Zuza. – A skąd ja mam wiedzieć? Myślałam, że pani mi powie.

– A skąd ja mam wiedzieć, kiedy pani mąż będzie? – oburzyła się dozorczyńni. – A później się ludzie dziwią, że tyle rozwodów jest. Bo ja chciałam, żeby mąż mi receptę wypisał, ale jak się państwo rozwodzą, to trudno...

– My się wcale nie rozwodzimy – oburzyła się Zu i już chciała zgodnie z prawdą odpowiedzieć, że Michał będzie w sobotę, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język i stwierdziła: – Mąż będzie dopiero za dwa tygodnie, pani Michalska. Niech pani wtedy zajrzy. A ciepła woda to kiedy będzie?

Pytanie pozostało bez echa. Dozorczyńni zniknęła w korytarzu, tajemnicę powrotu ciepłej wody zabierając ze sobą... do windy.

Rozdział 7

CIEPŁE SKARPETKI, czyli...

JAK POWITAĆ MĘŻA WRACAJĄCEGO Z EMIGRACJI

W sobotę lało jak z cebra już od świtu. Ale Zuzka była tak zaaferowana, że nawet tego nie zauważyła. Od szóstej rano wybiegała co pięć minut na balkon, żeby sprawdzić, czy nie podjeżdża taksówka, którą Michał miał przyjechać z dworca. O dziewiątej, gdy zazgrzytał klucz w zamku, była już kompletnie przemoczona i przemarznięta.

– Wpadłeś do wanny czy kochanka spuszczałaś po rynnie? – zapytał Michał na widok zmokłej kury, w której z trudem rozpoznał swoją niedawno poślubioną małżonkę.

– Jak dobrze, że jesteś... – Zuzka przytuliła się do niego z całej siły.

– Uważaj, Zu. Mam mokrą kurtkę. Jeszcze się zamoczysz – wyszeptał Michał i zaczął się śmiać, gładząc żonę po włosach, z których woda ściekała tak obficie, że na podłodze w przedpokoju zrobiła się kałuża. – Natychmiast zdejmij z siebie to mokre ubranie, bo się przeziębisz!

– Oczywiście, panie doktorze. – Zuzka cofnęła się pół kroku i rozpięła bluzkę. – Czy tak lepiej?

– Dużo lepiej... – Michał usiłował ściągnąć kurtkę. Tak nieszczęśliwie machnął przy tym ręką, że zrzucił klosz od lampy. Zaklął: – Cholera!

– Nie przejmuj się – uspokoiła go żona. – To na szczęście. Zresztą, ostatnio kupiłam dwa zapasowe, to wkręcimy.

– Co wkręcimy? – Michał zrobił krok w jej stronę.

– Oczywiście klosz, ty świntuchu. – Zuzka cofnęła się pół kroku, zahaczyła o oparcie kanapy i wylądowała na łóżku.

– Z przyjemnością! – Koszula Michał poleciała śladem lampy na podłogę.

Późnym popołudniem szkło z przedpokoju zostało starannie zmiecione, kałuża starta, a na suficie dyndał nowy klosz.

– Powiedz, jak ci tam jest? – Zuza siedziała na kolanach Michała.

– Nie ma o czym mówić. Harówa od rana do wieczora. Obstawiamy wszystkie świąteczne dyżury, bo przecież nie mamy na Wyspach rodzin i nie musimy się spieszyć do domu. No i dobrze, bo do czego tu się spieszyć? Wynajęte mieszkanie, obce meble, nikt nie spali kotletów, straży pożarnej nie trzeba raz w tygodniu wzywać...

– To wracaj! Damy sobie radę bez pieniędzy tych parszywych Angoli.

– Nie, musimy jakoś wytrzymać. No, uśmiechnij się. Błada jesteś strasznie. Kiedy ostatnio byłaś na spacerze? Bo ja miesiąc temu. Z tobą.

– No to idziemy. Przestało padać. Wskakujemy w majtki! Ale każdy w swoje, każdy w swoje. Swoją drogą przed wyjazdem nie zakładałeś damskiej bielizny... To zastanawiające!

Oblecieli park trzy razy dookoła, zachwycając się po drodze wszystkim: karpiami, pawiami i kiczowatą łódką pływającą po stawie. Postali trochę na romantycznym mostku i wreszcie, zmęczeni, usiedli na ławce w bocznej alejce. Oczywiście, miejsce nie było na tyle ustronne, żeby nie dostrzegli ich ludzie. Widzieli, widzieli... I patrzyli z uśmiechem albo ze zgorszeniem na zawzięcie całującą się parę. W miarę upływu czasu przechodniów było coraz mniej.

– O rany! – zreflektował się Michał. – Już ciemno, wracamy do domu. Nie będziemy tu nocować!

Ruszyli w stronę bramy, która (jak się okazało) była zamknięta na głucho.

– No, chyba jednak musimy tu nocować. – Roześmiała się Zuza. – Zapomnieliśmy, że po zmroku zamykają!

Nagle w krzakach coś zaszeleściło. Zu chwyciła Michała za rękaw. Po chwili na ścieżkę wyszła para dwudziestolatków.

– Znowu nas zamknęli – stwierdził retorycznie młodzieniec w okularach. – To już trzeci raz w tym miesiącu. Na szczęścia brama od strony Ratusza jest otwarta całą noc. Chodźcie tędy...

Roszkowscy ruszyli we wskazanym kierunku, choć Zuza później trochę żałowała, że jednak nie musieli spędzić tej nocy na ławce w parku. Przy odrobinie szczęścia mogliby później opowiadać swojemu dziecku, że zostało poczęte pod rozgwieżdżonym niebem, na zielonej trawce.

– Tam było bardzo romantycznie – westchnęła, gdy wreszcie dotarli do domu nocnym autobusem.

– I zimno jak cholera – odpowiedział jej pragmatyczny do bólu mąż, wskakując do łóżka w ciepłych skarpetkach w kolorowe paski.

– Skąd masz takie odjazdowe skarpetki?

– Lidzia mi zrobiła mi na drutach.

– Żartujesz?

– Nie. Poproszę ją, to też ci takie podaruję.

– Zabiję cię, jak to zrobisz!

Rozdział 8

KLÓTNIA MAŁŻEŃSKA, czyli...

DLACZEGO LEKARZ SZUKA WĘGLA.

Nawet najwspanialsza noc kiedyś się kończy. A im bardziej romantyczna, tym bardziej prozaiczny wydaje się poranek, który po niej następuje.

– Życie nie jest sprawiedliwe — westchnęła odkrywczó Zuza, gdy udało jej się wreszcie zdusić budzik. – Emigranci na urlopie mogą spać, a ich małżonkowie muszą zwlec się z łóżka i iść do pracy.

– Taka praca... – Michał wzruszył ramionami. – Jakbyś wyjechała, to byś zobaczyła, co to znaczy prawdziwa praca. Nie to, co za biurkiem osiem godzin.

– Przepraszam... Do mnie pijesz? – Zuza zatrzymała się w pół drogi do kuchni. – Każdy ma taką pracę, jaką sobie wybrał. To po pierwsze. A po drugie – nikt nikomu nie każe wyjeżdżać.

– Ta rozmowa jest bez sensu, bo nie wiesz, o czym mówisz, Zu. Ty, dziewczyno, życia nie znasz. Tam ludzie na dworcach koczują, bo ich pośrednicy z Polski oszukali. Nie mają gdzie spać i nie mają za co wrócić do kraju. A nawet jak znajdą mieszkanie, to takie, że ty byś z niego uciekła po trzech minutach. Nie zdajesz sobie sprawy, w jakich warunkach żyją przyjezdni.

– Zdziwisz się, ale zdaję sobie sprawę! I co z tego? Mam na znak solidarności z bezdomnymi zamieszkać na dworcu? Rzucić robotę, bo inni są bezrobotni? Zażądać obniżki pensji, bo większość ludzi zarabia mniej niż ja? A jak mi tak zazdrościsz życia tutaj, to wróć i użeraj się z tymi

cholernymi burzymurkami ze spółdzielni! – Zuza walnęła drzwiami od łazienki.

Usiadła na wannie i odkręciła wodę, żeby mąż nie słyszał jej pochlipywania. Usłyszała skrobanie do drzwi.

– Zu, otwórz. Przepraszam. Faktycznie, czepiam się. – Michał wszedł do łazienki i usiadł obok niej. – Ale tęsknię za tobą i jestem wściekły, że się zdecydowałem na ten wyjazd.

– To wracaj do Polski! Pozwolę ci czasami pochodzić w mojej bieliźnie.

– A co będę tu robił? Oprócz chodzenia w twoich majtkach?

– Możesz na przykład... utopić się! – Zuzka wepchnęła męża do wanny i wskoczyła za nim.

Wanna była ciasna i niewygodna, więc ostatecznie pogodzili się w łóżku.

– Muszę już lecieć. – Zu sięgnęła po torebkę.

– Kiedy wracasz? – zapytał Michał, rozpinając jej bluzkę.

– Koło piątej. Nie wygłupiaj się, muszę już iść, bo mnie wyleją. A ty co będziesz robił?

– Zadzwonię do agencji towarzyskiej i zamówię trzy panienki: blondynkę, brunetkę i rudą. – Michał przeciągnął się. – A tak poważnie... Pojadę do mamy. Obiecała, że upiecze dla mnie szarlotkę i zrobi kopytka. Ty nigdy nie robisz dla mnie kopytek.

– Za to robię dla ciebie wiele innych rzeczy, o których nie ma pojęcia twoja mamusia. – Zuzka prowokacyjnie poprawiła pończochy. – Ale jeśli w zamian za to wolisz kopytka...

– Nie, nie! W żadnym wypadku!

– To jesteśmy dogadani. Przyjdź po mnie, to pójdziemy do kina.

– Dobra. Będę. A teraz zmykaj, bo się spóźnisz. – Pan doktor uszczypnął panią agentkę w pupę.

– Auuuu! Ty brutalu! Pójdę sobie zrobić obdukcję.

– Weź wolne, to sam ci zrobię bardzo wnikliwą obdukcję.

– Zboczeniec.

– Dewotka.

– Ja też cię bardzo kocham. To pa! Do piątej.

Gdyby to była telenowela albo harlequin, to czas w pracy dłużyłby się Zuzie niemiłosiernie. Ale ponieważ było to zwykłe parszywe życie, galopował jak głupi i o wpół do piątej miała ciągle jeszcze na biurku stos papierów. A telefony od zniecierpliwionych klientów nie ułatwiały jej pracy.

– Anita! Skończ to za mnie, błagam! Umówiłam się z Michałem na piątą. Idziemy coś zjeść.

– Szczęściara, mąż cię na kolację zaprasza!

– Jak mi tak zazdrościsz, to musisz sama szybciotko wyjść za mąż.

– Nie, dziękuję. To już wolę wypełnić za ciebie te formularze.

Przerzuć mi je na biurko i spadaj.

Zuza z wdzięczności posłała jej buziaka i ulotniła się z biura najszybciej jak mogła. Była przekonana, że mąż już przytupuje pod drzwiami agencji. Tymczasem był tam tylko Karol z jakimś rudzielcem. Na widok Zuzki lekko się speszył.

– Cześć – rzucił zdawkowo. – Gdzie się tak spieszysz?

– Umówiłam się z mężem. Idziemy na kolację i do kina.

– Fajny mąż – zagadała ruda dziwnie znajomy głosem. – Mam nadzieję, że Karol też taki będzie po ślubie. Jestem Matylda.

– Zuzka. Bardzo mi miło – odpowiedziała Zuzka i nagle zakrztusiła się, jakby do gardła wpadła jej osa. Przypomniała sobie, skąd zna ten głos! Z pewnej rozmowy telefonicznej!

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby nie Karolek, który odzyskał władzę w nogach i pociągnął narzeczoną w stronę przystanku tramwajowego. Niebezpieczeństwo konfrontacji ze straszną Matyldą zostało zażegnane. Super! Ale Michała nadal nie było. Zuzka czekała kwadrans. W końcu z biura wyszła Anita.

– Nie przyszedł? Nie przejmuj się. Pewnie mu się pomyliło i czeka w domu z kolacją. Albo liczy, że przyjdiesz i zrobisz mu kolację. Typowy facet.

Zuzka stwierdziła, że to bardzo prawdopodobne i zadzwoniła do domu. Nikt nie odebrał. Zadzwoniła na komórkę Michała. Odezwała się poczta głosowa.

– Może coś mu się stało? – poczuła, jak w gardle rośnie jej ze strachu wielka gula. – Bez paniki. Na pewno zaraz się zjawi. Bankowo utknął w korku.

Minął kolejny kwadrans. Z budynku wyszedł szef.

– Ogarnął cię demon pracowitości i chcesz dzisiaj zostać na drugą zmianę? Ostrzegam, że nie płacę za nadgodziny – rzucił dowcipnie. – Może cię gdzieś podrzucić?

– Dziękuję, czekam na męża. Zaraz powinien być.

Szef odjechał... Zuzka zaczynała się zastanawiać, czy nie zacząć sprawdzać na pogotowiu. Wcześniej jednak postanowiła zadzwonić do teściowej i dowiedzieć się, czy Michał u niej był i o której wyszedł.

– Tak, był. Pojechał już do domu – poinformował ją głos po drugiej stronie słuchawki.

– Ale tam go nie ma! Nie odbiera telefonów.

– Nie przejmuj się. Pewnie utknął w korku. Wiesz co...

Ale Zuzka nie zawracała sobie dłuższej głowy słuchaniem teściowej. Przebiegła na czerwonym świetle, żeby dogonić tramwaj. Jechała na gapę, bo nie zdążyła kupić biletu. A na koniec pobiła rekord świata w biegu na siódme piętro. Ale okazało się, że to wszystko na nic. Michała nie było w mieszkaniu. Wyjechał. Gdzieś daleko po wiadukcie przejechał z głośnym dudnieniem pociąg. I choć z dworca odjeżdżały co kilka minut pociągi we wszystkie strony świata, Zuzka wiedziała, że ten akurat pojechał do Warszawy... Chwyliła album z przedwojennymi pocztówkami i rzuciła w stronę pociągu. Odbił się od sufitu, a pocztówki rozsypały się po całym pokoju. Nagle zadzwonił telefon. Zuzka rzuciła się do telefonu.

– Michał? – krzyknęła.

– Przepraszam, że przeszkadzam – usłyszała po drugiej stronie. – Tu Leszek Kowal. Nie odzywa się pani, więc dzwonię, żeby zapytać, czy są jacyś chętni na nasze mieszkanie.

– Przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwonię do pana jutro rano. Jeszcze raz przepraszam. Do widzenia. – Zuzka wyłączyła telefon i wrzuciła go do szuflady ze skarpetkami.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi drugiego pokoju i stanął w nich... Michał.

– Ty ośle! – Zu miała ochotę rozszarpać męża ze złości.

– Czekałam na ciebie przez godzinę pod biurem. Przecież się umówiliśmy...

– Nie mogłem przyjść – odpowiedział Michał i usiadł na kanapie. – Tylko obiecaj, że się nie będziesz śmiała...

– Obiecuję!

– Dostałem biegunki.

Mimo najszczerzej chęci Zu nie wytrzymała i ryknęła śmiechem.

– Przepraszam, Michu, ale nie mogłam się powstrzymać. Cholera, od tego śmiechu aż mnie brzuch rozboleł. O rany! To chyba nie od śmiechu – i Zu pomknęła do łazienki.

– To pewnie te wczorajsze lody w parku – krzyknął za nią Michał. – Nie mamy nic w apteczce, idę do dozorczyń. Może ma Stoperan albo węgiel.

– Chyba w piwnicy – stwierdziła Zu i chciała poradzić, żeby Michał zajrzał raczej do pani Jarzębskiej, ale mąż już wyszedł.

Wrócił po kilku minutach z opakowaniem węgla i ponurą miną.

– Co się stało? Chyba nie narzygałeś do windy? A może pobiłeś panią Michalską, bo ci nie chciała dać tego węgla? – zapytała Zu.

– Nie, ale zaraz ciebie stłukę. Gadaj szybko i nie ściemniaj. Co to za faceci płaczą się po naszym mieszkaniu, kiedy mnie nie ma?

Zu wyjaśniła zgodnie z prawdą, że dwaj burzymurkowie ze spółdzielni.

– I oni mówią ci na pożegnanie: „No to pa, skarbie. Zadzwoń, jak znowu trzeba ci będzie coś wkręcić”. Gadaj zaraz, z kim mnie zdradzasz?

Zuza przez chwilę poważnie brała pod uwagę, że jej mąż na skutek zbyt gwałtownych wypróżnień doznał poważnego uszczerbku na umyśle. Ale nagle przypomniała sobie niedawną wizytę dozorczyń i jej spotkanie w przedpokoju z Karolkiem. Już wiedziała, skąd się wzięły te rewelacje na temat jej niemoralnego prowadzenia się. Zaczęła się śmiać, ale nagle chwyciła się za brzuch i znowu popędziła do łazienki.

– Kochanie, ja ci zaraz wszystko wyjaśnię – krzyknęła w biegu do Michała. – Tylko daj mi już ten węgiel, bo nie chcę reszty życia spędzić w kiblu.

TTLR

Rozdział 9

CÓRKA LISTONOSZA, czyli...

JAK OBCY KAPITAŁ ROZKRADA POLSKI MAJĄTEK

Zu obudziła się w podłym nastroju. Nic dziwnego... Michał poleciał z powrotem do Londynu i miał wrócić dopiero za miesiąc. Z góry założyła, że pogoda na pewno solidaryzuje się z parszywym stanem jej ducha, na zewnątrz musi być więc pioruńsko zimno i bankowo leje jak z cebra. Może nawet jest gradobicie. Była trochę zdziwiona, gdy po wyjściu stwierdziła, że jest piękny słoneczny dzień. Zanim dotarła do agencji, spociała się jak mysz.

– Cieszę się, że cię widzę – stwierdził na jej widok Mikulski.

– Naprawdę? – Zu ucieszył ten niespodziewany przejaw sympatii ze strony szefa i już zamierzała się do niego uśmiechnąć, ale Mikulski dokończył...

– Nie mam kogo posłać do klienta, bo Karol wziął sobie dzień wolny. Nie zdejmuj płaszcza...

– Mam na sobie kurtkę – powiedziała pod nosem, tak żeby pryncypał nie słyszał. – Jaki to adres?

– Anita zanotowała. Facet nazywa się Smith, jest Anglikiem i koniecznie chce kupić w naszym mieście kamienicę.

– A co? – burknęła Zuza, stając obok biurka Anity. – W Anglii kamienic im zabrakło, że chcą wykupywać nasze? Obcy kapitał rozdrapie naszą ojcowiznę.

– Wyluzuj. O ile sobie przypominam, to twój ojciec jest listonoszem i nigdy żadnej kamienicy nie miał, więc Smith nic zabrać nie może – odpowiedziała Anita i poklepała ją na pocieszenie po ramieniu. – Przez

telefon facet brzmiał sympatycznie. Postaraj się, to może podpisze z nami umowę na wyłączność.

– Oczywiście, pani kierowniczo. Uwiodę go na schodach jakiejś kamienicy. Ale jeszcze nie wiem jakiej – obiecała, trzasnęła drzwiami i o mało nie wywinęła orła na schodach. Na szczęście w ostatniej chwili złapała się poręczy.

Po godzinie dotarła pod wskazany adres. Stała pod wypasioną willą.

– Po co mu jeszcze jakaś kamienica? – zdziwiła się i nacisnęła dzwonek do drzwi. – Kto mu to będzie sprzątał?

Niemal natychmiast uzyskała odpowiedź na swoje pytanie, bo otworzyła jej kobieta, która wyglądała, jakby zaprojektowano ją w fabryce specjalizującej się w seryjnej produkcji idealnych pomocy domowych.

– Jestem umówiona z panem Smithem. Zuzanna Roszkowska z Agencji Nieruchomości Cztery Kąty.

Gospoia posadziła ją na fotelu w salonie i zajęła się swoimi sprawami. Po piętnastu minutach Zuza zaczęła podejrzewać, że zapomniała o niej powiedzieć swojemu pracodawcy. Na wszelki wypadek zaczęła się straszliwie wiercić. Niestety, fotel był tak drogi, że nie zaskrzypiałby nawet pod ciężarem słonia. Po kolejnych dziesięciu minutach dostała ataku suchotniczego kaszlu. Tak się wczuła w swoją rolę, że aż się spłakała i popłuła. Grzebała właśnie w torbie w poszukiwaniu chusteczek, gdy nagle usłyszała:

– Pani Zuzanna Roszkowska z agencji nieruchomości? Peter Smith. Może szklankę wody?

Obok niej stał uśmiechnięty facet w średnim wieku z rudą głową ostrzyżoną na jeża.

– Nie, dziękuję. Już mi przechodzi – Zu teatralnie odkaszlnęła i z wdziękiem podniosła się z fotela. Coś jednak poszło nie tak i zanim osiągnęła postawę pionową z powrotem klapnęła na siedzenie.

– Zapraszam do mojego gabinetu. – Peter Smith wskazał drzwi po prawej stronie i czekał, aż Zu wygramoli się z fotela.

– Skontaktował się pan z naszą agencją, żeby kupić kamienicę – zaczęła profesjonalną rozmowę.

Godzinę później wracała do agencji bardzo zadowolona z siebie. Miała w torebce umowę na poszukiwanie kamienicy dla pana Smitha. Za coś takiego na pewno wpadnie jej jakaś grubsza premia. Zamiast premii przywitała ją jednak awantura...

– Co się z tobą dzieje? – gderała Anita. – Próbuję się już dwie godziny do ciebie dodzwonić. Bez przerwy włącza się automatyczna sekretarka. Mikulski chciał wiedzieć, jak ci poszło w sprawie kamienicy.

– O, cholera, skarpetki Michała! Zostawiłam telefon w domu! Wracam za godzinę! Jakby Mikulski mnie szukał, powiedz, że jeszcze nie wróciłam ze spotkania. – Zu rzuciła się w stronę drzwi wyjściowych.

– Stój, wariatko! – Anita przechyliła się przez biurko i przytrzymała ją za pasek od torebki. – Ktoś czeka na ciebie od godziny.

Zu rozejrzała się i zobaczyła przy stoliku w kącie pana Kowala...

– O rany! Bardzo pana przepraszam. – Zrobiło jej się potwornie głupio. – Wiem, że miałam do pana zadzwonić dzisiaj rano, ale zostawiłam telefon w domu. Jeszcze raz przepraszam. Niech pan usiądzie. Przepraszam, pan już siedzi. To może ja usiądę...

Po minie pana Kowala widać było, że się zastanawia, czy trafił do agencji nieruchomości, czy do szpitala dla wariatów. Musiał być odważnym człowiekiem, bo nie zerwał się z krzesła i nie uciekł z krzykiem z Czterech

Katów. Wysłuchał cierpliwie mętnych tłumaczeń Zuzanny. Wykorzystał moment, gdy musiała złapać oddech i wtrącił się:

– Dzień dobry. Nic się nie stało. Dzwoniłem, żeby pani powiedzieć, że nie zdecydujemy się na kupno dwóch mniejszych mieszkań. Oczywiście zapłacimy prowizję...

– Prowizją proszę się nie przejmować. Najważniejsze, że już się państwo nie rozwodzą.

– Nie możemy, bo nie stać nas na kupno osobnych mieszkań. – Rozłożył bezradnie ręce pan Leszek. – Co prawda, teraz oddali nam kamienicę, więc jak ją sprzedamy...

– Kamienicę? – zdziwiła się Zu.

– Tak, nasz ojciec miał przed wojną kamienicę na Wesołej. – Pan Kowal skrzywił się tak, jakby oznajmiał, że jego ojciec miał długi we wszystkich przedwojennych bankach. – Mój brat starał się od lat o jej zwrot i niestety mu się udało.

– No tak – potwierdził gość i widząc, że rozmówczyni kompletnie nic nie rozumie, dodał: – Jak ją sprzedamy, Alinka będzie nareszcie miała pieniądze na własne mieszkanie i się ze mną rozwiedzie. Czy mogłaby pani tak zrobić, żeby jej nikt nie kupił?

– Nie mogę, etyka zawodowa, rozumie pan. – Rozłożyła bezradnie ręce.

– Rozumiem...

– Ale niech się pan nie martwi. W końcu kupcy na kamienicę nie trafiają się codziennie – dodała na pocieszenie i w tym samym momencie przypomniała sobie o panu Smithie. Nie wspomniała jednak o nim, żeby nie dobijać miłego staruszka.

Pan Kowal milczał przez chwilę, wpatrując się w kaktusy stojące na parapecie. Wreszcie westchnął i odpowiedział:

– Rozumiem. Mam prośbę... Niech pani nie mówi o naszej rozmowie mojej żonie...

– Nie ma sprawy – odpowiedziała Zu i mrugnęła do pana Leszka. – Dyskrecja gwarantowana. Będę panu zostawiać kartki pod ławką w ZOO obok wybiegu dla żyrafy.

– Też lubię przygody agenta J-23. Ale nie sądziłem, że takie młode osoby jak pani oglądają *Stawkę większą niż życie*.

– To takie moje małe dziwactwo. Zamiast wenezuelskich, brazylijskich i polskich telenowel oglądam *Kłosa*, *Wojnę domową*, *Drogę* i *Daleko od szosy*. Mój mąż uważa, że jestem nienormalna.

– Za czasów mojej młodości oglądaliśmy filmy u sąsiadów, bo u nas nie było jeszcze telewizora. Chodziliśmy na *Kapitana Sowę*. Założę się o połowę emerytury, że tego akurat pani nie oglądała.

– I przegrał pan. Podam panu numer mojego konta, żeby mógł pan przelać połowę swojej emerytury – roześmiała się Zu. – Mam *Kapitana Sowę* na płycie DVD. Pożyczę panu.

– Niestety, nie mamy odtwarzacza do płyt, tylko stary magnetowid – stwierdził pan Kowal. – Szkoda, bo chętnie obejrzałbym to jeszcze raz. A jeśli chodzi o kontakt, to proszę dzwonić na moją komórkę.

– Na komórkę? – zdziwiła się Zu.

– A co? Myśli pani, że taki stary ramol jak ja nie umie posługiwać się telefonem komórkowym?

– Nie, no skąd... – spieszyła się Zuzanna, która tak właśnie pomyślała.

– Zaraz zanotuję numer. Zadzwoń, jak tylko będę miała informacje na

temat chętnych na pańską kamienicę. Ale jeszcze raz powtarzam... Niech się pan nie martwi. Może nikt jej nie kupi?

– Ławka obok wybiegu dla żyrafy? – zapytał Pan Kowal, żegnając się z Zuzanną w recepcji.

– Ławka obok wybiegu dla żyrafy – potwierdziła Zu i zamknęła drzwi za właścicielem kamienicy na Wesołej. Odwróciła się w stronę Anity, której w gardle utkwił kawałek jabłka. – Walnąć cię w plecy, Królewno Śnieżko?

– Trzymaj się ode mnie z daleka. – Anita zamierzyła się na nią segregatorem. – Nie wiadomo, czy to twoje wariactwo nie jest przypadkiem zaraźliwe!

Rozdział 10

DIETA CUD, czyli...

JAK ZDOBYĆ SZYBKO SERCE EMERYTA

Zu wysiadła z tramwaju i wolnym krokiem ruszyła w stronę domu. Wstąpiła do sklepu po dwie bułki i udko z kurczaka. Dieta słomianej wdowy nie była kosztowna i zbyt skomplikowana. Wystarczyło wrzucić drób na chwilę do mikrofal i obiad gotowy.

– Ciekawe, ile nieszczęsnych kurczaków będzie musiało zginąć, zanim Michał wróci i zacznę się normalnie odżywiać? Choć z drugiej strony, mówią, że faszerują je hormonami i potem biust rośnie. Kusząca perspektywa.

Noga za nogą dowlokła się wreszcie pod swój blok. Stała i zadarła głowę do góry. Jak było do przewidzenia, okna mieszkania na siódmym piętrze ziały czarną pustką.

Jutro zostawię zapalone światła, żeby nie wracać do ciemnego mieszkania – obiecała sobie w myśli Zu. – A rachunek wyślę panu mężowi do Londynu.

Winda o dziwo tym razem działała bez zarzutu, choć Zuza nie miałyby nic przeciwko przymusowej wspinaczce na piechotę na siódme piętro. Wysiadła, a winda z głośnym łomotem ruszyła w drogę powrotną. Dziewczyna zapaliła światło na klatce schodowej i aż podskoczyła ze zdumienia. Na schodach siedziała jej młodsza siostra!

– Miałaś czekać na mnie na dworcu, ty stara zołzo! – Baśka podniosła się i z cierpiętniczą miną rozmasowała sobie siedzenie. – Tkwią tu już od dwóch godzin. Miałam propozycję kolacji ze śniadaniem od jednego emeryta. Odmówiłam grzecznie, to za chwilę przyszedł znowu i chciał się ze

mną ożenić. Pewnie myślał, że ja taka cnotliwa jestem, że bez ślubu śniadania z nim nie zjem.

– To pewnie pan Grzybała – domyśliła się Zuzanna. – Mnie oświadcza się przynajmniej raz w tygodniu. Ma sklerozę i nie może zapamiętać, że ja już jestem mężatką. Ale ty mogłaś się spokojnie zgodzić. Może wtedy emerytki, które poznaje na wieczorkach dla samotnych, przestałyby się dobijać do moich drzwi, jak im pan Grzybała nie otwiera. Jedna nawet próbowała raz wedrzeć mi się do kuchni, bo pewnie myślała, że go ukryłam w szafce pod zlewozmywakiem. Fakt, zmieściłby się, bo to kurdupel...

– Nie zagaduj mnie poczwaro. Dzwoniłam do ciebie ze dwieście razy, ale ciągle włącza się poczta głosowa. A w pracy powiedzieli, że już wyszłaś.

– Sorki, ale zapomniałam zabrać telefonu dzisiaj rano. Jest w szufladzie ze skarpetkami Michała.

– A Michał gdzie? Zakatrupiłaś go i zwłoki też ukryłaś w szufladzie ze skarpetkami? Do niego też próbowałam się dodzwonić. – Baśka z ulgą klapnęła na miękką kanapę.

– Nie zdążyłam. Uciekł ode mnie do Londynu – odpowiedziała starsza siostra.

– Ja mu się wcale nie dziwię. Przecież ty kompletnie nie umiesz gotować. A propos gotowania! Nie rzucaj we mnie tą brązową torbą, bo tam jest żarcie dla ciebie.

– Powiedz tylko, że mamusia wsadziła tutaj swój kultowy placek z jabłkami, a rzucę bez wahania i zabiję cię tym zakalcem. Antytalent kulinarny odziedziczyłam niewątpliwie po naszej rodzicielce.

– Miałam dla ciebie zakalcowaty placek drożdżowy, ale zaraz po wyjściu z chałupy dałam go psu Holendra.

– Jakiego Holendra? Skąd do naszej wsi rodzinnej przybłąkał się ktoś z Holandii?

– Z żadnej Holandii. On ma takie nazwisko – Holender. Kupił tę starą chałupę Kowalczyków i zrobił z niej willę z basenem. No i ma takiego wielkiego psa mordercę.

– Miał – sprecyzowała Zu, włączając gaz pod czajnikiem. – Po placku drożdżowym mamusi biedna psina skoła w ciężkich męczarniach.

– Chyba żartujesz – prychnęła Baśka. – Ostatnio pijany Jarząbek rzucił w niego gumiakami, bo go wkurzał swoim szczekaniem. Bydlę zżarło obydwu. Nawet gnój, który Jarząbek nosił na tych gumiakach od początku ich posiadania, czyli od jakichś dziesięciu lat, mu nie zaszkodził. A propos jedzenia... Może byśmy coś przekąsiły. Trochę zgłodniałam na tych twoich schodach.

Zuzanna dręczona najgorszymi przeczuciami otworzyła

– Mam pomidora i jedno udko kurczaka – powiedziała i spojrzała wyczekująco na siostrę.

– Czy ja wyglądam, jakbym się odchudzała? Dobrze, że cię znam i przywiozłam trochę żarcia. Mamy pierogi, gołąbki i makaron z pieczarkami.

– Mama robiła czy ty? – zapytała starsza siostra z nadzieją w głosie.

– Ja, ja... Nie martw się. Swoją drogą, to naprawdę nie dziwię się, że chłop od ciebie uciekł aż do Irlandii, jak ty go żywisz codziennie zwłokami kurczaków.

– Do Londynu. A w ogóle, spadaj Bu! To nie było śmieszne. – Zu odwróciła się plecami i udawała, że mocuje się z zakrętką słoika z gołąbkami. Tak naprawdę nie chciała, żeby Baśka widziała, że zrobiło jej się mokro w oczach i nosie. Jakaś kropelka spadła prosto w sos pomidorowy.

– Nie smarkaj w gołąbki! – Siostra poklepała ją po plecach. – Przepraszam, ale czasami zachowuję się jak dinozaur w składzie porcelany.

– Słoń – sprostowała Zu.

– Jaki znowu słoń?

– W składzie porcelany. To był słoń, a nie dinozaur. Zresztą przy twojej wadze pasujesz właśnie na słonia. Albo hipopotama.

– Teraz to ty spadaj – warknęła Bu. – Jesteśmy kwita, jeśli chodzi o rodzinne czułości i uszczypliwości, więc siadajmy i żyjmy tę padlinę.

Dodatkowa dawka węglowodanów dostarczona do organizmu spowodowała u Zu ożywiony proces myślowy...

– Askąd ty miałaś mój telefon do pracy? Nikomu z rodzinki go nie dawałam!

– Poszłam na dworcowy komisariat policji. Okazało się, że mają cię w swoich kartotekach. Podobno miesiąc temu wywołałaś po pijaku jakąś burdę na dworcu.

Zu zakrztusiła się kawałkiem kapusty...

– Jaką burdę, jaką burdę? Nie chcieli mi sprzedać biletu na pociąg dziesięć minut przed odjazdem, to się troszkę zdenerwowałam. I to wcale nie było miesiąc temu, tylko w zeszłym roku, w styczniu. I w ogóle nie było przy tym policji. Co się śmiejesz idiotko?

– Bo się dajesz wkręcać. – Bu prychnęła sosem pomidorowym. – Tak to sobie wymyśliłam. A jak chcesz wiedzieć, to znalazłam w książce telefonicznej numer do twojej teściowej. Zadzwoiłam i powiedziała mi, gdzie pracujesz. Bardzo miła kobieta, naprawdę... Nie rozumiem, jak ona mogła pozwolić, żeby jej ukochany syn ożenił się z taką żoną jak ty.

Zu kazała Baśce iść spać, bo bredzi.

– Obudź mnie jutro o siódmej rano – zażyczyła sobie młodsza siostra już w piżamie, z umyтыми ząbkami i pod kołderką.

– Zwariowałaś – skwitowała Zu. – Ja nie wstaję o tej porze. Budzik sobie nastaw! I w ogóle, po co ty chcesz wstawać bladym świtem?

– Roboty będę szukać. Muszę skoczyć po gazetkę i będę obdzwaniać. I mamuśka mi kazała rozejrzeć się za jakimś lokum. Mam młodej parze nie siedzieć na głowie, bo ona się wnuków nie doczeka.

– Nie bredź. Zostajesz u mnie. Naprawdę chcesz się zatrudnić w jakiejś knajpie?

– No, trzeba mieć jakąś praktykę. Potem może uda się wziąć kredyt i otworzę coś swojego – rozmarzyła się młodsza siostra.

– Ho, ho. Bizneswoman z ciebie – roześmiała się Zuza.

– A z ciebie zgredaswoman – odcięła się Baśka. – Dobranoc i niech ci się same koszmary śnią.

– Dobranoc. Ja też ci życzę miłych snów, siostrzyczko.

Rozdział 11

SMAŻONE ŚLEDZIE, *czyli...*

DO CZEGO JEST ZDOLNY MECHANIK SAMOCHODOWY

Zu obudziła się i pociągnęła nosem.

– Nie, to niemożliwe. To wszystko mi się śni. Skąd bladym świtem w moim mieszkaniu zapach świeżej kawy i jajecznicy? Od sąsiadów na pewno nie, bo oni najwyżej mleko o tej porze przypalają. To ja sobie jeszcze trochę pośpię i powącham – mruknęła. W tym samym momencie poczuła, że ktoś ściąga z niej kołdrę. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą potworną zieloną mordę.

– Aaaaaaa! Ratunku! – wrzasnęła i wyskoczyła z łóżka.

– Co się drzesz, idiotko? – spomiędzy zielonych ust wydobył się głos Baśki. – Zrobiłam sobie maseczkę z alg, a ta ryczy, jakby ją zarzynali.

– Wiesz, jak wyglądasz? – zapytała Zu. – Obejrzyj się w lustrze. Nigdy nie byłaś specjalnie urodziwa, ale teraz to mogłabyś grać w horrorach bez charakteryzacji.

– Za to później będę piękna i młoda a ty stara i pomarszczona.

– Tere–fere – mruknęła Zu.

– Żadne tere–fere, tylko naukowo potwierdzone. Idź, grzecznie zrób siusiu, a później siadaj do śniadania, bo wszystko wystygnie.

Dopiero teraz Zuza zobaczyła pięknie nakryty stół, a na nim dzbanek z kawą, talerze z jajecznicą i świeże grzanki.

– Zrobiłam ci angielskie śniadanie – pochwaliła się Baśka. – Będziesz po nim od razu mniej tęskniła za Michałem.

– Jakie angielskie? Nie znasz się – wzruszyła ramionami Zu. – Angielskie śniadanie to jest kochana ten, no... smażony śledź i owsianka.

– Pocięło cię? Skąd ty wzięłaś tego smażonego śledzia?

– W *Wojnie domowej* mówili – Zu zabalgotała niewyraźnie z łazienki, bo akurat myła zęby.

– W czym?

– W serialu *Wojna domowa* – Zu wystawiła z łazienki głowę.

– No tak, zapomniałam, że ty jesteś szurnięta na punkcie polskich seriali – z politowaniem pokiwała głową siostra. – Jutro usmażę ci śledzia.

– Spadaj z tym śledziem. Chyba bym się porzygała.

Po śniadaniu Baśka ruszyła po gazetkę, a Zuza do agencji, gdzie czekała ją rozmowa z szefem. O dziwo, Mikulski był w doskonałym humorze. Może komornik odblokował mu konto?

– Widziałem umowę, którą wczoraj podpisałaś z tym facetem, co chce kupić kamienicę w naszym mieście. Pilnuj tego, bo to duża sprawa. Jeśli uda nam się to dobrze sprzedać, możesz liczyć na nagrodę...

Oczami duszy Zu zobaczyła prowizję, za którą kupi sobie wymarzone buty, używany samochód i domek z ogródkiem.

– Jeśli sprzedasz szybko tę kamienicę, mogę ci obiecać nawet... tysiąc złotych premii.

Samochód odjechał, domek z ogródkiem zamienił się w przenośną toaletę Toi Toi. Na pocieszenie zostały buty...

– Wspaniale, dziękuję bardzo. – Uśmiechnęła się do szefa. – To ja biorę się już do pracy.

– Oczywiście, oczywiście. Nie zatrzymuję cię. Zostawiaj mi codziennie krótkie notatki.

Zu starannie zamknęła za sobą drzwi do gabinetu. Gdy była już pewna, że Mikulski nie może jej zobaczyć, wykrzywiła się i pokazała mu język. W tym samym momencie drzwi otworzyły się i wyrzwał zza nich szef.

– Coś ci się stało? – zapytał na widok głupiej miny swojej agentki.

– Nie, nie... Po prostu mam katar. – Zuzanna wytrąbiła nos z takim impetem, że szef skrzywił się z obrzydzeniem.

– Kup sobie jakieś krople. Co to ja chciałem? Aha... Anita mówiła, że podpisałaś też umowę na sprzedaż jakiegoś mieszkania. Przekaż tę sprawę Karolkowi.

– Ale oni się wycofali, szefie. Jednak nie sprzedają. Ktoś im powiedział, że niedługo nieruchomości pójdą w górę – improwizowała na oczekaniu Zuza.

– Trzeba im było powiedzieć, że ich nieruchomość pójdzie w górę, jak się przeprowadzą na wyższe piętro. Ale trudno... Odbijemy to sobie na tej kamienicy dla Anglika. – Mikulski zniknął w swoim gabinecie, ale po chwili znowu wyjrzał i powiedział: –I kup sobie koniecznie krople na katar.

Zu sięgnęła po płaszcz. Nagle coś przyszło jej do głowy. Odłożyła kapotę i weszła do biura. Przy komputerze siedział Karolek i strzelał do kurczaków. Na jej widok natychmiast zwinął grę do paska.

– Spokojnie. To tylko ja. Kurczaki dzisiaj nisko latają? Nie widziałeś gdzieś firmowego aparatu cyfrowego? Muszę zrobić zdjęcia jednej kamienicy.

– Na półce. Tam, po prawej stronie. Mogę jechać z tobą?

– A kto będzie odbierał telefony od klientów?

– Od rana pies z kulawą nogą nie zadzwonił. Jakby co, Anita zapisze albo da numer mojej komórki. Plisssss. Te parszywe kurczaki wykończą mnie nerwowo. Ani jednego od rana nie ustrzeliłem. Zaczynam mieć psychozę i niedługo będę bał się wróbla na parapecie.

– Historia zna takie wypadki. Oglądałeś *Ptaki Hitchcocka*?

– Nie lubię takich ramolów. Ty oglądasz? No tak. Anita mówiła mi, że jesteś na tym punkcie szurnięta. To co, jedziemy już?

– Najwyższa pora. Zanim tam dotrzemy autobusem, minie ruski rok i zacznie się ściemniać.

– Autobusem? Chyba żartujesz! Ja nie jeżdżę autobusem! Mam samochód.

– A mówiłeś, że masz samochód – zrzędziła Zu, gdy dotarli na parking pod biurem. – Trzeba było od razu powiedzieć prawdę, że masz czterdziestoletniego kaszlaka.

– Nie ma czterdziestoletnich kaszlaków – zaprotestował Karol. – Pierwszy mały fiat zjechał z taśmy montażowej w 1973 roku. I w ogóle nie nazywaj go kaszlakiem, bo jak usłyszy, to jeszcze się obrazi i zdechnie nam gdzieś w szczerym polu.

– Jak go zwał, tak zwał. – Zuza usiłowała podciągnąć kolana pod brodę. – Wolałabym jechać autobusem niż tym złomem.

W tym samym momencie samochód warknął, podskoczył i... zatrzymał się.

– Widzisz? Mówiłem ci, że się obrazi. On jest bardzo wrażliwy – stwierdził Karol. Wsiadł i podniósł maskę.

– Mam klęknąć na środku drogi, przeprosić go i poprosić, żeby raczył ruszyć z miejsca?

– Lepiej pomóż mi go pchać. Może znajdziemy gdzieś stację benzynową albo warsztat samochodowy.

Do najbliższego warsztatu mieli jakieś trzy kilometry.

– Dobrze, że nie jeździsz tirem – sapnęła Zuza i oparła się o maskę kaszlaka, gdy wreszcie zaparkowali. – W żaden deseń byśmy go do tego naprawu nie dopchali.

– Do jakiego naprawu? – zdziwił się Karolek.

– „Naprawu i ulkanizacji at” – i Zuza pokazała mu piękny szyld, na którym pysznił się wielki napis, nadgryziony mocno zębem czasu.

Mechanik przez kilka minut grzebał pod maską, a później wyprostował się i ciężkim wzrokiem spojrzał na Karola.

– Kolega zapomniał zatankować? A może jechał na zaciągniętym ręcznym? – próbowała zgadnąć Zu.

– Szmata – powiedział krótko mechanik, patrząc agentce prosto w oczy.

Zuzanna zapłonęła świętym oburzeniem i już zamierzała dać mu w pysk, ale na szczęście w ostatniej chwili wyhamowała rękę, bo mechanik sięgnął pod maskę i wyciągnął... brudną szmatę.

– Czyścił pan wczoraj silnik? – zapytał Karola.

– Tak. – Nieszczęsny właściciel malucha złapał się za głowę. –I zostawiłem ścierkę?

– Może ją pan zabrać. Należy się pięćset złotych.

– Za brudną szmatę? – Karol jęknął, jakby mechanik na żywca wyrwał mu zęba.

– Nie. Za usunięcie usterki. Netto. I do tego dwieście za czyszczenie silnika.

Karol uznał, że przedłużanie dyskusji z właścicielem szrotu spowoduje, że zostawi u niego całą pensję. Szybko zapłacił i czym prędzej oddalił się od naprawu i ulkanizacji.

Po kwadransie dobrnęli do celu podróży i zaparkowali przy Wesolej. Ten, kto wymyślił nazwę dla tej ulicy, był wielbicielem czarnego humoru, znajdowała się bowiem tuż obok cmentarza komunalnego. No, ale kto powiedział, że życie pozagrobowe jest smutne? Może wprost przeciwnie?

– Chyba nie uda się nam dzisiaj zrobić zdjęć tej twojej kamienicy. –
Stwierdził Karol.

– Jak to? Dlaczego? – zdziwiła się Zu.

– Dlatego! – Karolek potrząsnął wielką kłódką, która wisiała na
bramie.

– Nie, no zaraz... – Zu rozejrzała się wokoło. – Przecież gdzieś musi
być jakiś domofon czy co?

– To już lepiej szukaj tego „czy co”, bo domofonu tutaj na pewno nie
ma.

Wyglądało na to, że pechowi agenci odejdą z kwitkiem, gdy nagle Zu
wypatrzyła po przeciwnej stronie ulicy pana Leszka Kowala. On też ją
zauważył, pomachał ręką i podszedł do nich.

– Dzień dobry. Co pani tu robi?

– Mieliśmy zrobić zdjęcia pańskiej kamienicy, ale nie możemy wejść
do środka. Ale, co pan tu robi?

– No przecież to moja kamienica, to sobie przychodzę od czasu do
czasu popatrzeć. A tak poważnie. Odwiedzam brata bliźniaka, który mieszka
w tym domu. Ma już siedemdziesiąt lat i ktoś powinien się nim opiekować.

– Choruje? – spytała z troską Zu.

– Gdzie tam! – Pan Leszek machnął ręką z rezygnacją. – Jest zdrowszy
ode mnie, a może i od pani. Mam z nim inny problem. Brat bardzo
interesuje się polityką i bez przerwy zasypuje rozmaite instytucje listami i
petycjami. Pisał już do prezydenta, premiera i Komisji Episkopatu. Zdarza
się, że kogoś zwymyśla i chcą go pozwać do sądu. Trzeba wtedy chodzić i
prosić, żeby wycofali pozew, bo to siedemdziesięcioletni staruszek niespełna
roзумu. Zazwyczaj się udaje, ale dużo nerwów mnie to kosztuje. Wchodzą
państwo ze mną?

– Ale przecież zamknięte... – Zu znacząco potrząsnęła wielką kłódkę.

– Lokatorzy powiesili, żeby się tu nikt obcy nie plątał. Wcześniej bez przerwy przyłazili jacyś dziennikarze i szukali alkoholików, meneli i narkomanów, bo w redakcji kazali im przynieść tekst o ludziach z marginesu. Nie wiem, skąd im wszystkim przychodzi do głowy, że w każdej starej kamienicy mieszkają same lumpy.

– A nie mieszkają? – wyrwało się Karolkowi. – Przepraszam...

– Nie ma za co. – Machnął ręką pan Kowal. – Pan też się pewnie dumnych gazet naczytał. Tymczasem w tej kamienicy mieszkają spokojni ludzie. Zapraszam do środka, to sam pan zobaczy. Niech pan zostawi tę kłódkę. Jest wejście przez zakład pogrzebowy i cmentarz.

Pan Kowal poprowadził ich pomiędzy wielkimi blokami sztucznego granitu i marmuru, które cierpliwie czekały, aż pracowita ręka kamieniarza wykuje na nim epitafium dla kolejnego pracowitego i uczciwego człowieka. Bo, co zadziwiające, na cmentarzach leżą wyłącznie porządni obywatele. Gdzie leżą ci, którzy kradli, kłamali i mordowali, nie udało się do tej pory stwierdzić. Złośliwi twierdzą, że oni po prostu jeszcze żyją.

– Dzień dobry – odezwał się do pana Kowala jegomość w berecie z antenką, który wygrzewał się oparty o opiekuńcze ramię kamiennego anioła. – Jak tam brat? Nie widziałem go chyba od dwóch dni. Pytał się o niego też ten facet z punktu skupu złomu. U niego ponoć nie był już od tygodnia. Może się rozchorował?

– Co pan powie? – zaniepokoił się pan Leszek. – Chodźmy szybciej.

Przez cmentarz dotarli na tyły kamienicy. Weszli na klatkę schodową, zniszczoną, ale czystą. Zu poślizgnęła się na mokrej posadzce, na szczęście pan Kowal złapał ją troskliwie w ostatniej chwili.

– Proszę uważać. Rok temu zламаłem tutaj rękę na mokrej posadzce – przestrzegł Zuzannę i poprowadził ich w górę. Zatrzymali się na drugim piętrze pod odrapanymi drzwiami z wizytówką „Józef Kowal. Adwokat”.

– To pański brat jest adwokatem? – zdziwiła się Zu, bo jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić adwokata zbierającego złom.

– Był kiedyś. Wysłali go na wcześniejszą emeryturę, jak zmienił się właściciel kancelarii. Pojawili się jacyś dziwni klienci i brat okazał się niewygodny. Podobno miał staroświeckie podejście po pracy. Nie zgadzał się na naginanie prawa i rozmaite sztuczki, które jego nowy pracodawca próbował stosować. Brat się zaczął awanturować, zrzucił ze schodów jakiegoś klienta, który proponował mu przekupienie sędziego, więc się z nim pożegnano.

– To teraz już rozumiem, dlaczego on te pisma tak wysyła – stwierdził Karolek. – To nawyk zawodowy.

– Chyba właśnie nad czymś pracuje. – Pan Leszek przyłożył ucho do drzwi. – Słyszę jego maszynę do pisania.

– To on pisze na maszynie? – zdziwił się Karol. – Myślałem, że już nikt tego nie robi.

Pan Kowal zapukał do drzwi. Stukanie ucichło, ale nikt nie otworzył im drzwi. Nacisnął dzwonek, ale drzwi nadal pozostały zamknięte na głucho. Zadudnił więc pięścią.

– Niech się pani nie dobija, pani Płocharska – rozległ się okrzyk po drugiej stronie. – Jak będę miał czas, to sam do pani zajrzę. Przecież mówiłem, że pani napiszę to pismo do Urzędu Miasta. Ale nie teraz, powiedziałem, nie teraz!

– To ja, Leszek! Otwórz, bo wezwę pogotowie i straż pożarną.

Wreszcie doczekali się... Po drugiej stronie rozległy się kroki, drzwi otworzyły się i stanął w nich niski chudy mężczyzna.

– Pogotowie mi niepotrzebne. Mam zakład pogrzebowy pod nosem. Tam się mną lepiej zajmą niż w szpitalu. Przynajmniej nie każą mi leżeć na korytarzu jak ostatnio.

Wpuścił ich do środka. Zgodnie z zasadą, że nie należy witać się przez próg dopiero za drzwiami dokonano oficjalnej prezentacji.

– Przyprowadziłem państwa z agencji nieruchomości.

– A po co? – burknął Józef. – Jeszcze nie umarłem, więc nie możesz sprzedać mojego mieszkania. Zresztą, nawet po mojej śmierci nikt tego nie kupi, bo będę tu straszył. Po co ci agencja nieruchomości?

– My przyjechaliśmy w sprawie kamienicy – wtrąciła się Zu, ale w tym samym momencie poczuła, jak wytworny i subtelny pan Leszek miażdży jej stopę swoim butem.

– Państwo szukają jakichś mieszkań w tej części Warszawy do sprzedania, więc pomyślałem, że może w naszej kamienicy – zaczął szybko pan Leszek, wyraźnie starając się nie dopuścić do głosu Zuzanny i Karolka.

– To głupio myślałeś – odpowiedział krótko pan Józef. – Przecież w sprawie naszej kamienicy ciągle jeszcze nie ma decyzji o zwrocie. Nikt nie kupi, bo nie wiadomo, co będzie dalej.

– Faktycznie, nie pomyślałem. To już pójdziemy, nie będziemy bratu przeszkadzać. I jeszcze jedno... Pokaż się czasami komuś, bo inaczej sąsiedzi będą co jakiś czas wzywać straż pożarną, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyjesz.

– Dobra, dobra... Może ja już faktycznie za długo żyję i dlatego wciąż się komuś wydaje, że już umarłem. Ale nie zamierzam wyciągnąć nóg,

zanim nie odzyskamy naszej kamienicy. A później, to już mi wszystko jedno.

Zu już zamierzała powiedzieć, że przecież kamienicę zwrócono, ale w tym samym momencie jej wzrok padł na potężne buciory pana Leszka, więc ugryzła się w język.

– Alicja przysyła ci pierogi i zupę. – Pan Kowal podał bratu torbę z jedzeniem.

– Pierogi z mięsem? – upewnił się brat, biorąc do ręki pakunek.

– Ruskie, z chudym twarogiem. Przecież wiesz, że masz podwyższony cholesterol i musisz ograniczyć mięso.

– Trudno. A zupa jaka – grochówka na boczku może?

– A ten znowu swoje! Nie, chudy rosół!

– Jak słyszę „chudy rosół” to od razu wyobrażam sobie niemiłosiernie rachitycznego kurczaka, który nie ma siły uciec przed rzeźnikiem, który goni go z siekierą i w końcu dopada i odrąbuje mu głowę. Nie wiem, jak człowiek z czystym sumieniem może jeść taką zupę.

– Co pan mówi? – oburzyła się Zu. – Ja uwielbiam domowy rosół. I pierogi z serem też. Ale sama nie umiem ich zrobić.

– To zapraszam na obiad – powiedział pan Józef, a widząc, że Karolek waha się, czy zaproszenie dotyczy również jego, dodał: –I pana też, młody człowieku.

Całe towarzystwo, które do tej pory stało pod drzwiami toalety, przeniosło się do kuchni. Choć pewnie znaleźliby się i tacy, którzy polemizowaliby, czy nie była to przypadkiem łazienka, bo za ceratową zasłonką stała wanna, w której moczyły się skarpetki i koszule.

– Przepraszam, ale wczoraj namoczyłem pranie i zupełnie o nim zapomniałem – bąknął zawstydzony pan Józef i zasunął szczelnie zasłonkę.

Ze staroświeckiego kredensu z kolorowymi szybkami wyciągnął talerze. Położył je na blacie i usiłował zamknąć szafkę. Niewiele brakowało, a cała zastawa wylądowałaby na podłodze. Na szczęście, Zu w ostatniej chwili złapała naczynia...

– Ja pomogę. – Podniosła się z krzesła i zaczęła rozpakowywać torbę z jedzeniem. Wyjęła też sztuce z szuflady i rozłożyła je na stole. A gdy kulinarne dzieła sztuki autorstwa pani Aliny Kowalowej zostały już unicestwione, pozmywała i wstawiła talerze do kredensu.

– Dziękuję bardzo. – Pan Józef poklepał ją po ręce, w której ciągle jeszcze trzymała ścierkę do naczyń. – Gdybym nie był taki stary, to bym się z panią ożenił.

– Niestety. – Roześmiała Zuzanna. – Nie mogłabym wyjść za pana i to wcale nie dlatego, że jest pan za stary. Ja już mam męża. Co prawda w Londynie, ale mam...

Zu przestała się uśmiechać. Odwróciła się plecami do pana Józefa, żeby nie zauważył, że coś jest nie tak. Pociągnęła nosem w nadziei, że w ten sposób powstrzyma łzy. Na wszelki wypadek dyskretnie przesunęła ścierką do naczyń po twarzy.

– Wróci dziewczyno, wróci już niedługo. – Pan Józef zabrał ścierkę z jej ręki, a widząc, że Zu zaraz się rozklei, zaczął mrużyć z udawaną surowością. – I proszę mi tu nie smarkać w moją jedyną ścierkę do naczyń! Będę ją musiał prać, a miałem nadzieję, że wytrzyma do Bożego Narodzenia. Sama pani widzi, że mam problemy z praniem. Zawsze o nim zapominam!

– Dlaczego nie powiedział pan bratu, że kamienicę oddali? – zapytała Zu pana Leszka, gdy teleпали się z powrotem maluchem Karolka. – Przecież wcześniej czy później i tak się dowie.

– Im później, tym lepiej. Dzisiaj dostałem jeszcze jedno pismo z Ratusza. Okazało się, że kamienicę nam oddadzą, a jakże... Ale my mamy oddać sto pięćdziesiąt tysięcy, które miasto wydało po wojnie na jej remont. Jak Józek się o tym dowie, to dostanie zawału. – Pan Leszek machnął ręką i o mało nie wybił bocznej szyby. – O, przepraszam. Normalnie jeżdżę trochę większym samochodem...

– A jakim? – zainteresował się natychmiast Karolek.

– Wielkim czerwonym...

– Porche, porsche? – zapalił się Karolek.

– Autobusem, młody człowieku, autobusem...

Rozdział 12

NOGA TEŚCIOWEJ, czyli...

CO ŁĄCZY STAREGO FREUDA Z PIEROGAMI RUSKIMI

Ledwo weszła do mieszkania, została zastrzelona przez Baškę nową wiadomością:

– Dzwoniła twoja teściowa. Ledwo zdążyłam odebrać, bo ten dolny zamek w drzwiach to tak jakoś dziwnie się otwiera...

– Odwrotnie, bo Michał przykręcił go do góry nogami. Jak się zorientował, to mu się już nie chciało odkręcać. Nieważne. Miała jakieś wiadomości od Michała? Do mnie nie dzwonił...

– Nie, o Michale nic nie mówiła. Prosiła tylko, żebyś koniecznie do niej przyjechała – raportowała młodsza siostra.

– Dobra, dobra, już się zbieram... Michał nie dzwonił do domu jak byłaś? Zabiję tego skunksa, jak się nie odezwie jeszcze przez jeden dzień.

W tym samym momencie zadzwonił telefon.

– Michał! – pisnęła Zu i rzuciła się na telefon. – Słucham...

– Cześć, tu Karol. Przeglądałam właśnie zdjęcia z tej kamienicy na Wesolej. Musisz to zobaczyć.

– Karolek, zobaczę jutro. Teraz nie mogę, bo mam na głowie złamaną nogę.

– Sorki, co masz na głowie?

– No, przecież mówię... Złamaną nogę, teściowej nogę i dlatego nie mogę, no, ten... nie mogę z tobą rozmawiać. Widzimy się jutro rano w agencji.

– Dobra, ale dzisiaj już nic nie wachaj, OK?

– OK, OK. Spadaj, przystojniaku! – Zu pożegnała ciepło kolegę i odłożyła słuchawkę.

Baśka stanęła w drzwiach z talerzem pierogów...

– Zjedz coś, zanim pojedziesz. Teściowa raczej na jednej nodze obiadku ci nie poda.

– A co tam masz?

– Pierogi ruskie – pochwaliła się młodsza siostra i z lubością pociągnęła nosem. – Twoje ulubione. No co się śmiejesz głupia jak głupi do sera?

Zu otarła łzy, ciesząc się w duchu, że zamiast się rozbeczeć z żalu, że Michał nie dzwoni, udało jej się ryknąć śmiechem.

– Nie jestem głodna. Ale, wiesz co? Zapakuj mi to dla teściowej.

Baśka przygotowała przesyłkę z jedzeniem, a Zu w tym czasie włożyła kurtkę. Chwyliła paczkę i otworzyła drzwi wyjściowe.

– Pewnie będzie wojna, bo wszyscy lepią pierogi ruskie – krzyknęła jeszcze do siostry. Baśka wymownie postukała się łyżką wazową po głowie. Zu zamknęła drzwi, odwróciła się i stanęła nos w nos z panią Jarzębską.

– Znowu wojna? – krzyknęła przestraszona sąsiadka.

– Kto na nas napadł?

– Ruskie, pani Jarzębska. Ruskie! – krzyknęła Zu i zbiegła po schodach, zostawiając osłupiałą sąsiadkę na podeście siódmego piętra.

Po godzinie dobrnęła do mieszkania teściowej. Nacisnęła dzwonek. Rozległo się szuranie, stukanie i w drzwiach stanęła matka Michała, blada, rozmemłana i nieuczesa. Zaskoczona Zu zobaczyła, że teściowa nie ma na nodze gipsu.

– Strasznie mnie swędziało, to zdjęłam – odpowiedziała teściowa, widząc, jak synowa jej się przygląda i wskazała gipsowy odlew, który stał w

przedpokoju oparty o wieszak. – Dziękuję, że przyjechałaś. Wchodź szybko, bo ja nie mogę za długo stać.

Zuzanna weszła do mieszkania, starając się nie patrzeć na gipsową nogę. Odruchowo ruszyła do pokoju, który zajmował Michał, ale teściowa poprowadziła ją w głąb korytarza. Zobaczyła pokój, który przypominał mieszkanie państwa Kowalów. Stary odarty z lakieru parkiet, bujany fotel pamiętający przemówienie Gomułki z 1956 roku. I wszędzie porozstawiane w wazonach suche gałęzie, a na meblach jakieś kolekcje dziwacznych kamieni.

– Michał chciał to wszystko wyremontować, kupić nowe meble, ale mu nie pozwoliłam. Lubię te stare graty. Siadaj gdzieś, bo jak ty stoisz, to ja też, a noga pioruńsko mnie boli.

Teściowa z widoczną ulgą opadła na łóżko, a Zu przysiadła odruchowo na bujaku, ale zaraz się zerwała.

– Ja przyniosłam coś do jedzenia. Zaraz, gdzie ja to mam. O, cholera! Zostawiłam w autobusie – jęknęła Zu i pomyślała, że teraz teściowa ciśnie w nią jednym z gładów leżącym na odrapanej komodzie. Zamiast tego, matka Michała wybuchła śmiechem i zapytała tylko:

– A co tam było?

– Pierogi ruskie i rosół. Moja siostra gotowała. Pyszota. Jeszcze raz przepraszam.

– Nie ma za co. Każdemu może się zdarzyć. Słyszałam o ojcu, który poszedł do sklepu z synem, a wyszedł bez dziecka, za to z nową żoną.

Zu chciała właśnie opowiedzieć rodzinną anegdotę o stryju Bogusiu, który poszedł do kościoła z synem, a wrócił z córką. Ale nie zdążyła, bo ktoś zadzwonił do drzwi.

– Możesz otworzyć? – poprosiła teściowa.

Zu, biegnąc do drzwi, potknęła się o gips. Przeważała go i uchylała drzwi. Po drugiej stronie stała staruszka, która wyglądała jak *alter ego* Pani Jarzębskiej. W ręku trzymała siatkę z pierogami i rosółem. Jej siatkę!

– Jest pani Roszkowska? – zapytała sąsiadka, usiłując zajrzeć do mieszkania. – Chyba zostawiła siatkę pod drzwiami. Jeszcze kto ukradnie, bo ludzie to tera takie podłe, takie podłe...

– Dziękuję. – Zu wyciągnęła rękę po cudem odzyskany prowiant. – To ja zostawiłam pod drzwiami. Zabiorę.

Ale staruszka jakoś nie kwapiła się do zwrotu pierogów i rosółu.

– A pani to kto? – zainteresowała się. – A pani Roszkowska jest?

– Jestem, jestem – odezwała się z głębi mieszkania matka Michała. – To moja synowa. Pomaga mi, bo złamałam nogę. Dziękuję, pani Ludwiko.

Sąsiadka przyjrzała się Zu podejrzliwie.

– Synowa. No patrzcie państwo... – mruknęła, po czym rozplynęła się w mroku klatki schodowej. Zu zamknęła za nią drzwi, sprawdzając, czy czegoś jeszcze nie zostawiła pod drzwiami. Nagle, za jej plecami, telefon zadzwonił tak głośno, że aż podskoczyła. Roszkowska usiłowała się podnieść, ale synowa ją powstrzymała.

– Odbiorę – powiedziała i podniosła słuchawkę. – Słucham?

– Cześć skarbie – usłyszała po drugiej stronie głos męża. – Co u ciebie? Swoją drogą, stary Freud chyba miał rację z tą swoją teorią pomyłek. Chciałem zadzwonić do mamy, a wybrałem numer do domu. Pewnie to dlatego, że tak okropnie tęsknię za tobą.

– Kochanie, jesteś łoś do kwadratu – czule oznajmiła mężowi Zu. – Dodzwoniłeś się dobrze, bo to mieszkanie twojej matki. Oddam słuchawkę, ale streszczaj się, bo jej pierogi wystygną i rosół, a ja nie mam zamiaru odgrzewać. Powiedz lepiej, kiedy przyjedziesz?

– W przyszłym tygodniu może mi się uda. Ale, co ty robisz w mieszkaniu mojej matki i o co chodzi z tymi pierogami i rosołem?

– Mama wszystko ci wyjaśni... – zanim Zu oddała słuchawkę teściowej szepnęła konspiracyjnie: – Przyjedzie niedługo... – po czym, nucąc pod nosem „Jestem żabą z Mozambiku, leżę sobie przy śmietniku...”, poszła do kuchni zrobić herbatę. Z wielkiej radości zapomniała jednak wlać do środka wodę i czajnik się spalił, wypełniając całe mieszkanie paskudnym smrodem...

TTLR

Rozdział 13

TRZECIA GODZINA GRATIS, czyli...

GDZIE SIĘ PODZIAŁY ZDJĘCIA KAMIENICY

– I po to do mnie wydzwaniałeś? – Zu spojrzała na Karolka wzrokiem ciężkim jak ołów. – Po to do mnie wydzwaniałeś, żeby mi pokazać jakąś panienkę, której pasek od stringów wylazł ze spodni, jak się schyliła. Jak ci lutnę, Karol...

– Sorki, to nie to zdjęcie. Czekaj, gdzie ja to mam...

– Karolek złapał pękata teczkę i wysypał zdjęcia na biurko. Przed oczami Zu przesunęła się obszerna galeria biustów i pośladków, na szczęście nie gołych, bo chyba zamordowałyby kolegę za wpędzanie w kompleksy. Na jednym zdjęciu udało się fotografowi uchwycić kawałek piersi ponętne wychylający się ze zbyt głębokiego dekoltu. Na innym – opięte spodnie pozwalały z dużym prawdopodobieństwem domyślić się, jaki wyglądają schowane pod nimi pośladki.

– Karolek, ty jesteś zboczony, wiesz?

– No coś ty! – oburzył się kolega. – To jest kawał dobrej sztuki.

– Ja tu widzę tylko kawał dupy, nie wiem, czy dobrej – stwierdziła Zuzanna. – No i gdzie masz to zdjęcie dla mnie?

– Tu jest! – krzyknął triumfalnie artysta i kliknął w ikonkę. Po chwili na ekranie pojawiła się dobrze im znana kamienica przy ulicy Wesolej.

– No i co? – wzruszyła ramionami Zu. – Tę rudere widziałam wczoraj na żywo i nie rzuciła mnie na kolana. Myślisz, że na zdjęciu nagle mnie zauroczy?

– Tu patrz, tu! – Karolek najechał myszką na zdjęcie.

– No patrzę. Kobita stoi.

– A teraz? – kolega powiększył fragment.

– Kobita w starym płaszczu stoi. No o co ci chodzi?

– A teraz? – Karolek jeszcze raz powiększył.

– Ożeż ty! To przecież facet w damskim płaszczu! To musi być jakiś transwestyta albo ekshibicjonista. Błeeee... Myślałam, że cię gołe dupy kręca, a nie tacy zboczeńcy. Nie znałam cię od tej strony. Odsuń się ode mnie.

– Nie bredź kobieto. Lepiej przyjrzyj mu się uważnie. Jak myślisz, co on tak obserwuje.

– No, chyba kamienicę. – Zu spojrzała na kolegę jak na ciężkiego idiotę.

– Ale w czyje okna patrzy? Bo moim zdaniem w okna mieszkania pana Józefa. Ty, słuchaj, a może on nas śledził? Konkurencja go może wynajęła?

Zuzanna popukała się w czoło i poradziła Karolkowi, żeby zamiast bawić się w detektywa, dalej fotografował gołe pośladki, bo to mu dużo lepiej wychodzi. Kolega obraził się i ostentacyjnie zamknął program do edycji zdjęć. Zu chciała go w jakiś sposób udobruchać, ale nie zdążyła, bo do pokoju wszedł szef.

– Dobrze, że cię widzę. Jak tam kamienica? Znalazłaś?

– Tak, a Karol zrobił nawet zdjęcia. – Zu uśmiechnęła się czarująco do naburmuszonego kolegi. – Właśnie przed chwilą je oglądaliśmy. To znaczy, dopiero zaczęliśmy. Karol pokazał mi jedno. Jak pan prezes sobie życzy, to możemy zobaczyć resztę.

W tym samym momencie zobaczyła, jak za plecami szefa Karol łapie się za głowę, udaje, że podrzyna sobie gardło i wiesza się na krawacie. Zrozumiała, że coś z tymi zdjęciami było nie halo.

– Ale może ja najpierw wszystko panu opowiem, a zdjęcia obejrzymy później. Tę kamienicę wybudowano w roku 1937. Była to typowa jak na tamte czasy budowla secesyjna. Zaprojektował ją mało znany, ale bardzo obiecujący architekt...

– Dobra, dobra... Teraz nie mam czasu. Spieszę się na spotkanie z klientem. – Mikulski zerwał się z krzesła i wybiegł w pośpiechu z pokoju.

Karolek opadł na krzesło z ulgą.

– O mało mnie nie wkopałaś tymi zdjęciami na całego! – westchnął.

– Ale później cię uratowałam, więc jesteśmy kwita. A w ogóle, to o co chodzi z tymi zdjęciami. Przecież wczoraj ich natłukłeś jak głupi. Co się z nimi stało?

Karolek jakoś nie kwapił się do udzielenia odpowiedzi i nagle bardzo gwałtownie zaczął szukać czegoś na biurku.

– Gadaj zaraz! – Zu oparła się na biurku całą potęgą swoich sześćdziesięciu pięciu kilogramów.

– Zdjęcia były, ale jak jechałem do domu, to podwiozłem superdziewczynę. Zaprosiłem ją do siebie na kawę.

– I co? Aparat wpadł ci do filiżanki czy panienka go ukradła? Chyba nie, bo jedno zdjęcie widziałam.

– Ojejku, zejdź ze mnie kobieto, bo mi duszno. No, byliśmy później u niej. Powiedziałem, że robię artystyczne zdjęcia. Pechowo akurat skończyło mi się miejsce na karcie. Co, miałem przegrywać i kazać jej czekać? Wykasowałem te zdjęcia z kamienicą i już. Przecież ta rudera jutro też będzie stać, a dziewczyna by wystygła, zanim bym zdążył do domu polecieć, kompa odpalić i przegrać zdjęcia.

– Co ty! Ona na pewno była z tych, co to „Trzecia godzina gratis”. Poczekalaby, bo to jej praca. Ty, Karolek, to się idź lecz, bo jak nic jesteś uzależniony od seksu. To ciężka choroba.

– Zazdrościsz, bo chłopa nie masz. Seksu ci trzeba.

– Mam, tylko chwilowo na emigracji zarobkowej i odczep się od mojego seksu. I zdjęcia zrób.

– A ty się odczep od mojego...

– Od czego ona ma ci się odczepić, Karolek? – zapytała z ogromnym zainteresowaniem sekretarka, która stanęła w drzwiach. – Albo wiesz co? Lepiej mi nie mów, bo to musi być straszne świństwo. Macie dzisiaj zrobić zestawienie tych ofert, co nad nimi pracujecie. Polecenie szefa.

Nagle Zu uświadomiła sobie, że ostatnio zajmowała się wszystkim, tylko nie pracą i jej lista dla szefa będzie bardzo krótka. Zostanie na niej akurat tyle wolnego miejsca, żeby prezes mógł dużymi literami napisać: „Zwalniam panią Roszkowską z powodu nikłego zainteresowania sprawami zawodowymi”. Przyjrzała się tej nowej niespodziewanej perspektywie życiowej z każdej strony i z żadnej nie wyglądała ona zachęcająco. Usiadła więc na resztę dnia z gazetą przy telefonie i obdzwaniała ludzi, którzy zamieścili anons, że chcą sprzedać lub kupić jakieś lokum. Pierwszych namawiała, żeby sprzedali mieszkanie za pośrednictwem Czterech Kątów, bo dzięki temu: sprzedadzą o wiele drożej, agent przedstawi ich mieszkanie w jak najkorzystniejszym świetle przyszłym klientom. Z kolei tych, którzy mieliby kupić lokum z pomocą superprofesjonalnych agentów Czterech Kątów, przekonywała, że tylko dzięki agencji znajdą najlepsze mieszkania za najniższą cenę, a agenci niczym detektywi zdemaskują nieuczciwych właścicieli lub deweloperów, którzy chcieliby ukryć przed nabywcami ewentualne wady lokalu lub jego otoczenia. Jednym słowem: tylko dzięki

Czterem Kątom nie odkryją pewnego dnia, że przez ich kuchnię przebiega obwodnica, a w piwnicy budują właśnie pierwszy w Polsce reaktor atomowy. A wszystko za symboliczną prowizję – dwa i dziewięć dziesiątych procenta. Że dużo? Ależ proszę państwa, konkurencja bierze dużo więcej! Wreszcie, po siedemnastej stwierdziła, że z pracy już raczej nie wyleci, a może nawet dostanie premię.

– Idę do domu – powiedziała, wchodząc do sekretariatu. Chciała coś jeszcze dodać, ale okazało się, że gada z pustym biurkiem. W sekretariacie nie było Anity. Nie wyszła jeszcze, bo jej płaszcz wisiał na wieszaku. Zu pomyślała, że pewnie jest w toalecie. Nie chciała wychodzić bez pożegnania, więc przysiadła na biurku, które zaprotestowało głośnym skrzypieniem, że taka gruba baba się na nie gramoli. Z nudów zaczęła przeglądać papiery na biurku. Nagle usłyszała, jak w gabinecie szefa coś z brzękiem spada na podłogę. Ze strachu podskoczyła na biurku i złamała wysuwaną półkę na klawiaturę, o którą zahaczyła nogą. Podeszła ostrożnie do przymkniętych drzwi gabinetu szefa, zastanawiając się, czy dobrze robi. A może lepiej byłoby uciec i wezwać policję, bo może to jacyś złodzieje albo bandyci? Przyłożyła ucho do drzwi. Cisza... Ostrożnie położyła rękę na klamce i w tym samym momencie poczuła, jak ktoś gwałtownie szarpnął drzwi po drugiej stronie. Z hukiem wleciała do ciemnego gabinetu Mikulskiego i wylądowała na jego reprezentacyjnym biurku, zrzucając wyjątkowo szkaradny puchar, który jej szef zdobył w turnieju minigolfa. Gdy tak leżała na brzuchu w poprzek mebla, wypinając siedzenie; nagle usłyszała, jak ktoś do niej podchodzi. Zabiją mnie, zabiją – zdążyła pomyśleć, gdy nagle zapaliło się światło i zobaczyła nad swoją głową Anitę z uniesionym do góry koszem na śmieci.

– To ty? – zdziwiła się głupio sekretarka.

– A co? – warknęła Zu i zwlokła obolałe cielsko z podrabianego antyku. – Myślałaś, że śmieciarze, że tak wisisz nade mną z tym koszem? Co ty tu cholera robisz... – chciała dodać „po ciemku”, ale zobaczyła, że w drugim kącie pokoju czai się Karolek i już nie musiała zadawać żadnych pytań. Tym bardziej, że Anita spłonęła krwistym rumieńcem, a Karolek miał poluzowany krawat i szminkę w ulubionym kolorze sekretarki na kołnierzyku. Wszystko było jasne! Więc zakończyła: – Co ty tu robisz po godzinach pracy? Pracoholiczką zostałam na stare lata czy co? Karolek, odwieź ją do domu, bo nigdy stąd nie wyjdzie. Ja też wychodzę. I nie zapomnijcie dokładnie zaniknąć drzwi, bo jeszcze jacyś złodzieje obrobiją agencję. Pełno jest teraz złych ludzi na świecie. To do jutra! Pa, pa, pa!

Jak gdyby nigdy nic poprawiła odzienie zrujnowane w zetknięciu z biurkiem i dostojnym krokiem wyszła z gabinetu Mikulskiego, zostawiając osłupiałą Anitę z koszem na śmieci i Karolka udającego, że szuka czegoś zawzięcie w segregatorze z księgowością sprzed czterech lat. W sekretariacie założyła płaszcz i wyszła z biura. Jakoś tak jej się wesoło zrobiło, bo lubiła swoich znajomych z pracy. A ponieważ każde z nich do tej pory było singlem, mogli bez przeszkód uprawiać sobie seks po godzinach pracy.

– Wiesz co? – mówiła wieczorem do Baśki. – Tak sobie myślę, że powinno mi być przykro, jak ich przyłapałam. No wiesz, że ja jestem taka samotna, Michał daleko i nie ma mnie kto przytulić.

– To chodź, ja cię przytulę – zadeklarowała się siostra i ruszyła w jej stronę.

– Spadaj, wariatko – odgoniła ją Zu. – Nie o to mi chodziło. Ale jak sobie tak na nich popatrzyłam, to przypomniały mi się różne romantyczne chwile z Michałem i wcale nie było mi przykro. Pomyślałam, że wiecznie

sama nie będę, niedługo moje kochanie wróci, a tym w gabinecie niech będzie jak najlepiej. Tylko niech skończą, zanim wróci Mikulski i skończy z nimi.

– Jakby skończył z nimi, to podpadałoby to już pod seks grupowy.

– Seks z Mikulskim? Błeee! Co prawda, jestem słomianą wdową, ale na niego bym się nie połaszczyła, nawet jakby był jedynym facetem na kuli ziemskiej. Musiałabyś zobaczyć, jakie on ma krawaty! Dzisiaj założył taki z żółtymi kurczakami. Ma też jeden w słoneczka, dwa w różowe serduszka i chyba jakiś w zielone słonie. Przypuszczam, że slipy też nosi podobne.

– Widziałaś? – zainteresowała się Baśka.

– Na szczęście nie i nie chcę oglądać. Jakby się przede mną zaczął rozbierać, to uciekałbym przed nim nawet, jakbym miała obydwie nogi złamane. O, cholera, złamana noga! Kompletnie zapomniałam o teściowej. Pewnie biedaczka umarła z głodu. Jak nic, przeklęła mnie przed śmiercią! Muszę do niej zaraz zadzwonić. – Zu chwyciła słuchawkę telefonu.

– Wariatko, jest już prawie dziesiąta. – Baśka zabrała jej telefon. – Jak twoja teściowa umarła, to i tak nie odbierze. A jak żyje, to też nie odbierze, bo pewnie śpi. A głodna nie jest, jadła na obiad naleśniki z pieczarkami.

– Skąd wiesz, co jadła? Dzwoniła tutaj? Skąd ona wzięła te naleśniki, też bym sobie zjadła...

– To idź do kuchni. Zostawiłam kilka dla ciebie. Jak twoja teściowa zadzwoniła, to się zorientowałam co jest grane i pojechałam do niej z obiadem. To jak... Będziesz jeść czy nie...

Ale odpowiedzi nie usłyszała, bo Zu zasnęła w ubraniu na kanapie. Miała rozanieloną minę.

– Ciekawe, co jej się śni – zastanawiała się Baśka, okrywając starszą siostrę kocem. – Pewnie seks z Michałem albo naleśniki z pieczarkami. Ja na jej miejscu wolałabym to drugie...

TTLR

Rozdział 14

ZNIECZULICA SPOŁECZNA, czyli...

JAKIE SĄ SKUTKI WIZYTY DWÓCH KOBIET BEZ DRABINY

– Pyszne te naleśniki! Nawet na zimno. Mniam, mniam... – Zu mlaskała głośno, siedząc na łóżku w piżamie z talerzem naleśników z pieczarkami. – Chyba się z tobą ożenię, żebyś mi codziennie takie robiła.

– Po pierwsze, porzygałabyś się po tygodniu. Po drugie, u nas nie zalegalizowali małżeństw homoseksualnych, więc nic z tego. Po trzecie, masz męża, który dzwonił wczoraj. A po czwarte, ja bym cię nie chciała, bo jesz jak świnia...

Zu udławiła się kawałkiem naleśnika. Bynajmniej nie z powodu nazwania ją świnia...

– Kiedy dzwonił? – wyrzeźbiła. – Dlaczego dopiero teraz mi o tym mówisz, zołzo?!

Baśka (z dziką satysfakcją) walnęła ją najpierw trzy razy w plecy i odpowiedziała, że nie zdążyła, bo Zuza zasnęła wczoraj w ubraniu na kanapie.

– I co mówił? Nie wal mnie już po plecach, bo mi coś odbijesz, wariatko! – Zu uchyliła się w ostatniej chwili przed ciosem, który troskliwa młodsza siostra chciała jej wymierzyć między łopatki. – Zaraz do niego oddzwonię. Gdzie ja mam telefon? Cholera, nie ma. Zgubiłam albo zostawiłam w pracy. Lecę tam zaraz.

Zu zerwała się z łóżka i chwyciła płaszcz.

– Chcesz lecieć w piżamie i skarpetkach? Zgarną cię na ulicy i wywiozą do czubków. A do Michała i tak się nie dodzwonisz. Zmienił numer telefonu, bo mu stary ukradli albo mu się zepsuł, nie słyszałam

dobrze. W każdym razie powiedział, że sam do ciebie dryndnie, jak już będzie miał nowy numer. Dzwonił z telefonu kolegi.

Zu położyła się w kurtce na łóżku i postanowiła natychmiast umrzeć z rozpaczy. Niestety nie zdążyła, bo po kilku sekundach poczuła, że przemakają jej na tyłku spodnie od pizamy...

– Cholera, co jest? – zerwała się z łóżka. Z tyłka zwisał jej smętnie kawałek naleśnika z pieczarkami. – No nie, koszmary dzień. Ciekawe, co jeszcze...

Zanim zdążyła dokończyć: „się dzisiaj wydarzy” usłyszała jakiś rumor na klatce i podniesione głosy. Pani Jarzębska z kimś się wyklócała. Normalnie Zu wyjrzałaby, żeby się zorientować, czy sympatyczna staruszka nie potrzebuje pomocy, ale dzisiaj wyglądała jak ofiara bitwy na naleśniki z pieczarkami i marzyła tylko o tym, żeby wskoczyć do wanny. Zatrzymała się przez chwilę pod drzwiami, żeby się upewnić, że staruszce z naprzeciwka nic nie grozi.

– Co tak podsłuchujesz? Lepiej byś wyjrzała i pomogła – mruknęła Baśka, wychylając się z drugiego pokoju. – Kompletna znieczulica społeczna, cholera. Chyba ja tam pójde.

– Nie masz po co. Z przebiegu dyskusji pod moimi drzwiami wnioskuję, że kłopoty to będzie miała ta baba, co Jarzębska zaczepiła.

Już chciała zamknąć się w łazience, gdy nagle tuż nad jej głową zajazgotał dzwonek.

– Co jest? – zdenerwowała się Zu. – Otwórz, ja nie mogę.

Baśka poczekała aż siostra zniknie za drzwiami łazienki i otworzyła drzwi. Zuza zerkała przez szparę w drzwiach. Po drugiej stronie stały dwie obce kobiety i pani Jarzębska.

– Pani Zuzanna jest? Bo te panie chcą prąd odłączyć za niezapłacone rachunki. Mówiłam im, że to pomyłka, ale one się upierają, że mają pismo z elektrowni.

– Z Zakładu Energetycznego – sprostowała z godnością jedna z kobiet.

– Proszę zobaczyć.

Zu otworzyła drzwi od łazienki. Panie z Zakładu Energetycznego musiały przechodzić jakieś specjalne szkolenia psychologiczne i zaliczać specjalne testy z odporności na ciężki stres. A te dwie na pewno zaliczyły je na szóstkę, bo na widok rozczochranej baby w brudnej piżamie i zimowej kurtce nie uciekły z krzykiem. Cofnęły się jedynie z obrzydzeniem.

– Mogę prosić to pismo? – Zu wyciągnęła rękę w stronę wyższej kobiety, która trzymała świstek. Ta podała jej papier, starając się nie wejść w kontakt ze zwisającymi z rękawów płaszcza smętnymi resztkami naleśników. Zuzanna przez dłuższą chwilę studiowała dokument.

– No i co tam jest napisane? – dopytywała się Baśka.

– Że od dwóch miesięcy nie płacimy rachunków. – A płacicie?

– Nie wiem – wyznała z rozbijającą szczerością starsza siostra. – Może płacimy, a może nie płacimy.

– Jak to? Nie wiesz? – zdziwiła się Baśka.

– No, po prostu nie wiem. To Michał zawsze regulował rachunki. Po jego wyjeździe jakoś nie przyszło mi do głowy, że teraz ja muszę to robić. Ale jeszcze dzisiaj zapłacę.

To ostatnie zdanie było skierowane do pań z Zakładu Energetycznego, które pozostały jednak nieczułe na zapewnienia Zuzanny i zabrały się do odkręcania licznika.

– Każdy tak mówi. Pieniądze przepiją i na rachunek za prąd później nie mają – skomentowała pierwsza.

– Albo na narkotyki – dodała druga, patrząc znacząco na Zu. – Mamy nakaz i odkręcić musimy. A pani to sobie wyjaśni.

Odkręcony licznik schowały do wielkiej torby i ruszyły w kierunku windy odprowadzane wzrokiem przez Zu, Baśkę i panią Jarzębską.

– Może ja pani świeczki pożyczę? – zaproponowała życzliwie sąsiadka.

– Nie, dziękuję. Zaraz zapłacę te rachunki i na pewno do wieczora prąd włączą.

– No, jak pani chce – uśmiechnęła się pani Jarzębska. – Ale jakby pani potrzebowała, to ja mam nowiutką gromnicę. Długo będzie się palić. Tylko raz używałam, jak ta straszna burza była. W oknie postawiłam. Niech pani też kupi koniecznie.

– Na pewno kupię – zapewniła ją Zu. – Ale dzisiaj nie będzie mi potrzebna. Zapłacę rachunki, przyjdą, zamontują licznik i znowu będę miała prąd.

– Oby, oby... – mruknęła pani Jarzębska. – Ale jakby co, to proszę wstąpić po gromnicę.

Rozdział 15

WŁAMANIE DO LODÓWKI, czyli...

JAK ZADBA O CIEBIE AGENT NIERUCHOMOŚCI

Jeśli nieszczęścia naprawdę chodzą parami, to te, które na swoją ofiarę upatrzyły sobie Zu, musiały być bardziej towarzyskie od innych, bo ścigały ją całym stadem. Od rana zdążyła już zapodziać gdzieś telefon, dostać zgagi od Bańkowskich naleśników z pieczarkami (zawsze tak miała po pieczarkach, ale nie potrafiła ich sobie odmówić), pożegnać się z licznikiem prądu elektrycznego i przewrócić się w czasie pogoni za autobusem. Siedząc na chodniku w ubłoconym płaszczu i uszarganych spodniach, patrzyła jak czerwony niskopodłogowiec odjeżdża z przystanku.

– Cholera jasna! – Walnęła torebką o kosz na śmieci. – Niech to szlag trafi!

– No wie pani?! – oburzyła się jakaś matka, która przechodziła obok z wózkiem. – Jak tak można przy dziecku?

– Ja dziecka nie mam – sprecyzowała Zu.

– O, jaka bezczelna! – skomentował starszy pan z pudłem na smyczy.

– Pani ją zostawi, pewnie pijana albo naćpana!

Zu pozbierała się szybko z chodnika i ruszyła w stronę przystanku. Swoją drogą, liczba osób, które od rana zdążyły ją posądzić o uzależnienie od alkoholu i narkotyków zaczęła ją niepokoić. Obiecała sobie, że zrobi wieczorem rachunek sumienia na tę okoliczność. Wchodząc do biura, miała nadzieję, że wyczerpała już limit zdarzeń pechowych i mocno upierdliwych na jeden poranek... Okazało się, że bynajmniej.

– Co tu się stało? – wykrztusiła na widok przewróconego do góry nogami biura. Wszędzie wałała się zawartość firmowych segregatorów i

szuflad. Biurko w recepcji stało do góry nogami i wstydlawie prezentowało zakurzone krzywe nogi. Zu od razu przyszło do głowy, że to efekt ostrego seksu Anity i Karolka. Ale o ile jeszcze potrafiłaby sobie wyobrazić, że w trakcie miłosnych figli przewracali meble, to po cholere wyrzucali dokumenty z segregatorów. Choć z drugiej strony... Są różne zboczenia. Spojrzała podejrzliwie na sekretarkę, która wyszła z gabinetu szefa.

– Nie patrz tak na mnie – warknęła Anita. – To nie ja.

– No nie, ja cię wcale nie posądzałam – Zu zaprzeczyła szybko, ale jej wyobraźnia ciągle produkowała obraz Karolka i Anity na biurku Mikulskiego między pucharami za grę w minigolfa. Był to widok tak zabawny, że mimowolnie ryknęła śmiechem.

Anita spojrzała na nią podejrzliwie i zapytała:

– Piłaś? Jak nie, to się napij... czegoś na uspokojenie i pomóż mi sprzątać.

– Ale może trzeba wezwać policję? – zaprotestowała Zu, której nie uśmiechało się porządkowanie biura. Wołała raczej długotrwałe śledztwo, które uniemożliwi im nie tylko sprzątanie, ale również pracę.

– Już byli. Spisali protokół i koniec. Mikulski poszedł na kawę do tego bistro naprzeciwko. Mamy zadzwonić, jak będzie sprzątnięte na błysk.

– A może my też najpierw napijemy się kawy? – zaproponowała Zu.

– Zapomnij – odpowiedziała ponuro Anita. – Ukradli nam czajnik.

– Czajnik? – zdziwiła się Zuzanna.

– No i te dwa puchary, co stały na biurku Mikulskiego. Acha i jeszcze opróżnili mu barek i zżarli wszystko, co mieliśmy w lodówce. Policja mówi, że to pewnie ci bezdomni, co się gnieźdzą w ruderze na końcu ulicy.

– To z mojego żarcia nie mieli wielkiego pożytku. Kupiłam wczoraj mięso mielone i zapomniałam zabrać do domu. Też ukradli?

– Nie – odpowiedziała Anita.

– To fajnie – ucieszyła się Zu. – Zaniosę dzisiaj do domu. Baśka zrobi klopsiki.

– Ale wywalili z lodówki i koty z piwnicy zżarły – dokończyła Anita.

– Pełno ich tu było rano.

– Trudno, niech im to wyjdzie na zdrowie. Pewnie nieprędko im się takie dobre żarcie trafi.

Zabrały się do sprzątanía. Po dwóch godzinach udało im się doprowadzić biuro do stanu używalności.

– Zadzwoń do Mikulskiego, że już może wracać – sapnęła Anita i opadła z ulgą na fotel szefa.

– Nie mam komórki. Musiałam ją wczoraj tu zostawić, bo w domu nigdzie jej nie ma.

– Ale tutaj też nigdzie nie ma. Pewnie ci bezdomni potraktowali ją jako bonus do czajnika, wódy i zagrychy. Ciekawe, jaki rachunek ci natłukli od wczoraj?

– Eee... – Machnęła ręką Zu. – Dużo nie mogli, bo ja mam na kartę i akurat mi się kończyła. Miałam się dzisiaj doładować. Tylko aparatu trochę szkoda, bo ja się nie lubię do nowych przyzwyczajając.

W drzwiach stanął Mikulski i rozejrzył się z zadowoleniem po biurze.

– No, brawo dziewczyny. Kawa była świetna, ale teraz do roboty, do roboty... Koniec tej przerwy.

Zu mruknęła, że kto miał przerwę, ten miał, ale tak, żeby szef przypadkiem nie usłyszał. Coś chyba jednak doleciało do jego uszu, bo spojrzał karcąco na agentkę Roszkowską.

– Coś mówiłaś? Od wczoraj czekam na wykaz ofert, nad którymi pracujesz. Jak już będzie gotowy, to zapraszam do siebie... za piętnaście minut. – I zniknął za drzwiami gabinetu.

Zu usiłowała sobie przypomnieć, co zrobiła ze swoją listą. Na pewno zapisała ją w komputerze. Rzuciła się do swojego biurka.

– Gdzie mój komputer? – krzyknęła w stronę recepcji.

– Policja zabrała – usłyszała w odpowiedzi. – Będą badać odciski palców.

– Na moim komputerze? Przecież ukradli nam żarcie z lodówki! Powinni byli zabrać lodówkę.

– Pewnie była za duża – podpowiedział Karolek, stając w drzwiach. – No i po drodze mogłaby im się rozmrozić bez prądu.

– Ty, Karolek, lepiej dziś nic do mnie nie mów o prądzie. Rano przyszły do mnie dwie smutne baby i mi wyłączyły.

– Kradłaś sąsiadom prąd! – zbulwersował się Karolek.

– Nie! A jak się to robi?– Zu zainteresowała się możliwością nielegalnego wejścia w posiadanie energii elektrycznej, na wypadek gdyby panie z Zakładu Energetycznego jednak nie wróciły do wieczora z jej licznikiem, – Ty, zdaje się, skończyłeś Technikum Energetyczne, to powinieneś wiedzieć, jak to się robi.

– Tiaaa, na tej zasadzie absolwenci szkoły policyjnej powinni być największymi bandytami, a księża największymi grzesznikami, bo się w konfesjonale nasłuchają od pomysłowych wiernych. – Karolek popukał się w czoło. – A do prądu to ja się w ogóle nie dotykam, bo mnie może zabić! Nie przejmuj się, mojego laptopa też zabrali. Jak nie mamy na czym pracować, to może chodźmy na jakieś małe piwko czy co?

Na swoje nieszczęście Karolek nie zauważył szefa, który od dłuższej chwili stał w drzwiach i przysłuchiwał się pogawędce swoich pracowników.

– Możesz iść na piwko, ale w drodze powrotnej poszukaj sobie innej pracy. A reszta niech się bierze za gazetę i telefon. Pisać możecie na kartkach, kiedyś nie było komputerów.

– Ja tylko żartowałem, szefie – Karolek zrobił potulną minę i skurczył się, żeby nie wydawać się wyższym od szefa i nie powodować u niego dodatkowego stresu związanego z tym, że jest kurduplem.

– Mam nadzieję. A teraz do roboty, do roboty... Dla ciebie, Roszkowska, mam specjalne zadanie. Proszę, tu są oferty od deweloperów, podzwoń i postaraj się sprzedać komuś jakieś mieszkanie. A wszystkim chciałbym powiedzieć, że jak się nie weźmiecie wreszcie do roboty, to nie będę miał z czego pensji zapłacić.

Po tych słowach rzucił stos papierów na biurko Zuzanny i zamknął się w swoim gabinecie. Zu wzięła do ręki foldery i z furją walnęła nimi o ścianę.

– Co, nie podobają ci się nowe mieszkania? – zdziwiła się Anita.

– Chrzanię nowe mieszkania! — warknęła Zu. — Ja chcę mojego laptopa! Może Michał przysłał mi e-maila, a ja nie mogę mu odpisać? Buuu... Jak ja mam ludzi uszczęśliwiać, jak jestem taka wkurzona, że bym wszystkich wymordowała?

– No to masz świetną okazję, żeby się odegrać na reszcie świata – stwierdziła Anita, oglądając broszury deweloperów. – Wystarczy, że wciśniesz komuś któreś z tych mieszkane. Posłuchajcie: „Mieszkania w cichej kameralnej okolicy”. Zapomnieli napisać, że za rok tamtędy pójdzie obwodnica i tiry będą jeździć po kuchennym stole i sedesie. Co my tu mamy dalej? O, to jest dobre! „Dojazd do centrum pięć minut”. Chyba w środku

nocy i to przy ponad dwusetce na liczniku. I to też mi się podoba! „W pobliżu centra rozrywkowe i handlowe”. Jaka rozrywka? Chyba jak się ktoś przyłączy do meneli, co w parku po krzakach denaturę ciągną. Alleluja! No, to bierzmy się do sprzedawania, a wieczorem – do kościoła! Wspowiadać się z tego, co robiliśmy przez cały dzień. I niech ma nas w opiece jakiś święty od mieszkań, żebyśmy kiedyś nie trafili na takich podłych agentów jak my!

– To chyba będzie święty Marek – podpowiedział Karolek.

– Jaki święty Marek? – zdziwiła się Zu.

– No, patron murarzy, święty Marek.

– Mnie by bardziej pasował jakiś święty od złodziei. Jest taki? – zastanawiała się Anita.

– Dyżma – odpowiedział Karolek.

– A nie Mikołaj? – spytała Zu. – Ja słyszałam, że Mikołaj. A może mają dwóch, bo to taka stresująca praca.

– Wiecie co... – stwierdziła Anita. – Wam to by się przydał patron od czubków, ale takiego pewnie nie ma, niestety.

– Nie, no dlaczego? – zaprotestował Karol. – Jest jak najbardziej. Brunon.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy? – zdziwiła się Zu.

– Jak miałem dziesięć lat, zostałem ministrantem – pochwalił się kolega. – Bardzo mi się spodobała jedna zakonnica, co na gitarze grała. Nawet chciałem księdzem zostać.

– I co? Dlaczego nie zostałeś.

– Bo jak miałem dwanaście lat, to bardziej od zakonnicy spodobała mi się nauczycielka angielskiego. Nie grała co prawda na gitarze, ale gdybyście wiedziały, jakie miała piersi.

Koleżanki wyraziły stosowane oburzenie z powodu świńskich szowinistycznych zapędów Karolka, który już w wieku kilkunastu lat zapowiadał się na erotomana i zboczeńca. Kolega wydawał się całkiem zadowolony z oceny wystawionej mu przez współpracowniczki. Nic więc nie stało na przeszkodzie, żeby cała ekipa rzuciła się ochoczo do pracy, pomnażając zawartość kiesy swojego szefa i frustrację tych, którzy bez namysłu kupią mieszkanie oferowane przez jego agencję.

TTLR

Rozdział 16

ZIELONY KARAWAN, czyli...

JAK NIE UCIESZYĆ SIĘ Z ODZYSKANIA KAMIENICY

Pani Jarzębska miała albo dar przepowiadania przyszłości, albo bardzo duże doświadczenie życiowe... Albo jedno i drugie, bo wieczór zastał mieszkanie Zu w kompletnych ciemnościach. W tej sytuacji przydała się bardzo gromnica pożyczona od życzliwej sąsiadki.

– Nastrojowo jest, no nie? – zapytała niepewnie Zu.

– Bardzo. Ty jełopo, jak mogłaś zapomnieć o płaceniu rachunków? – poirytowana Baśka popijała kanapki wodą mineralną. – Ja chcę ciepłej herbaty, pliss! Za co jeszcze nie zapłaciłaś?

– No, nie wiem. – Zu rozejrzała się po mieszkaniu. – Chyba za kablówkę, ale i tak byśmy nie mogły oglądać, bo prądu nie ma. No i za telefon, ale na szczęście mam komórkę. Tylko jej po ciemku znaleźć nie mogę. Może jak ktoś zadzwoni, to ją namierzę.

Jakby na zawołanie pod szafką w przedpokoju rozległo się znajome brzęczenie. Zu rzuciła się w tamtym kierunku i z triumfem wyciągnęła telefon z kaptura Michała.

– Musiał mi wypaść z torebki. Tak, słucham... O, dzień dobry panie Józefie. No pewnie, że mogę do pana zajrzeć. Będę za godzinę. Aha, czy mogę przyjechać z siostrą, nie chcę jej zostawiać samej, bo ona boi się ciemności. Mówi pan, żeby zapaliła sobie światło? To niestety niemożliwe, ale ja wszystko panu wytłumaczę. Naprawdę nie będzie panu przeszkadzało, jak przyjedziemy razem? To wspaniale. Niedługo będziemy.

Zu odłożyła telefon z powrotem na półkę w przedpokoju, ryzykując, że za chwilę znowu wyląduje w jakimś bucie, i oznajmiła z triumfem siostrze:

– Całuj mnie po rękach! Załatwiłam ci ciepłą herbatę. – Podsunęła Baśce rękę do pocałowania pod nos. – Auuu, no co mnie bijesz...?

– Żebyś następnym razem pamiętała, że tą rączką trzeba przelewy wypełnić. A za komórkę zapłaciłaś, bo może też ci niedługo wyłącza?

– Komórka jest służbowa i płaci szef, chyba że limit na karcie przekrocze, to mi od pensji odejmuje – odpowiedziała naburmuszona Zu. – A Michał jak wyjeżdżał, to mi nie powiedział, że mam coś płacić. Ja myślałam, że on to wszystko dalej będzie załatwiał z Londynu.

– Indyk też myślał... – Baśka sięgnęła po płaszcz. – No, zbierajmy się, bo nam herbata wystygnie.

Po godzinie udało im się dotrzeć na miejsce. Wsiadły z autobusu i osłupiały, bo cała kamienica była pogrążona w głębokich ciemnościach. Po omacku przeszły przez cmentarz. Zu potknęła się o jakąś granitową płytę i wyrznęła kolaniem w figurkę aniołka, który do złudzenia przypominał skrzyżowanie lalki Barbie z Batmanem.

– Auuu! – zawyła tak głośno, że idąca przed nią Baśka aż podskoczyła ze strachu.

– Czego wyjesz jak potępieniec? Przecież jeszcze nie umarłaś!

Wreszcie dobrnęły do drzwi mieszkania pana Józefa. Zu nacisnęła dzwonek. Ponieważ nikt nie otwierał, nacisnęła jeszcze raz.

– Może go nie ma – stwierdziła.

– A nie przyszło ci do głowy, jełopo, że dzwonek jest na ten prąd, którego nie ma? Swoją drogą, ty to pechowa jesteś. Gdzie się nie pojawisz, zaraz prąd wyłączają. Może powinien cię zbadać jakiś bioenergoterapeuta – stwierdziła Baśka i zadudniła pięścią w drzwi. W odpowiedzi za drzwiami rozległo się człapanie i na progu stanął pan Józef. W rękę trzymał świeczkę, którą podświetlał sobie oczodoły i dziurki w nosie. Wyglądał jak dojrzały

nieboszczyk z pobliskiego cmentarza, nic więc dziwnego, że Zu wzdrygnęła się lekko i cofnęła o krok.

– Proszę, proszę do środka. Pójdę przodem, żeby panie na szafę nie wpadły. Pech, że prąd wyłączyli akurat, jak panie zaprosiłem na herbatę.

– Zapomniał pan o zapłaceniu rachunku? To się zdarza. Sama mam taką znajomą – zamilkła, widząc w świetle świecy oburzoną twarz pana Józefa.

– No wie pani... Ja zawsze płacę rachunki. Tak mnie wychowano. Mogę jeść suchy chleb, ale swoje rachunki płacę. W naszej kamienicy mieszka kilku takich, którym już parę razy prąd odcięli albo wodę zakręcili, ale to pijaki są. Ta pani znajoma też pije? – zapytał z troską pan Józef.

– Nie, nie, oczywiście że nie. To trochę roztargniona osoba i po prostu zapomniała – powiedziała szybko Zu i szturchnęła stojącą za jej plecami Baškę, która dusiła się ze śmiechu.

– To dobrze. Wie pani, nie ma gorszego widoku niż pijana kobieta. Ale proszę dalej, zaraz będzie herbata. Już nastawiłem czajnik.

Weszli do pokoju. Ku zdziwieniu Zu był jasno oświetlony. Na stole stała wielka lampa naftowa. Zu przyjrzała się jej z zaciekawieniem.

– To jedyna pamiątka po naszym ojcu, który miał przed wojną zakład pogrzebowy – wyjaśnił pan Józef, wchodząc do pokoju z tacą. – Nie uwierzy pani, skąd się wzięła. Ze starego konnego karawanu. Mam gdzieś przedwojenny album. Jak znajdę, to pani pokaże. Taki karawan to było coś! Ciągnęły go cztery albo dwa czarne konie, zależnie od tuszy nieboszczyka i wielkości spadku, jaki zostawił wdowie i dzieciom. Przodem jechał karawan, a za nim szli żałobnicy. To dopiero był widok! Jak nieboszczyk mieszkał daleko od cmentarza, to kondukt szedł nawet parę godzin. Po drodze zawsze przyłączyli się jacyś ludzie i na cmentarzu żegnało go już pół

miasta. Tuż przed wojną ojciec wymyślił, żeby zamiast czarnych jak wszędzie, u nas wprowadzić zielone karawany. Ludzie z innych miast zamawiali pogrzeby. Nawet zakład ojciec przemianował na Zielony Karawan i reklamę w gazecie wykupił. Takie hasło wymyślił: „Zielonym karawanem na zielone pastwiska Pana”. Ludzie płakali, jak to czytali! A teraz... Nieboszczyka wiozą samochodem, za nim rodzina też samochodami albo autobusem. Nawet nie ma czasu, żeby o życiu doczesnym pomyśleć i zmarłego powspominać. Takie czasy. Ludzie się spieszą, bo już nie nadążają za tym, co piszą gazety i pokazuje telewizja. A właśnie, gazety... Zupełnie zapomniałbym, po co do Pani dzwoniłem... Sąsiadka przyniosła mi dzisiaj gazetę. Gdzie ja ją położyłem? O, jest... Niech pani zobaczy...

Zu wzięła do ręki gazetę i przeczytała duży tytuł: *Jedna z najstarszych kamienic w mieście wróciła do właściciela*. I dalej: „Przedwojenna kamienica przy ulicy Wesołej wróciła do prawowitego właściciela, któremu została odebrana po wojnie”.

– I właśnie chciałem to uczcić, i dlatego do pani zadzwoniłem. To znaczy, że wreszcie odzyskaliśmy nasz dom! Co prawda, nie mam szampana, ale toast możemy wznieść herbatą. Dzwoniłem do Leszka, ale on nie odbiera. Pewnie poszli gdzieś z Aliną. Później spróbuję jeszcze raz do niego zadzwonić.

Zu zerknęła do gazety i nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Autor notatki nic nie wspominał o stu pięćdziesięciu tysiącach, które Kowalowie będą musieli zwrócić miastu. Ale przecież wcześniej czy później ktoś będzie musiał to powiedzieć panu Józefowi. No tak, ale z drugiej strony, dlaczego miałyby to być ona?

– Zuza! – Baśka szturchnęła siostrę. – Zasnęłaś czy co? Pan Józef cię pyta, czy ty wiesz, co on teraz powinien zrobić? Pewnie jakieś papiery trzeba załatwić.

– Panie Józefie... – zaczęła Zu zdecydowana powiedzieć całą prawdę. Ale w tym momencie ktoś zapukał i pan Józef znowu ruszył ze świeczką w stronę drzwi. Odetchnęła z ulgą. Pociągnęła potężny łyk herbaty i opadła na krzesło. Zaraz jednak zerwała się, bo do pokoju weszli pan Leszek z żoną, a za nimi pan Józef.

– O, to z karawanu taty – ucieszył się pan Leszek na widok wielkiej naftowej lampy, a pani Alina o mało nie zemdląła z wrażenia.

– Znalazłem ją ostatnio na strychu. A myślałem, że się dawno potłukła – stwierdził pan Józef. – No i zobacz, przyniosła nam szczęście. Może to prawda, że jak ktoś zobaczy karawan, to będzie miał dobry dzień.

– No i co? – zainteresował się pan Leszek. – Miałeś dobry dzień, jak już zobaczyłeś ten kawałek karawanu? Chyba nie, bo prąd ci wyłączyli.

– Prąd nieważny. – Machnął ręką jego brat. – Miasto oddało naszą kamienicę.

– To już wiesz? – zdziwił się pan Leszek. – I nie denerwujesz się. To chwała Bogu, bo baliśmy się, że wpadniesz w furię.

– W furię? A dlaczego? Przecież nareszcie oddali nam naszą własność. To chyba powód do radości. Wy się nie cieszyacie?

– Nie ma z czego – westchnął młodszy brat. – Oni tę kamienicę oddali, ale kazali nam zapłacić za to, że ją po wojnie wyremontowali.

– Zwariowałeś? Przecież tu nikt nawet kawałka ściany od 1939 nie pomalował. Na parterze, na ścianie, ciągle są twoje gryzmoły, z czasów jak się podkochiwałeś w córce Malinowskich, „Koham Litke”. – Pan Józef usiadł na krześle i wziął gazetę do ręki. Przeczytał notatkę i ciężko

westchnął. – Zaraz pojedę do Urzędu Miasta i zrobię taką awanturę, że mnie usłyszą w sąsiednim województwie. Do Trybunału w Strasburgu ich podam!
– Opadł na krzesło i chwycił się za serce.

– Teraz już pani wie, dlaczego nie chciałem mu pokazać tego pisma z urzędu? – zwrócił się pan Leszek do Zuzanny. W tym czasie jego żona wyciągnęła z kredensu jakieś pigułki i podała szwagrowi razem ze szklanką herbaty do popicia.

– A co ma z tym wspólnego pani Zuzanna? – zapytał pan Józef słabym głosem i położył się na łóżku. Nagle coś do niego dotarło i podniósł się: – To pani wiedziała i nic mi nie powiedziała? Pani Zuzanno!

– Przestań już gadać i leż spokojnie. A pani niech zadzwoni po pogotowie. Telefon jest na parapecie – podpowiedział pan Leszek, widząc, jak Zu rozpaczliwie szuka telefonu po kieszeniach.

Aparat telefoniczny, który Zu znalazła za firanką, był chyba rówieśnikiem lampy z karawanu. Miał wielką słuchawkę i okrągłą tarczę z numerami. To było dziwne uczucie, wykręcać cyfry, zamiast wystukiwać je na klawiaturze. Na szczęście, ku zdumieniu Zu, aparat działał i udało się wezwać pomoc. Pogotowie przyjechało po piętnastu minutach. Lekarz wyprosił wszystkich do przedpokoju i został sam z panem Józefem.

– To my już pójdziemy, panie Leszku – powiedziała Zuzanna i sięgnęła po płaszcz. – Niech pan zadzwoni do mnie później i powie, jak się czuje brat.

– Tak, tak – mruknął nieobecny duchem pan Leszek. – Do widzenia.

Dziewczyny zamknęły cicho drzwi za sobą i zaczęły po omacku schodzić po schodach. Gdy były już na dole, nagle w kamienicy rozbłysło światło.

– Dobrze, że ten biedak nie będzie musiał już siedzieć po ciemku. Szkoda mi staruszka – powiedziała Baśka jakoś miękko i cicho.

Zu zdziwiła się, bo jej młodsza siostra zazwyczaj zwracała się do reszty świata tonem kaprała rugającego szeregowców albo urzędnika Urzędu Skarbowego pastwiącego się nad petentem, który ukrył pięć groszy dochodu i nie zapłacił od nich podatku.

. Tym razem bez przeszkód przebrnęły przez cmentarz i dotarły do przystanku w chwili, gdy akurat ruszał z niego autobus. Baśka rzuciła się w pościg za nim, krzycząc:

– Zatrzymać się! Stop! Zatrzymać się!

Autobus zatrzymał się, a Zu opadła na siedzenie i odetchnęła z ulgą. Nie tylko dlatego, że nie uśmiechało się jej siedzieć na przystanku przez następną godzinę. Jej siostra pouczała właśnie kierowcę, który jej zdaniem ruszył o pięć minut za wcześnie względem tego, co było napisane w rozkładzie. Była to wreszcie zwykła Baśka, a nie ta smutna i zmartwiona z klatki schodowej. I to było w porządku. Przecież od rozczulania się nad sobą, bałaganiarstwa i totalnego nieuporządkowania życiowego była ona – Zuza.

Rozdział 17

GROMNICA W OKNIE, czyli...

DLACZEGO PAN NIE BIJE ŻONY

Poirytowany kierowca chyba na złość Baśce jechał tak wolno, że Zu zaczęła już wątpić, czy uda im się kiedykolwiek dotrzeć do domu. Zwalniał przed każdym skrzyżowaniem, polując na czerwone światło. Zazwyczaj mu się udawało. Kiedy wreszcie wysiadły, były tak wykończone, jakby całą drogę pokonały pieszo i to na kolanach. Szły w milczeniu przez ciemne uliczki osiedla, gdy nagle...

– Cholera, zapomniałaś zgasić gromnicę! – krzyknęła Baśka, wskazując na okna mieszkania na siódmym piętrze rozświetlone słabym blaskiem świecy i walnęła siostrę w plecy.

– Jak to zapomniałam? – oburzyła się Zu. – Oczywiście, że zgasiłam. Pamiętam dokładnie. Położyłam gromnicę na stole w kuchni.

– No to chyba ktoś się włamał i plądruje mieszkanie – stwierdziła ze zgrozą Baśka.

– Eee... – Machnęła ręką Zuzanna. – Co on tam chce znaleźć przy świeczce? Ja przy świetle dziennym nic nie mogę odszukać.

– Przestań się wreszcie wydurniać, jełopo, i pomyśl, co mamy zrobić! – warknęła młodsza siostra. – Wchodzimy? A jak to jakiś bandyta i się na nas rzuci? Dzwonimy po policję! –I wyciągnęła komórkę.

– Nie wygłupiaj się! – Zu zabrała jej z ręki telefon. – A jak faktycznie zapomniałyśmy zgasić gromnicę? Jeszcze nas aresztują za wprowadzanie w błąd organów ścigania! A jak mi każą zapłacić za przyjazd radiowozu, to pójdę z torbami.

– Zapomniałyśmy? – oburzyła się Baśka. – Ty zapomniałaś, jełopo! Mówiłam ci, żebyś zgasiła.

– No przecież tłumaczyłam ci, że zgasiłam!

– Jak zgasiłaś, to dzwoniemy po policję.

– Ale tak na sto procent nie jestem pewna...

– A na ile procent jesteś pewna? – zainteresowała się młodsza siostra.

– Eee... – zastanowiła się Zuzanna. – ...na dziewięćdziesiąt procent?

Nie, poczekaj... Na pięćdziesiąt.

Tak rozmawiając i skradając się w ciemnościach, siostry dotarły pod drzwi mieszkania.

– To co robimy? Wchodzimy czy dzwoniemy? – szepnęła Baśka.

– Nie wiem... Może rzuć monetą?

– Ty, głupia, co my zobaczymy po ciemku? Co najwyżej moneta nam zginie.

Zu otworzyła drzwi mieszkania. Nagle na tle okna zobaczyła wysoką ciemną postać, która wyciągnęła ręce w jej kierunku.

– Aaaaa! Ratunku! Bandyta! – wrzasnęła Zu i rzuciła się na oślep... wprost w objęcia włamywacza. Na szczęście, ten, zamiast natychmiast ją udusić, przytulił dziewczynę mocno i szepnął wprost do ucha:

– Dobry wieczór, kochanie! Tęskniłem za tobą.

– Michał? – Zu osłupiała i na oślep sięgnęła do twarzy bandyty. – To naprawdę ty? Ale, co ty tutaj robisz? Nie dzwoniłeś, że przylatujesz!

– Dzwoniłem ze sto razy. Na komórkę, na domowy. Nigdzie nie odbierałaś! Mama nie wiedziała, co się z tobą dzieje. No to wsiadłem w samolot i przyleciałem sprawdzić, co tu się dzieje. A teraz przełożę cię przez kolano i spiorę na kwaśne jabłko.

– Zostaw ją natychmiast i stań pod ścianą! – Na schodach rozległ się głośny tupot butów. Ktoś w ciemnościach rzucił się na Michała i przycisnął go do ściany. Zu została gwałtownie wyrwana z ramion męża, co jej się bardzo nie spodobało. Swoje niezadowolenie wyraziła głośnym krzykiem:

– Ratunku! Policja!

– Proszę nie krzyczeć! – odezwał się głos w ciemnościach i ktoś poświecił Zu i Baśce prosto w oczy wielką latarką. – Jesteśmy z policji i zaraz pani pomożemy. Stój i nie ruszaj się! – to ostatnie zostało wypowiedziane ostrym tonem pod adresem Michała.

– Dziękuję – opowiedziała Zu. – Ale dlaczego panowie rzucili się na mojego męża?

– To pani mąż? Słyszysz Robert? No to super! – ucieszył się drugi głos. – W statystykach ostatnio brakowało nam przemocy domowej. Będzie jak znalazł! Zabieramy go na komisariat. Proszę o ręce. Robert, masz kajdanki? To dawaj. Skujemy pana męża, odstawimy do Izby Wytrzeźwień, a jutro się nim z samego rana zajmie prokurator. Pani może już spokojnie wrócić do domu.

Zu zaczęła się czuć jak w koszmarnym śnie. Jeśli tak, to wystarczy się obudzić. Zu uszczypnęła się w rękę. Nic się nie zmieniło! Ratunku! Nie miała kompletnie pojęcia, co robić. I pewnie, gdyby spraw nie wzięła w swoje ręce niezawodna zimnokrwista Baśka, Michał spędziłby tę noc na wytrzeźwiajątku.

– Panowie – odezwała się szwagierka Michała. – Wydaje mi się, że tu zaszło jakieś nieporozumienie. Moja siostra nie wzywała policji, a jej mąż wcale się nad nią nie znęcał. Proszę go wypuścić. Kto panów wezwał, jeśli można zapytać?

– Sąsiadka zadzwoniła, że w mieszkaniu obok najprawdopodobniej jest włamywacz i żebyśmy szybko przyjechali. Podobno słyszała, jak otwierał drzwi wytrychem, a później plądrował mieszkanie.

Michał wyjaśnił stróżom prawa, że nie ma wytrycha i nie wyłamywał drzwi. Co najwyżej mógł w nie kopnąć, bo się zamek zacina. Ale jak mocno przyłożyć butem w prawy dolny róg futryny, to puszcza. A hałas w mieszkaniu był, bo światło wyłączyli i wpadł na szafkę. Nie wiedział, że żona ją przestawiła.

– Bardzo panów przepraszam za to całe zamieszanie. Sąsiadka starszka była trochę nadgorliwa. Ale mam nadzieję, że nie będzie miała żadnych przykrości. To bardzo miła osoba.

– No chyba, że złożą państwo na nią skargę, to wtedy całą sprawą się zajmiemy. To jak? – zapytał jeden z policjantów z nadzieją, świecąc Michałowi prosto w oczy.

Michał zapewnił go, że absolutnie nie zamierza skarżyć się na panią Jarzębską i jeszcze raz przeprosił stróżów porządku.

– Cholera, ludzie nie mają co robić, to z nudów na policję dzwonią – zaklął policjant, który chwilę wcześniej trzymał Michała pod ścianą. – A ja w tych ciemnościach rękę sobie skaleczyłem.

– Gdzie? – zapytał Michał. – Jestem lekarzem. Zaraz pana opatrzę. Zu, weź od pana latarkę i poświeć mi. Ale nie po oczach, nie po oczach kobieto! Podaj mi moją torbę. Położyłem ją...

W ciemnościach rozległ się łomot...

– Tak, już wiem, właśnie się o nią przewróciłam – jęknęła Zu. – Cholera jasna, zapomniałam już, że zawsze stawiasz ją na środku pokoju.

– Nic ci się nie stało? – zaniepokoił się Michał.

– Nic. Na szczęście nie postawiłeś tutaj tej czarnej walizy, bo na pewno złamałabym sobie rękę. O, Jezu! – Zu potknęła się o wielką walizkę męża i wylądowała na regale.

– Kochanie, może ty się już nie ruszaj. Usiądź spokojnie na podłodze, tam, gdzie jesteś, bo jeszcze chwila i panowie będą musieli odnotować twoje zejście śmiertelne. Baśka, sprawdź, czy tej jełopie nic się nie stało i podaj mi wreszcie bandaż, bo panu komisarzowi krew na mundur kapie. I potrzymaj latarkę.

– Nie, no ja komisarzem jeszcze nie jestem, tylko posterunkowym – odparł skromnie policjant.

– Ale na pewno niedługo pan będzie – pocieszał go Michał. – Dobra, ręka zabandażowana. Może się panowie herbaty napiją? Zu, wstaw wodę. Ożeż ty, zapomniałem, że prądu nie ma. Mam tylko spirytus do dezynfekcji.

– Na służbie nie pijemy. No to my już pójdziemy. Jakby pan potrzebował pomocy, niech pan dzwoni na XXIII posterunek i prosi z posterunkowym Pawłem Gawłem. Ja się tak nazywam...

Świecąc sobie nawzajem latarkami po oczach i objając się o meble w ciasnym przedpokoju, policjanci opuścili mieszkanie Roszkowskich.

– Co on miał na myśli, z tym że możesz potrzebować pomocy? – zastanawiała się Zu po wyjściu policjantów. – Czy ty zrozumiałeś, o co mu chodziło?

– Nie, nie mam kompletnie pojęcia – odpowiedział Michał i życzył w myślach szybkiego awansu temu mądrymu posterunkowemu, który jako jeden z nielicznych zrozumiał, jak trudne i niebezpieczne jest życie z taką urocza wariatką jak jego ukochana Zu. Inni uważali, że ta atrakcyjna wykształcona kobieta to dar od losu i Michał bez sensu marudzi. No bo co to za problem, że drzwi wejściowych nie zamknęła, zostawiła odkręcony kran

albo spaliła czajnik, bo zapomniała nalać do niego wody? Może to faktycznie nie jest problem, jeśli przytrafia się co kilka lat. Gorzej, jeśli ktoś, podobnie jak Zu, na wyprodukowanie wszystkich tych nieszczęść potrzebuje zazwyczaj zaledwie kilku godzin...

– A tak w ogóle... Dlaczego tu jest ciemno, do cholery?! Korki wysiadły czy co? – zainteresował się Michał. – To trzeba przecież tylko wajchę przesunąć, bo mamy automatyczne. Macie jakąś latarkę czy świeczkę, to zaraz to zrobię.

– Proszę. – Baśka podała szwagrowi gromnicę pani Jarzębskiej. – Ale chyba nie uda ci się nic z tym zrobić...

– A co? Nie wierzysz w moje umiejętności? – obruszył się Michał i ruszył na klatkę schodową. Oświetlił ścianę i zdębiał. Korki były, a jakże! Ale w miejscu, gdzie jeszcze do niedawna wisiał licznik, teraz ziała wielka dziura...

– Gdzie jest licznik, do cholery? Sprzedałaś czy ukradli? Gadaj zaraz...

– Przyszły dwie takie zołzy z Zakładu Energetycznego i zdemontowały, bo nie zapłaciliście rachunków – poinformowała szwagra Baśka.

– Jak to nie zapłaciliśmy? – oburzył się Michał. – Przecież zostawiłem dyspozycję przelewów w banku. Zu miała tylko zadzwonić i powiedzieć, jaką kwotę mają przelać! Dzwoniłaś?

– Nie – odpowiedziała zgodnie z prawdą Zuzanna. – Zapomniałam.

– Naprawdę wierzyłeś choć przez chwilę, że ona to załatwi? – zainteresowała się Baśka. – Ja jej nie pozwalam nawet biletu w autobusie kasować za siebie, bo nim dojdzie do kasownika, to zapomni, po co idzie.

– Nie, no wypraszam sobie – oburzyła się Zu. – Nie róbcie ze mnie jakiejś koszarnej idiotki! Po prostu zapomniałam. Tyle było zamieszania

przed twoim wyjazdem, że mogłam zapomnieć, nie? I przestańcie się nade mną wytrząsać i pastwić. Teraz już będę pamiętać.

– Pod warunkiem, że będziesz miała o czym, bo jak nam tego licznika nie oddadzą, to i za prąd nie trzeba będzie płacić. No, dobra, dobra, nie rycz... Przecież nikt się nad tobą nie chce pastwić. Jutro to załatwię. A teraz do łóżek. Ale najpierw się wykąpie, bo po podróży czuję się, jakbym prysznic brał ostatnio tydzień temu, a nie dzisiaj rano.

– No i dalej będziesz się tak czuł – oznajmiła mu młodsza siostra jego nieudanej żony. – Chyba zapomniałeś, że w łazience macie najnowszy model... elektrycznego ogrzewacza do wody.

– Cholerrra! – wrzasnął Michał. – Zu, chyba jednak cię spiorę na kwaśne jabłko.

– No dobra, róbtą co chceta! – odpowiedziała Baśka i po omacku ruszyła do drugiego pokoju. – Ja kładę się spać, bo mam jutro rozmowę w sprawie pracy. W zimnej wodzie wykąpię się rano. A jak będziecie się seksić, to róbcie to po cichu... Mnie to co prawda nie przeszkadza, ale pani Jarzębska może znowu zadzwonić po policję. Prawdę mówiąc, dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiła...

– A co? – zainteresował się natychmiast Michał. – Zu tu z kimś seks uprawia jak mnie nie ma?

– Nie wiem, czy uprawia seks – odpowiedziała zgodnie z prawdą Baśka, uchylając się przed butem, którym rzuciła w nią siostra. – Ale wiem, że okropnie chrapie!

Zu oburzyła się za takie insynuacje i stwierdziła, że to brednie, bo ona nigdy nie słyszała swojego chrapania.

– Jak masz słyszeć, skoro ty wtedy śpisz? Ale nie martw się, kiedyś cię nagram na dyktafon, to sobie posłuchasz. Rzęzisz jak stara piła w tartaku. Jak spałam z tobą w jednym pokoju, to musiałam wkładać zatyczki do uszu.

– No dobra, idę umyć zęby... zimną wodą i dobranoc.

Tej nocy w mieszkaniu Roszkowskich panowała cisza idealna. Bynajmniej nie dlatego, że Michał i Zuza przejęli się wizją pani Jarzębskiej, która wzywa policję. Po prostu, gdy Zu wyszła z łazienki w seksownej bieliznie, którą po omacku udało jej się odnaleźć w szufladzie, Michał spał jak zabity. Nie miała sumienia go budzić, więc tylko wtuliła się w mężowskie plecy i też zasnęła. Śniło jej się, że stoi w kuchni i usiłuje usmażyć naleśniki. Podrzuciła patelnię i gorące ciasto wylądowało jej na głowie. Ale najgorsze, że w drzwiach stała Lidzia i rechotała ze śmiechu tak, że aż się posmarkała. Przestraszona Zu obudziła się i usiadła na łóżku, ale rechot nie ucichł... Rozejrzała się w poszukiwaniu wrednej byłej narzeczonej swojego męża. Zamiast niej zobaczyła obok łóżka Michała i Baśkę zanoszących się od śmiechu.

– Odbiło wam czy co? Może to od tej zimnej wody? – zapytała życzliwie i popukała się w czoło.

– Lepiej popatrz, co masz na sobie – poradziła Baśka i znowu ryknęła jak zarzynane prosię.

Zu spojrzała na seksowną bieliznę, w którą przyodziła się na okoliczność upojnej nocy z mężem i też ryknęła. Miała na sobie... bokserki Michała i jego starą koszulkę z napisem „Przelecę cały świat – Tanie Linie Lotnicze”.

– No, co się śmiejecie, osły skończone? – Zu wylazła z pościeli i trzymając w garści opadające bokserki ruszyła do łazienki. Nagle rozległ się dziwny dźwięk.

– Co to? – zdziwił się Michał.

– Nie wiem – odpowiedziała Zu. – Ale coś mi to przypomina. Cholera, to chyba mój telefon. Tylko gdzie on jest? Zaraz, to chyba gdzieś tutaj...

Niestety telefon przestał dzwonić.

– Poczekaj, zadzwonię do ciebie, to go znajdziemy. Chwila, tylko założę kapcie. Cholera, co ja mam w kapciu?

– Michał przechylił kapcia, z którego wypadł... telefon Zu.

– Kochanie, czy ty możesz mi powiedzieć, dlaczego zamiast w torebce trzymasz swoją komórkę w moich butach? Albo może lepiej nie odpowiadaj...

Zu odebrała komórkę od męża i spojrzała na wyświetlacz.

– Kurczę, pięćdziesiąt nieodebranych połączeń. To ty tyle razy do mnie dzwoniłeś? – cmoknęła męża czule w policzek.

– Nie, no skąd... Ja dzwoniłem najwyżej czterdzieści razy. Do pozostałych dziesięciu się nie przyznaję.

– Moja mama, twoja mama, Mikulski... O rany! Szef dzwonił wczoraj cztery razy! Zabije mnie! Muszę do niego zaraz oddzwonić. – Zu wybrała numer. – Dzień dobry, panie prezesie. Przepraszam, że nie odbierałam, ale komórka mi wpadła, to znaczy padła... Tak, rozumiem. Mam być jak najszybciej w biurze. Spotkanie z panem Smithem. Chce się dowiedzieć, jak tam poszukiwanie kamienicy? Oczywiście... Tak, już zapisuję telefon do niego. Oczywiście, zadzwonię do niego i umówię się. Proszę chwilę poczekać, już biorę kartkę.

Zu rozpaczliwym gestem poprosiła Baškę o kawałek papieru. Niestety, żeby po niego sięgnąć musiała wypuścić z rąk mężowskie bokserki, które leniwym ruchem opadły jej do kostek. Została więc na środku przedpokoju z telefonem przyciśniętym do ucha, kartką w jednej ręce, długopisem w

drugiej i... gołymi pośladkami, które po krótkiej chwili zaczęły jej marznąć. Baśka i Michał uciekli do drugiego pokoju i leżeli na łóżku, wyjąc ze śmiechu jak kojoty. Zu zanotowała numer, odłożyła kartkę i podciągnęła bokserki.

– Możecie się już przestać śmiać – rzuciła w ich stronę. – Ja teraz muszę wyjść, ale może wieczorem zjemy sobie we trójkę romantyczną kolację przy świecach?

– Mam nadzieję, że uda mi się załatwić zwrot licznika i kolację zjecie już przy świetle elektrycznym, ale niestety nie we trójkę. Ja jeszcze dziś muszę wracać do Londynu.

– Nie! – jęknęła Zu. – Myślałam, że przyleciałeś na dłużej.

– Przyleciałem, bo się o ciebie martwiłem. Sprawdziłem, że żyjesz i mogę wracać. Baśka, daj mi swój numer telefonu, to jak moja żona znowu przestanie odbierać, będę stukał do ciebie. I opiekuj się tą sierotą, bo przecież ona zginie tu sama. – Przytulił Zu jedną ręką, a drugą poklepał ją po pupie odzianej w jego własne bokserki.

– Nie jestem sierotą, tylko słomianą wdową, a telefonów nie będę odbierać, bo się na ciebie obraziłam. To kiedy lecisz? Zdażymy się jeszcze zobaczyć?

– Zależy, jak długo będę załatwiał sprawy w Zakładzie Energetycznym. Jak mi sprawnie pójdzie, to jeszcze zajrzę do domu. No i mamę muszę odwiedzić, obejrzę przy okazji tę jej złamaną nogę. A teraz idź, kochanie, i załóż wreszcie majtki, bo sobie pęcherz przeziębisz.

– Jesteś romantyczny jak szpitalna kaczką – stwierdziła Zu, maszerując do łazienki. – A pęcherz i tak sobie przeziębę, jak dłużej będę myła dupę w zimnej wodzie.

Rozdział 18

RODZINNE ANEGDOTY, czyli...

GDZIE STAŁ STÓŁ Z POWYŁAMYWANYMI NOGAMI

Około godziny jedenastej Zu wkroczyła do biura pewnym krokiem, udając, że wcale nie spóźniła się o dwie godziny.

– Nareszcie jesteś. – Mikulski wyjrzał ze swojego gabinetu, a Zu zamarła na widok szefowskiego krawata w żółte łodzie podwodne. – Dzwoniłaś do pana Smitha?

– Oczywiście. Będzie tu za jakieś pół godziny. Podobno akurat miał coś do załatwienia w pobliżu i spotkanie u nas w biurze było mu bardzo na rękę.

Pan Smith punktualnie z wybiciem godziny jedenastej trzydzieści zapukał do drzwi i wkroczył do agencji. Został profesjonalnie powitany przez Anitę i profesjonalnie doprowadzony do gabinetu szefa. Następnie sekretarka pobiegła po Zu i mało profesjonalnie zawezwała ją na spotkanie.

– Twój klient już przylazł. Mikulski prosił, żebyś przyszła za dziesięć minut. Masz czas na poprawienie make-upu i uporządkowanie fryzury.

– Chrzanię make-up i fryzurę! – Zu machnęła ręką lekceważąco. – W końcu to nie jest agencja towarzyska i Mikulski nie będzie sprzedawał temu Angolowi moich wątpliwych wdzięków. Wolę zjeść kanapkę.

– Byle nie z cebulą, bo klient padnie, zanim skończysz mówić „Dzień dobry”.

– Zjem w takim razie wielki kawał kielbasy czosnkowej. Jak go zwalę z nóg już na wstępie, to może dostanę podwyżkę.

Zu wypiła ostatni łyk zielonej herbaty i ruszyła do gabinetu szefa. Weszła z szerokim uśmiechem. Chociaż nie jadła ani cebuli, ani kielbasy

czosnkowej, Mikulskiego i Smitha na jej widok wyraźnie zamurowało. Wpatrywali się w nią jak zahipnotyzowani.

To się nazywa zrobić na facetach piorunujące wrażenie – pomyślała Zu i usiadła przy stole.

– Pan chciałby wiedzieć, jak idzie poszukiwanie kamienicy? Czy są już jakieś oferty? – zagaił Mikulski, starając się nie patrzeć na swoją agentkę.

– No, wie pan... – Zu uśmiechnęła się tak szeroko, że mogłaby reklamować implanty wstawione w miejsce ósemek. Chciała oczarować klienta, ale odniosła raczej wrażenie, że Mr Smith wzdrygnął się z obrzydzeniem i odsunął od niej nieco. – Ciekawe dlaczego? Może jest gejem? – pomyślała i kontynuowała swój wywód: – Nie jest łatwo znaleźć coś takiego. Zazwyczaj trafiają się stare kamienice z lokatorami. Wszystko teraz zależy od tego, na co pan przeznaczy ten obiekt. Czy będą tam apartamenty, czy biura.

– Dla lokatorów znajdziemy jakieś mieszkania zastępcze. Chciałbym odrestaurować kamienicę i urządzić w niej zakład pogrzebowy.

– Zakład pogrzebowy? – wykrztusił Mikulski, a Zu zastrzygła z zainteresowaniem uszami i uśmiechnęła się zachęcająco do Anglika.

– Tak – potwierdził pan Smith. – To stara rodzinna historia, nie chcę państwa zanudzać niepotrzebnie.

Zu zapewniła klienta, że z przyjemnością wysłuchają jego opowieści. Dodała też, że taka historia bardzo jej się przyda dla potencjalnych nabywców.

– Mój dziadek był polskim oficerem, który w październiku 1939 roku trafił do Anglii. Walczyć dalej nie mógł, bo stracił na wojnie rękę. Zatrudnił się więc w Londynie, w zakładzie pogrzebowym. Przed spodziewaną

inwazją Niemców zakład podpisał wielki kontrakt na produkcję trumien. Przewidywano, że potrzeba ich będzie dużo, bardzo dużo... Produkcja oczywiście musiała być ściśle tajna, żeby nie siać niepotrzebnie paniki. Oficjalnie, to był skromny zakład pogrzebowy na przedmieściach. Na ogrodzonym strzeżonym dziedzińcu dzień i noc trwała produkcja trumien, a od frontu w małym kantorku mój dziadek przyjmował nieutulone w żalu wdowy. Pewnego dnia doradził właścicielowi, żeby czarne karawany przemalował na... ciemnozielono. Anglik na początku popukał się w głowę, bo bał się, że straci klientów. Ale po jakimś czasie dał się przekonać. Zmienił nawet nazwę na Green Hearse.

– I co? – zapytał z ciekawością Mikulski. – Stracił klientów?

– Wie pan... – stwierdził ze zdziwieniem pan Smith.

– Wcale nie! A nawet wprost przeciwnie. Ludzie zaczęli walić drzwiami i oknami. Może to nasze angielskie poczucie humoru?

– Teraz rozumiem, skąd u pana taka doskonała znajomość języka polskiego – włączyła się do rozmowy Zu. – Ale stół z powyłamywanymi nogami to pan nie powie...

– Jak to nie? – oburzył się pan Smith. – Proszę bardzo... Stół z powyłamywanymi nogami. I jeszcze mogę powiedzieć: Szedł Sasza suchą szosą. No i co?

– Świetnie! – Mikulski zaklaskał entuzjastycznie.

Zu zaczęła intensywnie myśleć. Polski oficer, zakład pogrzebowy. Tak... wszystko się zgadzało. To mógł być ojciec pana Leszka.

– A czy ten oficer nie ma żadnej rodziny w Polsce?

– zapytała Zuzanna, żeby ostatecznie upewnić się w swoich podejrzeniach.

– Nie, jego żona, czyli moja babka, przyjechała do Londynu z moim ojcem tuż po wojnie. O innych krewnych nigdy nie słyszałem.

– A ten oficer jeszcze żyje? – pytała dalej Zu.

– Niestety – odpowiedział pan Smith. – Zmarł dziesięć lat temu. Mój ojciec został najpierw wspólnikiem tego Anglika, który go zatrudnił, a po jego śmierci odkupił udziały od wdowy. Teraz ja prowadzę cały interes. Jak pani myśli, czy jak otworzę zakład w Polsce, to też powinienem wprowadzić zielone karawany?

– Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą Zu. – Ale mam znajomych, którzy znają się na tej branży. Jak ich zobaczę, to chętnie zapytam.

Pan Smith aż podskoczył z radości na wieść, że Zu zna kogoś z jego profesji.

– Proszę zapytać koniecznie swoich znajomych, czy nie mogliby się ze mną spotkać. Chętnie dowiem się czegoś na temat polskich zwyczajów pogrzebowych. Widziałem u was, jak ludzie nieśli wieńce na cmentarz. U nas dawniej podczas pogrzebu każdy niósł gałązkę rozmarynu.

– A czy to w Anglii opowiada się zabawne anegdoty z życia nieboszczyka? – zapytała Zu.

– Nie. – Pokręcił głową Smith. – To w Ameryce. Ale bardzo się cieszę, że to pani sprzedaje moją kamienicę. Czy pani miała w swojej rodzinie jakiegoś przedsiębiorcę pogrzebowego, bo widać, że zna się pani na rzeczy.

– Nie – zaprzeczyła z żalem Zu. – W naszej rodzinie byli szklarze, kominiarze, a jeden wujek był przed wojną kasjerem w banku i zamknęli go za defraudację. Ale o żadnych przedsiębiorcach pogrzebowych nie słyszałam.

– Szkoda – westchnął pan Smith z żalem.

I z tymi słowami pan Smith opuścił agencję Cztery Kąty. Zuzanna też chciała się ewakuować, ale Mikulski ją zatrzymał.

– Chciałbym, żebyś jak najszybciej znalazła kupca na tę kamienicę. Inaczej klient się rozmyśli i nici z naszej prowizji. Z twojej też, pamiętaj. I wiesz co... – zawahał się przez chwilę. – Masz coś na zębach.

– Na zębach? – zdziwiła się Zu i pobiegła szybko do łazienki... Wyszczrzyła się do lustra... Na samym środku jedynek tkwił przyklejony wielki liść zielonej herbaty.

TTLR

Rozdział 19

UROKI PROMOCJI, czyli...

CO MOŻNA ROBIĆ W ZEPSUTEJ WINDZIE

Zu wjechała skrzypiącą windą na siódme piętro. Otworzyła drzwi i po ciemku powiesiła płaszcz na wieszaku. Usiłując nie wpaść na szafę w przedpokoju, ruszyła do kuchni, gdzie ostatni raz widziała gromnicę od pani Jarzębskiej.

– Dlaczego nie zapalisz światła? – usłyszała nagle za swoimi plecami głos Michała. – Mamy już z powrotem nasz licznik.

– Aaa! – wrzasnęła ze strachu. – Dlaczego mnie straszysz, łosiu? I czemu sam siedzisz po ciemku?

– Bo chciałem zrobić ci niespodziankę.

– Dzięki ci bardzo za niespodzianki, od których można dostać zawału.

– Zu sięgnęła wreszcie do wyłącznika światła i po raz pierwszy od dwóch dni w mieszkaniu zrobiło się jasno.

– Jak zemdlejesz, to wiem, jak cię profesjonalnie reanimować – uspokoił małżonkę pan Roszkowski. – Zacznę od sztucznego oddychania...

– Metodą usta–usta? – Ta perspektywa bardzo zainteresowała Zu.

– Nie – zaprzeczył Michał. – Mam maskę w torbie.

– To idź w buraki – poradziła mu żona. – I sam sobie tę maskę załóż.

– Kochanie, nie wiesz o czym mówisz. Podśluchałem kiedyś, że te maski w niektórych agencjach towarzyskich w Londynie są na wagę złota.

– Że niby takie podniecające?

– Podobno. I że orgazm po takim sztucznym oddychaniu murowany.

Zu grzecznie podziękowała i stwierdziła, że woli osiągać orgazm w bardziej tradycyjny sposób. Po czym stanęła w kuszącej pozie w drzwiach i

czekała na reakcję męża. No i doczekała się. Michał klepnął ją w pupę i wyszeptał:

– Ubierz ciepłe majtki. Jedziemy do mamy. Dzwoniła, żebyśmy ją odwiedzili.

– Łeee... – jęknęła Zu. – Nie chcę. Myślałam, że zostaniemy w domu.

– No już, nie marudź. Idziemy, idziemy!

Gdy wsiedli do ciasnej windy, Zu przytuliła się do Michała i wyszeptała mu prosto do ucha:

– To może szybki numerek w windzie?

W tym samym momencie urządzenie zgrzytnęło i zatrzymało się między piętrami. Michał spojrzał na żonę podejrzliwie.

– No co? – zaperzyła się Zu. – Ja nic nie zrobiłam. Ale możemy wykorzystać sytuację. Winda stoi, my jesteśmy sami...

– Jesteś pewna? – zapytał ironicznie Michał.

W tym samym momencie skrzypnęły drzwi w głębi korytarza, rozległo się szuranie i Zu zobaczyła nad swoją głową parę przydeptanych burch męskich kapci. Kapcie powstały chwilę niezdecydowanie, po czym cofnęły się o pół kroku, a ich właściciel wykonał głęboki skłon i zajrzał do wnętrza unieruchomionej windy. Zu wzdrygnęła się nieco, widząc przyklejoną do szyby sztuczną szczękę pana Molika z szóstego piętra.

– A, to pani! – nie wiadomo dlaczego ucieszył się sąsiad. – Proszę się nie denerwować. Zaraz pójde po dozorcę. On państwa wyciągnie.

Twarz pana Molika zniknęła, a przydeptane bure kapcie ruszyły żwawo w dół po schodach.

– Neeee... – jęknęła Zu i usiadła na podłodze. – Dlaczego tu mieszkają sami życzliwi i uczynni emeryci? Kochanie, przeprowadźmy się na jakieś nowe strzeżone i ogrodzone osiedle, takie dla bogatych snobów. Tam, jak

utkniemy w windzie, to nas nikt tak z mety nie będzie ratował. Snobów przeważnie przez cały dzień nie ma, bo zasuwiają w tych swoich korporacjach, a wieczorem siedzą w modnych klubach. Wyciągnęliby nas z windy dopiero po powrocie, koło północy.

Michał uświadomił jednak swoją żonę, że nie stać ich na mieszkanie na snobistycznym osiedlu.

– Zresztą, ty się boisz psów – zakończył.

– A co mają do tego psy? – zdziwiła się Zu.

– No jak to co? To nie wiesz, że snoby mają psy? Im większy snob, tym większy pies! A tutaj, to cię najwyżej może obszczekać jamnik pana Sikory z parteru albo kundelek kieszonkowy pani Jarzębskiej.

– E tam, nie znasz się. – Zu wydeła wargi lekceważąco. – Największe snoby to sobie kupują yorki.

Dalszą dyskusję na temat upodobań kynologicznych snobów przerwało im ponowne pojawienie się obok windy burych przydeptanych kapci pana Molika. Za nimi nadeszły czarne zakurzone półbuty dozorczy Michalskiego, który w okamgnieniu uwolnił Roszkowskich z windy. Otworzył drzwi i uklonił się Zu, przepuszczając ją w drzwiach. Michał chciał ruszyć śladem żony, ale pan Molik zagroził mu drogę, a że ułomkiem nie był, wypełnił sobą całe wąskie wejście do windy.

– O, dobrze, że pana widzę, panie doktorze – ucieszył się. – Nie dostałem się dzisiaj do lekarza, chociaż od szóstej stałem. Może pan doktor zobaczyłby moją wątrobę? Już od dwóch tygodni mnie boli.

Po tych słowach pan Molik zabrał się za ściąganie koszuli. Zrezygnowana Zu usiadła na schodach. Nagle zadzwonił telefon Michała. Roszkowski sięgnął do kieszeni i zerknął na wyświetlacz.

– Mama dzwoni. Odbierz i powiedz, że już wychodzimy. – Michał rzucił żonie telefon.

– Dzień dobry. Michał nie może odebrać telefonu, bo ogląda wątrobę... Przepraszam, ale coś przerywa. Tak? Nie, nie mamy na obiad wątróbki, on ogląda wątrobę sąsiada. Słucham, coś strasznie trzeszczy. Nie, sąsiad też nie ma na obiad wątróbki. Michał ogląda jego wątrobę. Zaraz kończy i jedziemy do mamy. Już jesteśmy na klatce schodowej. Tak, on bada sąsiada na klatce, bo się w windzie zatrzasnęliśmy. Michał wszystko wytłumaczy, jak tylko dotrzemy.

Odwróciła się do Michała i zdębiała. Jej mąż był otoczony przez tłum sąsiadów, którzy jeden przez drugiego prześcigali się w relacjonowaniu mu swoich dolegliwości. Zu zaczęła intensywnie zastanawiać się, w jaki sposób szybko uwolnić Michała?

– Panie Bogdanie – zagadnęła stojącego najbliżej niej sąsiada z parteru. – Czy pan słyszał, że za dziesięć minut zaczyna się promocja w tym nowym sklepie spożywczym na rogu? Podobno pierwsze dwadzieścia osób ma dostać za darmo wielką torbę makaronu i dwa słoiki sosu do spaghetti.

Wieść rozeszła się lotem błyskawicy i już po chwili na klatce schodowej zostali tylko Michał, Zuza i pan Molik ze swoją wątrobą.

– A pan nie idzie na promocję? – zdziwiła się Zu.

– Nie – westchnął z żalem sąsiad. – Ja mam chorą wątrobę. To co ja mam robić, panie doktorze? Zapisze mi pan coś na tę moją wątrobę?

– Dam panu numer telefonu mojego kolegi. Niech pan się do niego zgłosi. Zu, daj mi jakąś kartkę i długopis.

Zuzanna sięgnęła do torby i wyciągnęła kartkę i długopis. Michał oderwał połowę, pracowicie wykaligrafował na niej nazwisko i numer

telefonu i podał sąsiadowi. Pan Molik chwycił ją tak, jakby był to czek na milion dolarów albo skierowanie do luksusowego sanatorium.

– No dobra, możemy iść – stwierdził Michał, gdy szczęśliwy sąsiad przestał mu już dziękować i pobiegł do siebie. Lekarz miał jakieś dziwne przeczucie, że za chwilę wybiegnie do sklepu spożywczego. Nie byłby pierwszym pacjentem, w którym troska o własną wątrobę przegrała z magią promocji. – Trzeba się pospieszyć, bo zaraz wszyscy wrócą i nas zlinczują...

– Myślisz, że mnie zrzucą ze schodów, jak się dowiedzą, że dają tylko jeden słoik sosu? – zastanowiła się Zu.

– To ty tej promocji nie wymyśliłaś? – zdziwił się Michał.

– Nie, ja ją tylko uatrakcyjniałam, żebyśmy szybciej mogli się stąd wymiksować. No, chyba, że my też idziemy na promocję. Masz ochotę na makaron?

– Może lepiej nie. Makaron trzeba ugotować, a z własnego doświadczenia wiem, że ty go albo spalisz albo dasz mi do jedzenia surowy.

– Dziękuję ci bardzo – Zu pokazała mężowi język, a on w odpowiedzi przyciągnął ją do siebie i pocałował.

– Ale nie obrażaj się, kocie–Zuzocie... – powiedział czule. – Nie umiesz co prawda gotować, ale masz wiele innych zalet, tylko nie mogę sobie teraz przypomnieć jakich. Nie rzucaj we mnie butem, nie jestem prezydentem Stanów Zjednoczonych. Schowaj długopis i kartkę. Zaraz, poczekaj, co to jest? Cholera! Przecież to zgłoszenie mieszkania mojej matki do sprzedaży! Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

– Znalazłam u twojej matki, jak szukałam czystej kartki, żeby coś zapisać. Nawet nie czytałam, co jest na odwrocie. Ty wiesz, o co tu chodzi?

– Błędęgo pojęcia nie mam... Może mama ma jakieś kłopoty? Ale dlaczego do mnie nie zadzwoniła? Albo do ciebie...

– Zaraz u niej będziemy i wszystkiego się dowiemy.

TTLR

Rozdział 20

DOSKONAŁA OFERTA, czyli...

JAK SIĘ LECZY SERCOWE PROBLEMY CHIŃSKIEJ MAFII

– O co chodzi, mamó? – zapytał Michał i podał matce kartkę papieru.

Roszkowska spojrzała na kartkę i westchnęła.

– Chciałam wam zrobić niespodziankę. No, ale już wszystko wiecie...

– Nic nie wiemy – zdenerwował się Michał. – Brakuje ci pieniędzy?

Przecież trzeba było zadzwonić do mnie albo do Zuzy. Nie od razu mieszkanie sprzedawać! No to ile ci potrzeba? Jutro zrobię przelew przez telefon. Nie martw się...

Ale matka nie wyglądała wcale na zmartwioną. Uśmiechnęła się do syna i poklepała go po ręce.

– Nie mam żadnych kłopotów ani długów. Ale wiem, że wam potrzebne są pieniądze. Nie, nie, proszę cię bardzo, nie kręć głową. Jakby wam nie brakowało, to byś nie zostawiał żony samej i nie leciał do Londynu.

Nie było sensu zaprzeczać, więc Michał i Zuza milczeli dyplomatycznie, a Roszkowska zdjęła gips, ustawiła go w kącie, usiadła wygodnie w fotelu i mówiła dalej...

– Jakiś miesiąc temu przyszła do mnie, sąsiadka i przyniosła ulotkę. O, gdzieś tu ją mam. Zobaczcie...

Zu sięgnęła po ulotkę, na której rzuciło jej się w oczy dobrze jej znane logo konkurencyjnej Agencji Nieruchomości Zacisze.

– „Specjalna oferta dla emerytów. Złota jesień na swoim – przeczytała.

– Proponujemy państwu niezwykłą promocję, dzięki której zamienicie małe i ciasne mieszkanie na wygodny apartament".

Odłożyła kartkę i spojrzała na teściową i męża.

– To jakieś koszarne brednie.

– Czytaj dalej! – pogonił ją mąż.

– „Agencja Zacisze ma dla państwa niezwykle korzystną ofertę promocyjną na luksusowe mieszkania w bardzo korzystnej lokalizacji. Odkupimy od państwa stare mieszkanie, a w zamian znajdziemy większy i wygodniejszy lokal w dobrej lokalizacji. Wystarczy wpłacić dwadzieścia tysięcy złotych kaucji, aby po kilku tygodniach zamieszkać w nowym mieszkaniu”. Po co mamie większe mieszkanie? To jest za małe?

– Chciałam się później z wami zamienić – odpowiedziała teściowa. – Ja przeprowadziłabym się do was, a wy do tego apartamentu.

– A to drobnym drukiem mama czytała? – Zu pokazała kartkę Michałowi.

– To? Zanim się wczytałam, to człowiek z agencji zabrał mi umowę. Powiedział, że to nieważne – stwierdziła Roszkowska.

– Tu jest napisane, że agencja przedstawia mamie trzy propozycje mieszkania. Jeśli mama nie przyjmie żadnej z nich, umowa wygasa, a kaucja przepada.

– To co ja mam teraz zrobić? – przeraziła się matka Michała.

– Spróbuję pogadać ze znajomym policjantem – obiecała Zuza, a widząc podejrzliwą minę Michała natychmiast dodała: – No z tym, co był ostatnio u nas. Jak on się nazywał... Gawel Pawel? Nie! Pawel Gawel. Niech się mama nie śmieje, on naprawdę tak się nazywa. I niech się mama zorientuje, kto z sąsiadów podpisał ten kwit. I czy ktoś już sprzedał mieszkanie i zaproponowali mu nowe.

– Oczywiście – skwapliwie zapewniła ją Roszkowska.

– Co prawda, chodzić nie mogę przez ten gips, ale mogę przecież podzwonić po sąsiadach. Biorę się za to jutro rano.

– Dobrze, to my jutro zajrzemy wieczorem, żeby się dowiedzieć, jakie są efekty tego mamy śledztwa. No nie, Michał? – Szturchnęła męża, który nad czymś intensywnie myślał.

– To chyba już sama przyjdiesz – stwierdził w odpowiedzi Michał. – Ja dzisiaj w nocy mam samolot do Londynu. Chociaż teraz to się w ogóle zaczynam zastanawiać, czy nie powinienem zostać?

– A mógłbyś? – ucieszyły się obydwie kobiety.

– A nie mógłbym. Jak się nie pojawię jutro rano w robocie, to mnie chińska mafia zacznie ścigać. Mam u siebie na oddziale jakiegoś ichniego bossa i on mnie bardzo polubił. Jak zniknę, to mnie po całym świecie każe szukać.

– Chińska mafia w Londynie? – stwierdziła z niedowierzaniem Zu.

– Tak, tak – potwierdził jej mąż. – Taki skośnooki Wołomin. Z drugiej strony, Chińczycy to mały pikuś w porównaniu z tym, co wy dwie możecie tutaj nawywijać! Połamiecie resztę nóg, wylądujecie pod mostem albo Zu mamę otruje swoją zupą.

– Czep się wątroby swojego mafiosa, a nie mojej zupy – odgryzła się Zu.

– Wątrobę to on ma akurat zdrową – sprostował Michał. – Skarży się na problemy z krążeniem.

– Nic dziwnego. – Pokiwała głową Zu. – Przy takiej stresującej pracy... Ale jak chcesz zdążyć jeszcze zabrać bagaż z domu, to musimy lecieć. Zajrzę jutro wieczorem sama albo z Bašką.

– Twoja siostra jeszcze jest? – ucieszyła się Roszkowska. – Myślałam, że już wróciła do domu.

– Namówię ją, żeby została jak najdłużej i zaopiekowała się Zuzą – stwierdził Michał.

– Nie jestem niepełnosprawna umysłowo, żeby ktoś musiał się mną opiekować – zaprotestowała Zu.

– Jako lekarz i twój mąż polemizowałbym z tym, ale dobra. Za to przyznasz mi rację, że jesteś niepełnosprawna kulinarnie i albo zdechniesz z głodu jak mnie nie będzie, albo zamienisz się w faceta od tych hormonów, co je zżerasz w kurczakach z grilla. A ja po powrocie chcę zastać w domu żonę, a nie męża. A mama niech wreszcie założy ten gips.

– Już zakładam, bo idę na rentgen kontrolny. – Teściowa zniknęła na chwilę w łazience. Gdy z niej wyszła, miała gips założony na... rajstopy.

– Chcesz tak wyjść? – zapytał Michał.

– No tak. A co?

– Nic, ciekawe tylko, jak wyjaśnisz lekarzowi, w jaki sposób udało ci się wcisnąć te rajstopy pod gips.

Rozdział 21

PIEROGI LENIWE, czyli...

PO CO BAŚKA GONIŁA MĘŻCZYZNĘ W ZIELONYM PŁASZCZU

Mieli wyjątkowy fart, bo gdy dochodzili do przystanku, akurat podjechał autobus. Dzięki temu, w ciągu czterdziestu minut dotarli do domu.

– Wiesz co...? – zaczęła Zu, gdy szli od przystanku w stronę domu.

– Wiem, kochasz mnie... – Michał objął żonę.

– To też, ale nie o to mi chodziło.

– Szkoda. – Michał zrobił minę psa wygnanego na zewnątrz w deszcz z gradobiciem.

– Nie wygłupiaj się – ofuknęła go czule lepsza połowa. – Mam prośbę. Jak wrócisz do Londynu, to rozejrzyj się i spróbuj czegoś się dowiedzieć o przedsiębiorstwie pogrzebowym pana Smitha.

– A po co ci przedsiębiorstwo pogrzebowe? Zaczynam się o ciebie bać.

– Nie bredź. Zadzwoń. Może Baśka już jest i nam otworzy, bo nigdzie nie mogę znaleźć kluczy.

– Ty ofiaro losu! – westchnął Michał i nacisnął na dzwonek.

Ale Baśki nie było. Otworzyli więc drzwi kluczem, który w końcu Zu wygrzebała z kieszeni spodni. Na stole w kuchni znaleźli kartkę: „Pojechałam do pana Józefa.

Nie wiem, o której wrócę. Zrobiłam wam pierogi leniwe na kolację. Smacznego”.

– Masz ochotę na leniwe? – zapytała Zu, rzucając płaszcz na fotel.

– Nie – odpowiedział Michał i przyciągnął żonę do siebie. – Za to mam ochotę na polską agentkę nieruchomości.

– A ja się jeszcze waham – drażniła się z mężem Zu.

– Może jednak zacznę od leniwych, a polskiego lekarza zostawię sobie na deser.

– Protestuję. – Michał przycisnął ją do ściany. – Jak się napchasz leniwymi Baśki to nie będę z ciebie miał żadnego pożytku w łóżku, bo z przejedzenia nie będziesz się mogła ruszać. A ja dzisiaj nie mam ochoty na seks w klasycznym polskim wydaniu.

– A na co masz ochotę? – zapytała Zu.

– Na wypróbowanie pewnej pozycji, o której ostatnio czytałem w Internecie.

– Ty zboczeńcu! To ty oglądasz takie rzeczy? A jaka to była pozycja? Musisz mi pokazać.

Michał z przyjemnością spełnił prośbę żony i o mało nie spóźnił się na pociąg. Wskoczył do wagonu w ostatniej chwili, posyłając przepaszający uśmiech miłej pani konduktor.

Gdy on wysiadał z samolotu w Londynie, Zu wychodziła z wanny. Zastanawiała się, czy jako nieutulona w żalu słomiana wdowa może poryczeć na okoliczność tęsknoty za mężem. A może powinna być dzielną żoną emigranta zarobkowego? Właśnie skłaniała się ku opcji nieutulonej w żalu słomianej wdowy, gdy zazgrzytał klucz w zamku i w drzwiach stanęła Baśka.

– Jest jeszcze Michał? – Rozejrzała się po mieszkaniu.

– Nie – westchnęła Zu. – Poleciał do Londynu. Właśnie zamierzałam się rozkleić, ale mi przeszkodziłaś.

– I dobrze. Co mi się tu będziesz mazgać, chusteczek szkoda – odpowiedziała nielitościwa młodsza siostra.

– Ani się obejrzysz, a mąż będzie z powrotem. A jak się bardzo stęsknisz, podpal mieszkanie. To dla ciebie pestka, a on w godzinę przyleci z drugiego końca świata. Lepiej posłuchaj, co mi się dzisiaj przytrafiło. Pojechałam do pana Józefa, żeby mu zawieźć pierogi leniwe. Dla was też zostawiłam. Zjedliście?

– Nie, nie mieliśmy czasu – odpowiedziała Zu zgodnie z prawdą.

– No tak, to mnie akurat nie dziwi – skwitowała Baśka, patrząc na łóżko ze zmiętą pościelą. – Nic nie szkodzi, podobno można żyć miłością, więc po co wam pierogi? Ale panu Józefowi smakowały!

– Trzeba było zadzwonić, to może byśmy teraz pojechały razem.

– *Sorry*, siostra. – Baśka spojrzała na nią niepewnie. – Ale on prosił, żebym przyszła sama. Chyba ma pretensje do ciebie, że mu nic nie powiedziałaś o pieniądzech, które muszą zapłacić za ten remont kamienicy, co go nie było.

– Tak ci powiedział?

– Nie on, pan Leszek. Zadzwonił tu, jak byłaś w pracy. Przepraszał za brata. Powiedział, że później jakoś mu to wszystko wytłumaczy, ale teraz byłoby lepiej, żebyś do niego nie przyjeżdżała. Po co staruszka denerwować...

– Dobra – zgodziła się Zu, chociaż zrobiło jej się przykro. – Jutro w takim razie zadzwonię do pana Leszka. Ale mówiłaś, że coś ci się przytrafiło. Gadaj...

– No właśnie... Posłuchaj. Wychodzę od pana Józefa, ciemno jak za przeproszeniem w grobie, bo znowu ktoś im ukradł korki. Mało nóg nie połamalam na schodach. Wychodzę z bramy i nagle wpadam na jakiegoś faceta. Zawału prawie dostałam i już miałam zacząć wrzeszczeć, ale zamiast

mnie zaczął się drzeć ten facet. Ale jak! Chyba go na drugim końcu miasta słyszeli. On się chyba mnie bardziej przestraszył niż ja jego...

– To się akurat wcale nie dziwię – skwitowała Zu.

– Nagle z ciemnej bramy wychodzi baba wielka jak szafa i pruje prosto na niego. Pewnie biedak pomyślał, że go chcesz zamordować albo w najlepszym razie okraść. I co było dalej?

– Najpierw wrzasnął, a później zaczął uciekać. No to ja za nim, bo upuścił torbę i chciałam mu oddać. Leciałam za nim i krzyczałam: „Proszę pana! Proszę pana! Niech się pan zatrzyma”. Ale on nic, leciał dalej na oślep.

– Biedny człowiek. I co, dogoniłaś go w końcu i oddałaś mu torbę?

– No – stwierdziła z dumą Baśka. – Dopadłam go, bo się potknął i niewiele brakowało, a wpadłby do świeżo wykopanego grobu. Na szczęście, w ostatniej chwili złapałam go za kieszeń płaszcza...

– Płaszcz? – Zu zastrzygła uszami. – A jaki to był płaszcz?

– Jezu – jęknęła Baśka. – Jakiś zboczeniec mnie napadł, a ty się dopytujesz, jaki miał fason i kolor płaszcza? Chcesz sobie taki sam kupić? To *sorry*, ale było ciemno i nie widziałam dokładnie. Jakiś taki ciemny, chyba zielony. Nie wiem zresztą, bo zaraz znowu mi uciekł.

– Nie on cię napadł, ale ty go goniłaś, stara wariatko. Nie dostał zawału, jak go nad tym grobem dopadłaś? Ja bym dostała. A wysoki był?

– Płaszcz? – zdziwiła się młodsza siostra.

– Facet, facet czy był wysoki!

– Coś ty się tak tego faceta uczepliła? – zirytowała się Baśka. – Szkoda, że mu zdjęcia nie zrobiłam.

– A właśnie, zdjęcie! – krzyknęła Zu. – Poczekaj, muszę zadzwonić! Masz telefon, bo ja swojego nie mogę znaleźć. No co robisz takie miny?

Baśka machnęła ręką i podała siostrze komórkę.

– Cześć Karolek! Skarbie najśłodszy, mam do ciebie prośbę... O, przepraszam myślałam, że to Karol. Kąpie się? To proszę mu powiedzieć... Halo! Rozłączyła się... Chyba poleciała utopić Karolka w wannie. Ja to mam szczęście do tej jego zazdrosnej narzeczonej.

– To cię chyba nie powinno jakoś bardzo dziwić. Twój mąż, jakby usłyszał, że ty do jakiegoś chłopca mówisz „skarbie najśłodszy”, to też by cię w wannie utopił, a jemu wyciąłby serce skalpelem. Lepiej uważaj, bo on to może jakiś podsłuch zainstalował i kamery internetowe. Albo wynajął prywatnego detektywa, żeby chodził za tobą i robił ci zdjęcia. A właśnie, o jakim zdjęciu mówiłaś?

Zu opowiedziała siostrze historię zdjęcia zrobionego przez Karolka, na którym facet w ciemnozielonym płaszczu czaił się pod kamienicą pana Józefa.

– Może to ten sam, którego dzisiaj goniłaś.

– Może, ale jak to ten sam, to szybko nie wróci. Dobra. Jutro mi to zdjęcie pokażesz, a teraz marsz do łóżka!

Nagle rozległ się dźwięk dzwonka telefonu.

– To nie mój. – Baśka spojrzała na wyświetlacz. – Musi być twój. Gdzie go położyłaś?

– Cholera! Nie wiem! Może to Michał dzwoni! Szukamy!

Siostry rzuciły się na poszukiwanie zaginionego telefonu. Aparatu nie było ani w kieszeni kurtki, ani w torebce, ani nawet w butach Zu. Znalazł się wreszcie... Leżał na podłodze obok muszli sedesowej. Niestety, gdy Zu po niego sięgnęła, przestał dzwonić. Spojrzała na wyświetlacz.

– Nie znam tego numeru – stwierdziła. – Mam oddzwaniać czy nie? Eee, pewnie jakaś pomyłka. – I odłożyła aparat na stertę prania w wiklinowym koszu z brudami.

– Może lepiej połów tam, gdzie go jutro znajdziesz – poradziła Baśka. – Bo tu zginie pod brudnymi majtkami i skarpetkami.

Zu posłusznie wzięła aparat, który w tym samym momencie zaczął dzwonić.

– Tak słucham? Michał? Nie, męża nie ma. Ledwo odłożyła telefon, gdy znowu zaczął dzwonić.

– Słucham! Przecież już panu mówiłam, że męża nie ma. Jest za granicą i wróci dopiero za kilka miesięcy.

Rzuciła telefon na stolik, ale zanim tam doleciał, po drodze znowu zaterkotał.

– Baśka, odbierz i powiedz temu bezmózgowi, że Michała nie ma i nie będzie. Bo ja mu chyba nabluzgam!

Baśka wzięła telefon.

– Słucham! A, to ty Michał. Tak, już ci ją daję.

– Cześć, skarbie najśłodszy. Masz szczęście, że odebrałam, bo już miałam wyłączyć telefon. Dobija się tu bez przerwy jakiś bałwan, który chce z tobą rozmawiać. Już trzy razy dzwonił. Co odbiorę, to on do mnie „Michał”. To mu tłumaczę, że cię nie ma, a ta łajza ciągle dzwoni. Co? To byłeś ty? Nie poznałam cię po głosie, może przez tę londyńską mgłę. Przepraszam. Jak lot? W porządku? Znalazłeś mój Zielony Karawan? Tak szybko? A... ogłoszenie w gazecie widziałeś. Dobra, to jak coś będziesz wiedział, daj znać. Zaraz zanotuje twój nowy numer telefonu. Mam na ścianie zapisać, po co? Bo kartkę zgubię? No daj spokój, za kogo ty mnie

masz? Za największą ofiarę losu na świecie? Ja też cię kocham, to pa! A numer miałam zapisać – dawaj...

Zu zapisała numer na kartce, którą znalazła na stole. Po skończonej rozmowie z Michałem położyła słuchawkę na torbę z suchym chlebem, który już dawno miała zanieść do pracy. Anita mieszkała obok stadniny, gdzie prowadzono hipoterapię i zanosila konikom chleb, który zbierała dla niej cała agencja. Baśka położyła słuchawkę na aparacie i wyjęła siostrze z rąk kartkę z numerem telefonu szwagra.

– Lepiej gdzieś to zapiszę, bo ty zaraz zgubisz, sieroto! A z tym Zielonym Karawanem to o co chodzi? To jakaś wyjątkowo wyuzdana bielizna, takie skórzane majtki z pejczem? Nie, już wiem! To wibrator tak się nazywa! Michał kupił ci w Londynie wibrator, który się nazywa Zielony Karawan?

– Idź, wariatko. Ten Zielony Karawan to dla pana Józefa. Chodzi o taki prawdziwy karawan do przewożenia zwłok.

– Wiesz co, ja to się nie dziwię staruszkowi, że cię nie chce oglądać. On jeszcze żyje, a ty mu już karawanu szukasz i to zielonego.

Chociaż Zu marzyła o tym, żeby wreszcie pójść spać, wykrzesala jeszcze z siebie tyle siły, żeby opowiedzieć siostrze historię przedsiębiorstwa pogrzebowego Zielony Karawan, którą usłyszała w biurze od pana Smitha. Kończyła swoją opowieść, siedząc na łóżku w piżamie Michała.

– I te karawany zrobiły prawdziwą furorę w Londynie podczas wojny. Swoją drogą, ciekawe, czy nieboszczykowi robiło różnicę, jakiego koloru karawan go wiezie? A ty jakim byś chciała? Bo ja to żółtym. –I Zu padła na łóżku.

Baśka pochyliła się nad siostrą, żeby sprawdzić, czy żyje i aż odskoczyła pod ścianę, bo Zu chrapnęła tak, że zatrzęsły się ściany.

– Nie dziwię się, że wybrała żółty – mruknęła, okrywając siostrę kołdrą. – To kolor wariatów!

TTLR

Rozdział 22

KOREAŃSKI BUDZIK,

czyli... CO TU TAK ŚMIERDZI

Następnego ranka Zu zamierzała zerwać się skoro świt. Chciała jeszcze przed pracą zajrzeć na komisariat policji i spotkać się z posterunkowym Pawłem Gawłem. Niestety, po raz kolejny życie pokazało, że plany robione przez panią Roszkowską ma w... głębokim poważaniu. Budzik nie zadzwonił!

– Jak miał zadzwonić, jak go pewnie jełopo nie włączyłaś? – Baśka podsumowała krótko niecenzuralny wywód swojej siostry pod adresem budzika.

– Właśnie że włączyłam! – upierała się Zu. – Ale on koreański jest, to może według koreańskiego czasu chodzi czy jak?

Baśka wzruszyła ramionami nad nieuleczalną głupotą starszej siostry i poszła do łazienki. Zu podreptała w przeciwnym kierunku, czyli do kuchni. Otworzyła drzwi i wrzasnęła nieludzko. Baśka wyskoczyła z łazienki, plując pastą do zębów i bełkocząc, domagała się wyjaśnienia, dlaczego jej siostra tak się drze od samego rana. Wpadła do kuchni...

– O, cholera! Zupełnie o nim zapomniałam! Leżał biedak tutaj przez całą noc!

– Jak mogłaś zapomnieć? – wrzasnęła Zu. – Przecież to ja jestem od zapominania, nie ty. Zobacz, zapaskudził mi całą kuchnię. I co my teraz z nim zrobimy?

– Nic się już nie da zrobić. Zaśmierdł się kompletnie i tyle. Nic z niego już nie będzie. Wyrzuci się dyskretnie do zsypu i tyle. Jakby się kto o niego pytał, to powiemy, że nigdy wcześniej go nie widziałyśmy i już.

– Akurat ktoś ci uwierzy. Przecież on śmierdzi na całą chałupę. Ja go nawet kijem nie dotknę. To twój śmierdzący ser i ty go sobie wyrzucaj.

Okazało się, że Baśka kupiła poprzedniego dnia swój ulubiony serek pleśniowy – prawdziwy normandzki Camembert i zapomniała schować go do lodówki.

– Może to i dobrze – podsumowała Zu, otwierając szeroko okno w kuchni. – Musiałabym chyba kupić nową lodówkę. To najbardziej śmierdzący ser na świecie.

– Bzdury opowiadasz – oburzyła się młodsza siostra. – Według najnowszego serowego rankingu, najbardziej śmierdzący na świecie jest ser Vieux–Boulogne. Drugie miejsce zajął francuski Pont–l'Eveque, produkowany w Normandii. A dopiero trzeci był mój ukochany normandzki Camembert.

– Cuchnący ranking – podsumowała Zu. – Trzeba go wyrzucić, bo chyba teraz nie będziesz tego jadła.

– Nie, przed spotkaniem w sprawie pracy to chyba nie zaryzykuję – westchnęła smutno Baśka i ze łzą w oku cisnęła śmierdziela do kosza, który szybko wyniosła do zsyphu.

– Nikt cię nie widział? – upewniła się na wszelki wypadek Zu.

– Widzieć to nie widział, ale pewnie zaraz wszyscy poczują. Lepiej się ulotnijmy z domu, zanim zacznie się śledztwo pod tytułem *Co tu tak śmierdzi?*.

Z powodu cuchnącego zbiegu okoliczności Zu nie tylko, że nie dotarła jako pierwsza do agencji, ale jeszcze się spóźniła. Spodziewała się, że w drzwiach będzie czekał na nią Mikulski, ale zamiast niego po gabinecie miotła się zaaferowana Anita.

– Co się dzieje? – zapytała Zu i rzuciła teczkę z dokumentami na swoje biurko. – Znowu nas okradli?

– Gorzej! – jęknęła sekretarka. – Oddali nasze komputery. Na pewno wcześniej je dokładnie obejrżeli.

– I co, znaleźli twojego pirackiego pasjansa i kolekcję zdjęć pornograficznych tego zbrodźcy Karolka?

– Przestań się wygłupiać. Może Mikulski robił jakieś przekręty, którymi od dłuższego czasu interesował się Wydział Przystępczości Gospodarczej – powiedziała Anita konspiracyjnym szeptem. – Może w twoim komputerze coś znaleźli? I teraz nas wszystkich aresztują za współudział.

– W moim komputerze znajdują najwyżej wirusa. – Wzruszyła ramionami Zu. – A w ogóle, co ty tak szeptem mówisz? Mikulski jest u siebie?

– No właśnie usiłuję ci, jełopo, powiedzieć, że są u niego policjanci, chyba z Przystępczości Gospodarczej, a może nawet z Centralnego Biura Śledczego – wycodziła Anita i chciała coś jeszcze dodać, ale nagle drzwi gabinetu otworzyły się i wyszedł z nich... posterunkowy Paweł Gaweł, którego ostatnio miała okazję oglądać Zu u siebie w mieszkaniu przy świetle latarki. Mimo to poznała go natychmiast i on ją najwidoczniej też, bo uśmiechnął się i powiedział:

– Dzień dobry. Już pani włączyli prąd? Proszę podziękować mężowi.

– Za co? – zapytała zdziwiona Zu.

– Za opatrunek. – Policjant machnął ręką, co prawda już bez bandaża, ale za to z wielkim plastrem. – I niech pani koniecznie pozdrowi siostrę.

Zanim Zu zdążyła odpowiedzieć, policjant wyszedł. Zu przez chwilę wpatrywała się w drzwi, za którymi zniknął. Po chwili odwróciła się, żeby

wejść do swojego pokoju i o mało nie wpadła na stojącego za jej plecami Mikulskiego.

– Skąd znasz tego policjanta? To jakiś kumpel twojego męża? Dlaczego się nie pochwaliłaś takimi znajomościami? – zapytał ironicznie, poprawiając krawat w wielkie czerwone róże. – Zwrócę się do ciebie, jak mi mandat wlepią.

– Niestety, szefie – rozłożyła ręce Zu. – Mój mąż jest lekarzem i jego koledzy w większości też. O, jakby się panu stara wątroba znudziła albo chciałby pan sobie nogę amputować, to Michał na pewno pana skieruje do odpowiedniej osoby. A ten policjant, to kiedyś był u nas, bo go sąsiedzi wezwali. To znaczy chciałam powiedzieć, że był u nas w bloku, bo w jednym mieszkaniu jakaś awantura była.

Mikulski spojrział na nią jakoś dziwnie i wszedł do swojego gabinetu.

– Co on się tak dziwnie na mnie patrzył? – zapytała Anitę Zu.

– A jak miał się patrzeć na kogoś, do kogo sąsiedzi wzywają policję w środku nocy?

– Przecież mówiłam, że to do sąsiadów.

– Taaak — stwierdził Karolek, który przysłuchiwał się całej rozmowie, siedząc przy swoim biurku. – Jak to było u sąsiadów, to skąd on wie, że ci prąd wyłączyli? Przyznaj się lepiej, żeście z Michałem tak się ostro seksili, że sąsiedzi spać nie mogli i policję wezwali.

– A ty, Karolek, to zawsze tylko o jednym. Lepiej weź się do roboty. A właśnie... Możesz mi dać to zdjęcie, które ostatnio zrobiłeś na Wesolej? No wiesz, to z facetem w zielonym płaszczu. Dzwoniłam do ciebie wczoraj, narzeczona ci nie powiedziała?

– A tak, mówiła, że jakaś wywłoka wydzwania i mówi do mnie „skarbie najśłodszy”. Chciała mnie wykastrować, ale ją przekonałem, że to

była taka mitomanka, co to wieczorem wydzwania do mnie i chce seks przez telefon uprawiać.

– No, dziękuję ci. – Rzuciła w Karolka zszywaczem, ale kolega zdążył się uchylić i Zu zrobiła wielką dziurę w ścianie.

Ze swojego gabinetu wyskoczył Mikulski.

– Co wy wyprawiacie? Jeśli chcecie zobaczyć pensje na koncie w tym miesiącu, to się zaraz bierzcie do roboty. Anita, co z tą kawą dla mnie? Karolek, bierz się za gazetę i szukaj klientów. A ty... – dźgnął palcem powietrze, wskazując na Zuzannę. – Ty miałaś wziąć się ostro za szukanie kamienicy dla Smitha? No i co?

Zu zdążyła podnieść zszywacz i teraz usiłowała ukryć go za plecami.

– Wszystko jest na najlepszej podłodze, szefie, to znaczy, chciałam powiedzieć, że wszystko jest na najlepszej drodze.

– Nie wydaje mi się. Dzwonił do mnie Smith i dopytywał się, kiedy się z nim skontaktujesz. Denerwuje się, to wszystko według niego trwa za długo. Stwierdził, że może znajdzie inną agencję, która załatwi sprawę szybciej od nas. Ale ostrzegam cię, że jak on znajdzie inną agencję, to ty też będziesz musiała poszukać... nowej pracy!

– Nie, no skąd, szefie! – oburzyła się Zu. – Wszystko jest pod kontrolą. Jeszcze dzisiaj zadzwonię do tego Smitha i go uspokoję. Swoją drogą, to on musiał chyba mieć jakichś ognistych polskich przodków, dlatego się tak ciska. Flegmatyczny Anglik tak się nie zachowuje.

– Dobra, dobra, nie zagaduj mnie. Jutro rano zadzwonię do niego i mam nadzieję, że nie będzie mi wygrażał zerwaniem umowy – stwierdził Mikulski i ruszył w stronę swojego gabinetu. Przy biurku Anity stanął i ryknął nagle: – Kawę i mojego tatarą – zaraz. A ciebie, Karolek, proszę do mojego gabinetu.

Personel osłupiał, a szef zaakcentował swoją wypowiedź mocnym trzaśnięciem drzwiami. Anita aż podskoczyła i zrzuciła połowę rzeczy z biurka. Zu schyliła się, żeby to pozbierać i z obrzydzeniem podniosła pudełko z podejrzaną zawartością...

– Ło, matko! – Skrzywiła się. – Co to jest?

– Tatar – szepnęła blada jak ściana Anita.

– Co proszę?

– Tatar Mikulskiego. Cholera, cała cebula się wysypała. Jak ja mu to teraz podam?

– Nie łam się – Zu również przeszła na konspiracyjny szept. – To się zaraz pozbiera.

Rzuciły się na kolana i zaczęły pracowicie wydłubywać cebulę spomiędzy włókien dywanu.

– No dobra, ale ona jakaś brudna jest, z włosami i błotem! Co ja mam zrobić? Jak mu nie zaniosę tego żarcia, to mnie wyleje.

– Dawaj, zaraz to umyjemy. – Zu wyjęła talerzyk z rąk koleżanki. Oplukała cebulę pod kranem, ułożyła obok mięsa. – No, teraz możesz mu to zanieść i nie zapomnij powiedzieć „smacznego”.

Anita wzięła tacę, ale tak jej się ręce trzęsły, że niewiele brakowało, a zawartość po raz kolejny wylądowałaby na wykładzinie.

– Dawaj, ja mu zaniosę – powiedziała dziarsko Zu i wkroczyła z posiłkiem do gabinetu prezesa, gdzie siedział również Karolek. Położyła tacę na stole i już zamierzała wyjść, gdy nagle usłyszała.

– A może zjesz ze mną, Karol, pyszny tatar?

Zu stanęła za plecami szefa i zaczęła dawać koledze rozpaczliwe znaki, żeby pod żadnym pretekstem nie korzystał z zaproszenia szefa. Bystry Karolek zrozumiał w mig, że z tatarem jest coś nie tak i grzecznie

odmówił. Po czym stwierdził, że nie będzie przeszkadzał szefowi w posiłku i wycofał się razem z Zu do sekretariatu, gdzie blada jak ściana Anita wypijała jedną szklanekę wody za drugą.

– Co wyście zrobili? – zapytał szeptem. – Dolałyście mu Domestosa do tego tataru?

– Nie tutaj, bo może usłyszeć – odszepnęła Zu i cała trójka zamknęła się w pokoju agentów, gdzie dziewczyny zdradziły Karolkowi tajemnicę posiłku szefa.

– Dzięki, Zuza, że mi nie pozwoliłaś tego tknąć. A już miałem się skusić, bo jestem cholernie głodny – odetchnął z ulgą uświadomiony kolega.

– To z tej wdzięczności idź do sklepiku i kup nam bułki i kefir. Oddamy ci pieniądze, jak dostaniemy pensje. No, idź, idź, bo przy następnym tatarze z podłogi nie dam ci żadnego ostrzeżenia – zaszantażowała kolegę Zuza, widząc, że Karolek nie ma ochoty ruszyć się z biura.

Rozdział 23

MAŚĆ NA ODCISKI, czyli...

**DLACZEGO SEKS Z GRABARZEM MOŻE BYĆ
NIEBEZPIECZNY**

Zu próbowała kilka razy w ciągu dnia dodzwonić się do Smitha, ale jakoś nie miała szczęścia. Albo był na spotkaniach, albo rozmawiał, albo nie było go wcale. O godzinie czternastej z czystym sumieniem wykręciła więc numer pana Leszka Kowala.

– Dzień dobry, panie Leszku! – Uśmiechnęła się do słuchawki. – Czy moglibyśmy się jakoś dzisiaj spotkać? Chciałabym porozmawiać o kamienicy. Jest pan cały czas u brata? Nie, no wiem, że nie powinnam przychodzić. Ale może w takim razie spotkajmy się gdzieś w pobliżu mieszkania pana Józefa. Zabiorę ze sobą Baškę, to ona posiedzi z pańskim bratem, a my sobie spokojnie porozmawiamy. To będziemy tak przed szóstą.

Po czwartej Zu zaczęła zbierać swoje rzeczy. Właśnie sięgała po płaszcz, gdy nagle zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

– Agencja Cztery Kąty, słucham?

Okazało się, że po drugiej stronie był nieuchwytny pan Smith, któremu doniesiono, że Zu od rana go ściga. Umówili się następnego dnia na dziewiątą w jego domu. Zu odłożyła słuchawkę i znowu sięgnęła po płaszcz, gdy dzwonek telefonu rozległ się ponownie.

– Karolek, odbierz i powiedz, że już wyszłam – poprosiła kolekę.

– Tak, słucham? Oczywiście jest, już oddaję słuchawkę. –I podał telefon Zu, która stała już z jedną ręką na klamce. Pokazała mu język, ale (chcąc nie chcąc) odebrać musiała. I dobrze, bo po drugiej stronie słuchawki zabrzmiał głos zmartwionej i zaaferowanej teściowej.

– Słuchaj, czy ty już rozmawiałaś z tym policjantem? – zapytała matka Michała.

– Nie, dzisiaj u nas straszny kołowrót i nie miałam w ogóle czasu – odpowiedziała zgodnie z prawdą Zu.

– A coś się stało?

– No tak – westchnęła teściowa. – Wyobraź sobie, że Lewandowska z pierwszego piętra podpisała taką samą umowę jak ja. I zapłaciła te dwadzieścia tysięcy.

– A co z tym nowym mieszkaniem, co je miała dostać? Zaraz, to chyba nawet miał być apartament jakiś czy coś?

– No właśnie dlatego dzwonię. Nie ma żadnego apartamentu. Wyobraź sobie, że zaproponowali jej jakieś zrujnowane mieszkanie w starej kamienicy na Wesolej.

– Co? Na Wesolej? Tam jest tylko jedna kamienica! Byłam tam ostatnio. Ale w jaki sposób oni chcą te mieszkania sprzedawać? Przecież tam się znalazł dawny właściciel, wygrał sprawę w sądzie, oddali mu dom. Tylko on może sprzedać mieszkania. Nic z tego nie rozumiem.

– Ale coś zrobisz? – prosiła matka Michała. – Bo wiesz, u mnie teraz siedzi ta Lewandowska i płacze, że chyba do przytułku pójdzie. A to mieszkanie na Wesolej to jakaś straszna ruina. Okna powybijane, podłogi nie ma, dziurawe ściany.

– Niech jej mama powie, że przytułki teraz mamy bardzo luksusowe. A ja postaram się czegoś dowiedzieć. Zadzwońię dzisiaj wieczorem, to powiem, co i jak. Do widzenia.

Zu już chciała wyjść, ale najwidoczniej los miał wobec niej nieco inne plany, bo telefon znowu zadzwonił. Tym razem to była Baśka...

– Czy pan Józef lubi naleśniki po meksykańsku?

– Nie wiem, co lubi pan Józef – odpowiedziała Zu.

– Ja przepadam, możesz zrobić.

– Ty możesz zjeść zupkę z torebki. A może zrobię mu gołąbki? Jak myślisz?

Zu odpowiedziała, że preferencje kulinarne pana Kowala są jej obce. Ale zważywszy na sentyment, którym darzy Baśkę, zje nawet przypalone i przesolone.

– Przypalać i przesalać to ty możesz – obraziła się młodsza siostra. – O której będziesz w domu?

– A co? – zainteresowała się Zu. – Dostanę jednak gołąbka? To będę za godzinę.

– Nie, ale mogę ci zagotować wodę na zupkę w proszku

– powiedziała Baśka i odłożyła słuchawkę.

Zu postanowiła przechytrzyć telefon i nie wkładając płaszcza zaczęła się skradać w stronę drzwi. Cały czas patrzyła przy tym na aparat, bo miała zupełnie irracjonalne przeczucie, że jak tylko się odwróci, to on natychmiast zadzwoni. Już była pewna, że się udało, sięgnęła ręką po klamkę i w tym momencie rozległo się złośliwe „Drrryń”.

– Mam cię w dupie – rzuciła pod adresem telefonu i już zamierzała wyjść, gdy nagle z gabinetu Mikulskiego rozległ się okrzyk: „Odbierzcie wreszcie ten telefon!”. Zu westchnęła, zaklęła i sięgnęła po słuchawkę:

– Dzień dobry – usłyszała po drugiej stronie.

– Dzień dobry – odpowiedziała zniechęcająco Zu, ale damski głos po drugiej stronie tak łatwo nie dał się zniechęcić, bo kontynuował: – Dzwonię z firmy (tu coś zatrzeszczało, więc Zu nie dowiedziała się, skąd pani dzwoni). Pani numer telefonu otrzymaliśmy od (tu rozległo się głośne buczenie, które uniemożliwiło Zu poznanie nazwiska firmy, która handluje

bazami danych). Mamy dla pani zaproszenie na prezentację maści na odciski. Czy ma pani odciski?

– Tak – odpowiedziała automatycznie Zu i zaraz się zreflektowała. – To znaczy nie. A w ogóle co panią interesują moje odciski?

– Bo ja tu muszę wpisać w formularzu.

– To proszę zanotować, że nie mam odcisków.

– A może ktoś w państwa firmie ma odciski? – indagował dalej damski głos.

– Proszę pani, my tu pracujemy, a nie opowiadamy sobie, o dupie Maryni, to znaczy, chciałam powiedzieć o odciskach. Do widzenia – odparła Zu i cisnęła słuchawką. – Telefon chyba się obraził, bo milczał jak zaklęty. Zu skorzystała z okazji i wybiegła z biura. Niestety, dobrze mówi stare przysłowie „Pośpiech jest wskazany wyłącznie przy łapaniu pcheł”, bo potknęła się i walnęła nogą w poręcz. Pozbierała się i skacząc na jednej nodze pokuśtykała ze schodów. Przy drzwiach wejściowych natknęła się na Karolka, który z torbą ekologiczną pełną bułek i kefirów wracał ze sklepu.

– Co, odciski masz na nóżkach? – powiedział współczująco, patrząc na utykającą koleżankę.

– Spadaj na drzewo! – odpowiedziała subtelnie. – Co wy się tak wszyscy dzisiaj interesujecie moimi odciskami?

– No dobra, dobra. Wyluzuj. Wcale mnie twoje odciski nie obchodzą. Ani hemoroidy.

– Ale ja nie mam hemoroidów! – wrzasnęła Zu. Karolek tego już nie usłyszał, bo zniknął za drzwiami biura, natomiast sąsiadka, która akurat przechodziła chodnikiem, spojrzała na nią z wyraźnym obrzydzeniem. Zuza nie przejęła się tym wcale.

Pewnie mi zazdrości, bo sama ma hemoroidy – stwierdziła pogodnie w duchu i ruszyła w stronę przystanku.

Gdy dobrnęła do domu, Baśka kończyła właśnie pakować naleśniki dla pana Józefa. Oprócz tego, zrobiła też gołąbki, pierogi leniwe i sałatkę jarzynową.

– Chcesz tego biednego starca wyprawić na tamten świat? – jęknęła za zgrozą Zu i sięgnęła po naleśnika.

– Dlaczego? – zdziwiła się Baśka i odsunęła talerz z naleśnikami dalej.

– No bo jak zje naraz, to pęknie. – Zu położyła się na stole i końcami palców udało się jej się ściągnąć jeden naleśnik z półmiska.

– Schowa sobie do lodówki i będzie miał na kilka dni – odpowiedziała Baśka i palnęła Zu drewnianą łyżką w rękę.

– Auuuu, wariatko, odcisków mi narobisz – wrzasnęła starsza siostra, chwytając na wszelki wypadek jeszcze jednego naleśnika, z którym uciekła do pokoju. – Cholera, co ja dzisiaj z tymi odciskami?

– Ja od dawna podejrzewałam, że masz odciski, ale na mózgu! – stwierdziła Baśka. – A do naleśników dodałam koperek, którego nie lubisz – poinformowała mściwie, wiedząc, że jej starsza siostra niczego z koperkiem do gęby nie weźmie.

– Teraz już lubię – odpowiedziała Zu i sięgnęła po trzeciego naleśnika, ale nie zdążyła, bo Baśka schowała talerz do lodówki, dodając na pocieszenie: – Będą na jutro...

– Super!

– ...dla twojej teściowej – dokończyła Baśka.

– Małpa! – Zu pokazała jej język, opluwając się przy okazji resztką naleśnika.

– Twoja teściowa? Nie zauważyłam. Doprowadź się do porządku, bo jedziemy do pana Józefa, a takiej flądry ufajdanej naleśnikami nie wpuszczą do autobusu.

– Blee, blee – Zu inteligentnie podsumowała wywód siostry, ale posłusznie weszła do łazienki, z której wyszła po piętnastu minutach w stanie nadającym się do pokazania ludziom.

Gdy znalazły się pod bramą kamienicy na Wesolej, jak zwykle zamkniętą, Zu zatrzymała się. Baśka spojrzała na nią zdziwiona.

– No, co jest?

– Ja nie wchodzę na górę. Umówiłam się z panem Leszkiem, że zejdzie tu do mnie i porozmawiamy. Idź sama.

– Zwariowałaś? Sama przez cmentarz nie pójde. Jeszcze mnie napadnie ten facet, co wczoraj.

– Oszalałaś? Po tym, jak go goniłaś po całym cmentarzu i wrzuciłaś do świeżo wykopanego grobu? Biedaczysko przez miesiąc nie dojdzie do siebie. Dobra. Odprowadzę cię, a później tutaj wrócę. Nie, no zaraz. Stąd nie widać okien mieszkania pana Józefa. One są od strony cmentarza. Dobra, poczekam na cmentarzu.

Baśka weszła do środka, a Zu wróciła na cmentarz i ustawiła się naprzeciwko okien pana Kowala. Z nudów zaczęła rzucać kamyczkami do najbliższej dziury w ziemi. Dwa razy udało jej się trafić, ale za trzecim razem rzuciła za mocno i kamyk wylądował za wielką górą ziemi obok dziury i w tym samym momencie rozległ się krzyk.

– Kurde i w mordę! Kto tu rzuca kamieniami? – I zza pryzmy ziemi wygramolił się jegomość w ubłoconej dżinsowej kurtce. – Chce mnie pani zabić? Ja tu grób kopię, a ta wariatka kamieniami we mnie rzuca.

– Przepraszam bardzo, ale ja nie wiedziałam, że to grób. Jakiś taki mały – spieszyła się Zu.

– Bo to na urnę. Nie wie pani, że teraz coraz więcej ludzi każe się po śmierci spalić? Ja to się zastanawiam... Niech pani siada. – Wskazał Zu płytę, która leżała obok wykopanej dziury. Zu przyjrzała się uważnie, czy to przypadkiem nie nagrobek. Ale nie, to była zwykła chodnikowa płyta więc przycupnęła na brzeżku. – Ja to się zastanawiam, czy się dać spalić. Bo wie pani, najbardziej to bym chciał, żeby mnie rozsypali gdzieś na łące. Ale u nas nie można, przepisy sanitarne nie pozwalają. Napije się pani?

Zu zamierzała stanowczo odmówić, przypuszczając (na podstawie lektur szkolnych i filmów telewizyjnych), że grabarz zaproponuje jej łyk taniego wina z przysłowiowego gwinta albo wręczy musztardówkę z ciepłą wódką. Ale najwidoczniej czytała nie te książki, co trzeba, bo jej towarzysz dokończył:

– Mam zieloną herbatę. Lubi pani? Ja nie za bardzo, ale narzeczona twierdzi, że zdrowa, to piję. Bo wie pani, ja bardzo kocham moją narzeczoną. Poznaliśmy się tutaj, wie pani. Grób kopałem dla jej męża. Ale się naharowałem! To było dwadzieścia lat temu, to nikt nie myślał o spaleniu nieboszczyka. A pani co o tym myśli? – zapytał i podał Zu kubek, do którego wlał gorącą herbatę z termosu.

– A o czym? – zapytała Zu, starając się jednym okiem patrzeć na swojego rozmówcę, a drugim na okna mieszkania pana Józefa.

– No o kremacji.

– Wie pan, nie zastanawiałam się jeszcze nad tym.

– No tak, pani to jest jeszcze młoda. A wie pani, że w tej kamienicy przed wojną był najsłynniejszy w mieście zakład pogrzebowy? Nazywał się Zielony Karawan, bo zamiast czarnych karawanów mieli zielone. Ja to się

nawet zastanawiam, czy nie otworzyć zakładu pogrzebowego. Mam trochę zaoszczędzonych pieniędzy... Może też nazwę go Zielony Karawan? Tylko, czy dzisiejsi zmarli chcieliby w ostatnia drogę jechać zielonym karawanem? – zastanawiał się grabarz.

– Raczej, czy rodzina chciałaby ich wieść takim karawanem, bo co powiedzą ludzie? – podpowiedziała Zu.

– No tak, ma pani rację – przytaknął mężczyzna. – A wie pani, że oni tu przed wojną nie tylko przemalowali karawany na zielono? Na dodatek zmarłym grała orkiestra jazzowa, jeśli tylko rodzina wyraziła zgodę. A na trumnę nie kładli wcale kalii, tylko białe orchidee.

– A skąd pan to wszystko wie? – zdziwiła się Zu.

– A przychodzi tu czasami taki starszy człowiek. Siadamy sobie tak, jak teraz z panią, i gadamy. On mi to wszystko opowiada.

Zu pomyślała, że pewnie to któryś z braci Kowalów.

– Może go pani nawet kiedyś widziała. Zawsze ma na sobie taki dziwny zielony płaszcz.

Zuzanna aż podskoczyła. Mężczyzna w zielonym płaszczu? Ten sam, którego wczoraj goniła po cmentarzu Baśka?

– A nie wie pan, kiedy znowu przyjdzie? – zapytała.

– No nie. Czasami nie ma go parę tygodni. To znowu przychodzi codziennie.

Zu sięgnęła do torebki i wyciągnęła kawałek kartki. Zapisała na nim swój numer i podała grabarzowi.

– Niech pan do mnie zadzwoni, jak tylko ten człowiek w zielonym płaszczu się pojawi – powiedziała i zrobiło jej się głupio, bo pomyślała, że grabarz nie ma pewnie komórki. Ale mężczyzna sięgnął do ubłoconej kieszeni i wyciągnął najnowszy model Nokii.

– Zaraz sobie wpiszę pani telefon do komórki. A chce pani zobaczyć zdjęcie mojej narzeczonej. O, proszę tutaj spojrzeć. Ostatnio bidulka nogę złamała, bo spadła z łóżka, jak u mnie była. Muszę chyba kupić szersze...

Zu zerknęła na wyświetlacz i oniemiała. Z ekranu komputera spoglądała jej prywatna... teściowa. Nie mogła się mylić, bo Roszkowska miała na sobie tę samą sukienkę, na którą Zu wywaliła jej karpia w galarecie podczas uroczystej kolacji wigilijnej.

– A jak się pani nazywa? – zapytał grabarz.

– Zuzanna Roszkowska.

– O, to tak jak moja narzeczona. Widocznie w naszym mieście jest dużo Roszkowskich.

– O tak, bardzo dużo – przytaknęła skwapliwie Zu i z ulgą dostrzegła, że pan Leszek wychyla się z okna na drugim piętrze i rozgląda się po okolicy. Najwidoczniej jej szukał. Pożegnała się z nowym znajomym: – Ja już muszę iść. Bardzo miło mi się z panem rozmawiało. I niech pan koniecznie zadzwoni, jak pojawi się ten człowiek w zielonym płaszczu.

Grabarz obiecał, że zadzwoni. Zu widziała, że jeszcze chwilę trzymał w ręku komórkę i była przekonana, że wpatruje się w zdjęcie matki Michała. Uśmiechnęła się pod nosem na samą myśl o tym, jak opowie o tym mężowi i ruszyła w stronę kamienicy. Ale, gdy dotarła na miejsce, pana Leszka nie było już w oknie i nie bardzo wiedziała, co ma robić. Może przed chwilą wcale jej nie szukał, a w oknie stanął zupełnie przypadkowo. Na szczęście usłyszała kroki i po drugiej stronie bramy pojawił się pan Kowal. W ręku trzymał wielki klucz, którym otworzył kłódkę wiszącą na łańcuchu.

– Niech pani wchodzi – zaprosił Zu do środka twierdzy.

– Jak to? – zdziwiła się. – Będziemy rozmawiać w bramie?

– Nie. Józek prosi, żeby pani weszła na górę.

– Naprawdę? – ucieszyła się. – Już nie ma do mnie żalu?

– No, trochę ma – potwierdził niechętnie pan Leszek. – Ale chyba po gołąbkach pani siostry humor mu się poprawił. I jak się chciałem wymknąć, żeby z panią porozmawiać, to powiedział, żebym panią przyprowadził.

– A skąd wiedział, że ja tu jestem? – zdziwiła się Zu.

– Przez okno widział.

– To on wyglądał przez okno? A ja byłam pewna, że to pan. Po prostu rodzinne podobieństwo! Z daleka wszyscy bracia Kowalowie wyglądają tak samo.

Pan Leszek stwierdził, że nie tylko z daleka. Niektórzy nawet z bliska ich nie rozróżniają.

– Eee tam. Chyba pan sobie żartuje. Z daleka to ja się mogłam pomylić, ale z bliska nigdy! Pan jest wysoki i chudy, a pan Józef...

– Też wysoki i chudy – dokończył za nią pan Leszek. – Pani wie, że Józek zbiera złom i makulaturę? Czort wie, po co, bo pieniędzy mu nie brakuje. Ale zbiera. No i miesiąc temu idę sobie ulicą, a tu zaczepia mnie jakiś facet i mówi: „Panie Kowal, mam dla pana starą pralkę. Niech pan zajrzy w przyszłym tygodniu”. Pomyślałem, że pewnie jakiś wariat i poszedłem dalej. Tydzień później przyjechałem do Józka. Przechodzę obok cmentarza, a tu jakaś kobieta mnie goni. Zatrzymałem się, a ona do mnie: „Niech pan wpadnie do mnie po stare gazety”. Powiedziałem, że starych gazet nie czytam, więc może je spalić i poszedłem dalej. Wchodzę do Józka a on akurat gdzieś się wybiera i mówi do mnie: „Zrób sobie herbatę, bo ja muszę do pani Prusiak wstąpić po stare gazety”. A ja mu na to: „Chyba już nie masz po co iść, bo ona te gazety spaliła”. „Jak to spaliła? – zdziwił się Józek. – Przecież co tydzień od niej biorę”. „Bo właśnie przed chwilą poradziłaś miłej pani Prusiakowej, żeby swoje gazety wsadziła sobie do...

pieca" – ja mu na to. Braciszek stwierdził, że albo zwariowałem, albo się schlałem. No to mu opowiedziałem, jak to z powodu naszego niezwykłego ponoć podobieństwa zostałem wzięty przez panią Prusiakową za niego.

Tak gawędząc, dotarli pod drzwi mieszkania pana Józefa.

– Na pewno mogę wejść? – zapytała Zu. – Nie chciałabym zdenerwować pańskiego brata.

– Nie ma obaw. Dawno nie widziałem, żeby był w takim dobrym humorze. A to dzięki pani siostrze. Powiem pani po cichu, że chyba się w niej zakochał.

– Raczej w jej gołąbkach – sprostowała Zu.

– To na jedno wychodzi. Wiadomo przecież, że droga do serca mężczyzny prowadzi...

– Tak, tak, wiem... Przez żołądek – stwierdziła z goryczą Zu. – Dobrze, że mój mąż o tym nie wie, bo ja kompletnie nie umiem gotować. Przypalam nawet wodę na herbatę.

– Eee, nie jest aż tak źle – pocieszył ją pan Leszek.

– No nie, aż tak źle nie jest – potwierdziła z uśmiechem Zu. – Ja od razu puszczam z dymem czajnik, bo zapominam wodę nalać.

Pan Leszek chciał coś odpowiedzieć, ale nagle usłyszeli potworny huk w mieszkaniu pana Józefa...

Rozdział 24

KOBIETA W KAPELUSZU, czyli...

KTO WYPADŁ Z OKNA W ŚWIDRZE

– Czego pani szukała na tym starym pawlaczu? – Pan Leszek pomagał Baśce podnieść się z podłogi.

– Może nie powinniśmy pani ruszać? – zastanawiał się zdenerwowany pan Józef. – Słyszałem, że jak jest uszkodzony kręgosłup albo skomplikowane złamanie, to lepiej nie ruszać, tylko czekać na przyjazd pogotowia.

Zu uspokoiła staruszka, że jej siostra jest znana z tego, że nic sobie nigdy nie łamie.

– No, to prawda – potwierdziła Baśka, po czym wstała i otrzepała ubranie z pajęczyn. – To dlatego, że ja od dzieciństwa uwielbiam mleko. Raz myłam okno na drugim piętrze, poślizgnęłam się na mokrym parapecie i wypadłam. Wie pan, że nic mi się nie stało? Lekarz, jak zobaczył moje zdjęcie rentgenowskie, stwierdził, że nigdy nie widział człowieka, który miałby taką gęstość kości. I że ja jestem szczęściara.

– Niestety, krzak agrestu pod oknem nie miał szczęścia i złamał się, jak na niego spadłaś. Mama do dzisiaj nie może ci tego darować. Może trzeba sobie było coś jednak wtedy złamać, to by ci łatwiej wybaczyła – stwierdziła Zu.

– A pamiętasz, jak ty wypadłeś z okna klatki schodowej na pierwszym piętrze? To było w Świdrze – przypomniał bratu pan Leszek.

– No co ty wygadujesz? – zdziwił się pan Józef. – To ty wypadłeś, nie ja. Na starość wszystko ci się miesza. Rękę sobie rozciąłeś aż do kości. Musisz do dzisiaj mieć ślad.

Pan Leszek oburzył się, że żadnych śladów nie ma i na dowód podwinął rękawy koszuli. Spojrzał triumfująco na brata, który w odpowiedzi również podwinął rękawy koszuli. Nie miał żadnej blizny. Siostry Roszkowskie w milczeniu obserwowały całą scenę. Zu obawiała się, że starsi panowie pójdą teraz na całość i będą się dalej rozbierać, żeby udowodnić, który z nich wypadł z okna w Świdrze. Sytuacja wymagała natychmiastowej interwencji!

– Mój mąż jest lekarzem i mówił mi kiedyś, że blizny u małych dzieci mogą całkowicie zniknąć po kilku latach – powiedziała szybko.

– Tak? – Baśka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– A moja to jakoś nie zniknęła, jeszcze urosła. O, zobacz, tu mam ślad po tym, jak poparzyła mnie iskra z ogniska.

– Bo z tymi po oparzeniach, to jest zupełnie inaczej. – Zu dyskretnie, acz stanowczo, kopnęła siostrę w goleń.

– Michał mówił, że blizny po oparzeniach u dzieci mogą nawet rosnąć.

– A tak! Przypominam sobie! – zajrzyła wreszcie Baśka. – Michał faktycznie tak mówił, jak mały Lewandowski poparzył się, jak usiłował wysadzić dom w powietrze za pomocą zestawu małego chemika. Na szczęście okazało się, że w zestawie było za mało materiałów wybuchowych i tylko trochę poparzył sobie palce.

– O, to zupełnie jak ty! – krzyknął pan Józef. – Wsadziłeś rękę do balii z gorącą wodą, jak ci tam wpadł drewniany samolot.

– Nigdy nie miałem samolotu – odpowiedział stanowczo pan Leszek. – Miałem drewnianą ciężarówkę. Ja pamiętam, że to ty wsadziłeś łapy do wrzątku. Nawet pamiętam, jak się darłeś, jak ci bandażowali rękę.

– Masz jakieś urojenia na starość. Nic sobie do wrzątku nie wsadzałem!

Zu od dłuższej chwili przyglądała się temu, co wypadło z pawlacza. Podniosła z podłogi coś, co wyglądało jak wielka książka. Dmuchnęła na zakurzoną okładkę. Wieloletni kurz wypełnił cały przedpokój. Wszyscy zaczęli kasłać. Gdy przestali, Zu zajrzała do środka. To był album ze zdjęciami. Bardzo starymi. Pan Józef spojrzął jej przez ramię.

– Już zapomniałem kompletnie o tych zdjęciach! – krzyknął. – Spójrz, Leszek. To nasza kamienica. To zdjęcie zostało zrobione jeszcze przed wojną. Proszę zobaczyć. To ojciec, matka, a to chyba ty, Józek.

Pan Józef spojrzął na zdjęcie...

– Nie, no coś ty, oszalał? Zobacz, tu jest data dopisana na dole – 27 lipca 1939 roku. Ja się urodziłem dopiero w 1940. Nie pamiętasz?

– Pamiętam, bo ja też. Nie pamiętasz? – odgryzł się brat bliźniak.

– Ładny chłopczyk – powiedziała Zu, patrząc na zdjęcie. – Jakie ma śmieszne marynarskie ubranko.

– Mnie– się bardziej podoba kapelusz tej pani, to znaczy mamy. Sama bym sobie taki kupiła, ale teraz takich nie robią – westchnęła Baśka. – Marzę o zdjęciu w takim kapeluszu. Ty chyba miałaś taki na ślubie?

– No – potwierdziła Zu. – Identyczny. Zobaczyłam na starej pocztówce i kazałam sobie zrobić podobny. Zaraz... – krzyknęła Zu i uważnie przyjrzała się zdjęciu. – Na mojej pocztówce jest ta sama kobieta. O rany, mam pocztówkę, na której jest pańska mama, panie Leszku! Szkoda tylko, że ma tak głęboko nasunięty kapelusz, bo nie widać twarzy. Przyniosę następnym razem ten album, to sobie pooglądamy. O, właśnie! Jeśli chodzi o oglądanie. Karolek, kolega z pracy, dał mi zdjęcie faceta, który wystaje tu pod bramą i wgapia się w okna mieszkania pana Józefa. No i wczoraj gonił Baśkę po cmentarzu.

– Co? – oburzył się Józef Kowalik. – Trzeba było wezwać policję. Mógł pani zrobić krzywdę, pani Basiu!

– Ja to się nie martwię o nią, ale raczej o tego biedaka. – powiedziała Zu i sięgnęła po teczkę, którą dał jej Karolek. Otworzyła ją i...

– No, niezły ten facet – Baśka zaczęła się krztusić ze śmiechu. – Tylko gdzieś zgubił ten swój zielony płaszcz. I w ogóle prawie całe ubranie...

Bracia Kowalowie nic nie powiedzieli, za to z ogromnym zainteresowaniem wpatrywali się w zdjęcie roznegliżowanej blondynki z dużym biustem. Zu przeklęła pod nosem erotomana Karolka i wytrząsnęła na stół zawartość teczek – kilka fotek ponętnych brunetek, jakiejś rudej seksbomby i dwóch blondynek. Zafalowały w powietrzu i łagodnym ruchem opadły na kraciasty obrus. Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Zu.

– No, przepraszam. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Chyba pomyliłam teczek. To zdjęcia kolegi.

– Ten twój kolega jest transwestytą? – zakpiła Baśka.

– Nie bredź. To są zdjęcia zrobione przez Karolka. – Zu zgarnęła fotki do teczek. Panowie odprowadzili je na miejsce spoczynku tęsknym wzrokiem.

To im nigdy nie mija ta fascynacja dużym biustem? A miałam nadzieję, że za parę lat Michał przestanie oglądać się za cypatymi blondynkami. Przechlapanie! – pomyślała, a głośno powiedziała: – Przepraszam, jutro wezmę od Karolka zdjęcie faceta w zielonym płaszczu. Baśka, a ty mu się wczoraj przyjrzałaś, jak go goniłaś po cmentarzu?

– Zaraz, zaraz – przerwał pan Józef. – Ja nic nie rozumiem. Po co pani go goniła? Ukradł pani torebkę czy co?

Baśka jeszcze raz, tym razem na użytek braci Kowalów, opowiedziała historię nieszczęśnika, którego dosłownie wpędziła do grobu.

– A przyjrzała mu się pani? – zapytał pan Leszek.

– Nie, było ciemno, a jak wylazł z grobu, to był cały umorusany ziemią. To znaczy, ja go wyciągnęłam i pomogłam mu trochę wyczyścić ubranie. Pamiętam tylko, że na dłoni miał dużą bliznę. O, tutaj – pokazała Baśka. – Tak uciekał przede mną, że nieprędko się tu pokaże.

– Swoją drogą, szkoda, że go pogoniłaś, bo może udałoby mi się z nim spotkać i pogadać – stwierdziła Zu.

– Tobie? W jaki sposób? – zdziwiła się Baśka.

– No, poznałam grabarza. On często rozmawia z tym facetem i ma do mnie zadzwonić, jak tylko się tutaj pojawi. Ale teraz, to się pewnie przez pół roku nie pokaże. Dobrze będzie, jak cię do sądu nie poda za napaść.

Baśka stwierdziła, że sam sobie jest winien, bo nikt mu się nie kazał włóczyć po nocy po cmentarzu.

– Niech się cieszy, że go butem przez łeb nie zdzieliłam, bo byłoby z nim kiepsko.

– Co też pani opowiada, pani Basiu? Bucikiem z małej damskiej stopy co najwyżej guza można nabić, a nie... – tu urwał i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w potężne stopy Baśki obute w glany w rozmiarze czterdziestym. – To znaczy, chciałem powiedzieć...

– Ona ma stopy po naszym dziadku – wyjaśniła Zu skonsternowanemu staruszkowi. W czasach PRL-u nie mógł kupić sobie butów w sklepie i musiał zamawiać u szewca. Tata do dzisiaj pamięta lanie, jakie dostał, jak skórą z cholewek najlepszych trzewików dziadka załatał dziurę w futbolówce.

Zu i Baśka pożegnały się z panem Józefem. Oczywiście musiały obiecać, że następnego dnia wieczorem znowu do niego zajrzą. Zresztą, i bez specjalnych obietnic by to zrobiły. Zu planowała wreszcie przynieść

zdjęcie tajemniczego faceta w zielonym płaszczu, a Baśka planowała ugotować dla sympatycznego staruszka barszcz zabielański, bo wspomniał, że bardzo lubi. Do przystanku szły w towarzystwie pana Leszka, który nagle zrobił się dziwnie przygnębiony i milczący.

– Co się stało, panie Leszku? – zapytała Zu, gdy w autobusie usiedli obok siebie, a Baśka kilka siedzeń od nich. – Martwi się pan o brata? Bardzo dobrze dziś wyglądał.

– Nie martwię się o Józka, ale o Alinę, moją żonę.

– A co, źle się czuje?

– Nie, wprost przeciwnie – stwierdził z goryczą pan Leszek. – Ostatnio wygląda kwitnąco, jakby jej lat ubyło. Wie pani, ja myślę, że ona kogoś ma. To znaczy, podejrzewam, że mnie... zdradza.

– Pani Alina? Niemożliwe!

– A jednak. Wychodzi ostatnio częściej, wraca późnym wieczorem taksówką, bo widziałem przez okno.

– Pytał ją pan, gdzie chodzi? – zaproponowała Zu najprostsze rozwiązanie.

– Pewnie! – powiedział z goryczą pan Leszek. – Skłamała, że chodzi na aerobik w Klubie Emeryta na naszym osiedlu.

– Może to prawda. Dlaczego pan od razu myśli, że żona pana okłamuje?

– Bo w zeszły wtorek spotkałem naszą sąsiadkę. Powiedziała mi, że idzie na aerobik właśnie do Klubu Emeryta. I bardzo się zdziwiła, bo zapytałem, jak radzi sobie z tymi podskokami i wygibasami moja Alinka. Bo ona jej tam nigdy nie widziała. Teraz już rozumiem, dlaczego chciała się ze mną rozwieść. Do widzenia pani Zuzanno, do widzenia pani Basiu –

powiedział rozżalony pan Leszek i wysiadł z autobusu, który zatrzymał się akurat przed jego domem.

Zu posłała mu przez szybę uśmiech i pokazała na migi, że na pewno wszystko będzie dobrze. Swoją drogą, nie podejrzewała, że ludzie w wieku emerytalnym są tak kochliwi. Teściowa ma romans z grabarzem, pan Leszek podejrzewa żonę o zdradę, a jego brat wyraźnie traci głowę dla jej siostry... A może dla jej gołąbków z ryżem? „Ciekawe, czy my z Michałem też będziemy tacy romantyczni?” – zadumała się Zuza.

– Wsiadasz, jełopo, czy zostajesz? – Baśka brutalnie wyrwała ją z tych romantycznych rozmyślań i sprowadziła na ziemię. – Zaraz nasz przystanek.

Zu podniosła się z siedzenia. Miała pecha, bo autobus gwałtownie zahamował. Poleciała do przodu i walnęła nogą w drzwi. Jęknęła i opadła z powrotem na siedzenie.

– Cholera, jedzie ten kierowca jak furą z gnojem. Mało nogi nie złamałam.

– Kuśtykałybyście sobie razem z teściową – skwitowała Baśka, siadając obok siostry.

– O, cholera, teściowa! Obiecałam, że dzisiaj do nie zajrzę. Jedziesz ze mną?

– Nie. Ja mam jeszcze dzisiaj spotkanie w sprawie pracy.

– O tej porze? – zdziwiła się Zu. – Ty się chcesz zatrudnić w klubie go-go?

– Z moją wagą? Chyba tylko jaki bramkarz – stwierdziła samokrytycznie Baśka, wyskakując z autobusu.

Rozdział 25

AGENCI I ZŁODZIEJE, czyli...

**DLACZEGO NIKOMU NIE JEST WESOŁO W MIESZKANIU
PRZY WESOŁEJ**

Zu pociągnęła potężny łyk zielonej herbaty. Naprzeciwko niej siedziała pani Lewandowska i obrzucała błotem agentów nieruchomości, którzy tylko oszukują i okradają ludzi.

– Ale w końcu pokazali pani to mieszkanie przy Wesolej? – zapytała Zu, korzystając z przerwy, jaką zrobiła sąsiadka, żeby nabrać tchu przed kolejną litanią mało pobożnych życzeń pod adresem właścicieli i pracowników agencji nieruchomości.

– Jakie mieszkanie? – oburzyła się pani Lewandowska. – To jakaś nora jest. Podłóg nie ma, wanny nie ma, okna przegnite, kable z sufitu wiszą. A ja zapłaciłam dwadzieścia tysięcy, żeby to obejrzeć. To były całe moje oszczędności. I nie chcą mi tego oddać.

– A ma pani przy sobie umowę, którą pani z nimi podpisała?

– W domu mam. To ja zaraz przyniosę.

Sąsiadka wyszła, a na jej krzesło przesiadła się teściowa Zu.

– To jak mama tę nogę złamała? – zapytała podstępnie Zu.

– Nie pamiętasz? Mówiłam ci, że goniłam tramwaj i upadłam.

– A to nie był przypadkiem... karawan? – zapytała z uśmiechem synowa.

– Karawan?

– No tak. – Zu usiłowała zachować powagę, chociaż przychodziło jej to z dużym trudem. – Bo ja słyszałam, że w tym złamaniu nogi miał duży udział pewien grabarz i jego za wąskie łóżko.

Niestety, dalszą rozmowę przerwał im powrót pani Lewandowskiej, która przyniosła umowę. Zu przeczytała dwie strony tekstu i oddała papier sąsiadce.

– Na pierwszy rzut oka wszystko jest w porządku – powiedziała.

– Jak to w porządku? Jak to w porządku? – żółdkowała się oszukana kobieta. – Przecież to oszustwo było. I złodziejstwo!

– Ja tylko mówię, że umowa jest napisana tak, że nic im nie można zarzucić. Oni podjęli się znalezienia mieszkania dla pani, a pani zobowiązała się zapłacić im za to dwadzieścia tysięcy złotych.

– To nic nie można zrobić? – wtrąciła się teściowa, korzystając z tego, że pani Lewandowskiej zabrakło tchu ze złości.

– Można spróbować zainteresować tym policję. Mam znajomego grabarza... To znaczy, chciałam powiedzieć, że mam znajomego policjanta – poprawiła się szybko, widząc minę swojej teściowej. – Mogę go zapytać, czy ich to nie zainteresuje. Może uznają to za oszustwo i wyłudzenie.

Pani Lewandowska nie była zachwycona. Spodziewała się, że Zu powie jej, jak szybko i łatwo odzyskać wpłacone pieniądze, a zamiast tego usłyszała, że umowa jest zgodna z prawem. Sąsiadka westchnęła i podniosła się z krzesła, po czym ruszyła w stronę drzwi.

– Teraz pewnie będzie wszystkim opowiadać, że mamy synowa jest taka sama jak ten agent, który naciągnął ją na dwadzieścia tysięcy. Bo przecież wszyscy agenci nieruchomości to złodzieje.

– I pijacy – dodała teściowa. – Naprawdę w tej umowie wszystko jest w porządku?

– Wydaje mi się, że niestety tak – westchnęła Zu. – Swoją drogą, kiedy wreszcie ludzie nauczą się czytać to, co podpisują? Dobrze, że mama im nie zapłaciła tych dwudziestu tysięcy?

– Nie, bo nie miałam – odpowiedziała szczerze matka Michała. – Chciałam od kogoś pożyczyć, ale na szczęście nie zdążyłam.

– Od grabarza? – domyśliła się Zuzanna.

– Tak – przyznała niechętnie teściowa. – Ma na imię Cyryl i kiedyś studiował rzeźbę na ASP. Ale na czwartym roku pokłócił się z profesorem, który krytykował jego prace i rzucił w niego dżutem. Nie trafił, ale ze studiów i tak go wyrzucili. Kilka lat temu profesor zmarł i jego żona przypadkowo zamówiła u Cyryla rzeźbę na grób męża. Cyryl chciał się najpierw odegrać na nielubianym wykładowcy i machnąć mu jakąś nowoczesną statuetkę, ale w końcu zrobił mu piękny nagrobek. Powiedział, że gdyby go profesor nie zdenerwował, może nigdy byśmy się nie spotkali.

– Romantyk – westchnęła Zu. – Kto dziś tak umie kochać?

– Michał nie jest romantyczny? – Teściowa puściła oko.

– Czy ja wiem? A mamy grabarz wyjechałby do Londynu, żeby tam kopać groby za funty?

– Chyba nie – odpowiedziała teściowa. – Ale nie zapominaj, że my mamy dużo mniej czasu niż wy młodzi.

– Nigdy nie wiadomo mamie, ile kto ma czasu – stwierdziła Zu sentencjonalnie. – A zresztą, obojętnie, czy mamy przed sobą dziesięć lat wspólnego życia, czy sto, to ja każdy dzień chciałabym spędzić z Michałem. Szkoda, że on tak nie myśli.

– Oj, chyba muszę zachęcić mojego syna, żeby jak najszybciej wracał do Polski, bo uschniesz tu z tęsknoty za nim – stwierdziła ze śmiechem matka Michała. – Weź się garść. Takie poglądy to może mieć osiemdziesięcioletnia staruszka, a nie trzydziestolatka. Uważaj, bo się zestarzejesz i niedługo ludzie będą myśleli, że jesteś moją siostrą, a nie synową.

– To bardzo prawdopodobne, bo mama odmłodziła ostatnio przy tym grabarzu.

Matka Michała zaczerwieniła się, ale wyglądała na bardzo zadowoloną z opinii synowej. Zu miała ochotę zapytać, jaka to pozycja seksualna ćwiczona z grabarzem zakończyła się złamaniem nogi. W końcu nie odważyła się i pozostały jej tylko domysły. Niestety, oni chyba byli z Michałem za mało pomysłowi w tej dziedzinie, bo jakoś nóg ani rąk do tej pory nie połamali. Raz tylko Zu nabiła mężowi kolanem solidnego siniaka pod okiem. Podobno koledzy w pracy śmiali się, że mu żona przyłożyła patelnię. Ale jak zostali wtajemniczeni w całą sprawę, od razu nabrali szacunku do Michała.

Na takich rozmyślaniach Zu minęła cała droga do domu. Wjechała windą na swoje siódme piętro. Chwilę stała pod drzwiami, szukając klucza w zakamarkach wielkiej torby. Gdy nareszcie udało jej się go zlokalizować, usłyszała jakieś głosy za drzwiami swojego mieszkania. Ktoś tam był. Posłuchała chwilę. Ten ktoś nie był sam! Ktosiów było dwóch i nieźle się zabawiali. Zu pokiwała głową, wrzuciła z powrotem klucz do torby i ruszyła w dół po schodach. Po godzinie siedzenia na ławce na skwerku stwierdziła:

– No, chyba wystarczy tego dobrego, siostrzyczko! – I ruszyła do domu. Gdy wchodziła do klatki, usłyszała nagle szybkie kroki, jakby ktoś ją gonił. Zdrętwiała ze strachu i odwróciła się powoli. Za nią stała... Baśka.

– Co ty tu robisz? – zdziwiła się.

– A ty? Bo ja wracam do domu. Mówiłam ci, że mam rozmowę w sprawie pracy. Strasznie to długo trwało. Zaraz ci wszystko opowiem.

– Ale, jak to... Przecież przed chwilą byłaś w domu.

– Ja? – Baśka spojrzała na swoją siostrę jak na wariatkę. – Widziałas mnie w domu?

– Nie, słyszałam – powiedziała zdeorientowana Zuzanna, po czym opowiedziała Bu o odgłosach, jakie dobiegały zza drzwi mieszkania. – I od godziny siedzę tu na skwerku, żeby ci nie przeszkadzać.

Baśka dostała histerycznego ataku śmiechu.

– Ty naprawdę myślałaś, że ja z kimś... w twoim mieszkaniu? I dlatego, idiotko, marzłaś na ławce? – Nagle Baśce coś przyszło do głowy. – Słuchaj, a jeśli to Michał...

Zu nie słuchała dalej, tylko ruszyła biegiem po schodach na siódme piętro. Wpadła jak burza do ciemnego mieszkania i zapaliła wszystkie światła. Pusto... Żadnego śladu, że ktokolwiek tu był. Baśka, która jechała windą, weszła za nią i zamknęła drzwi. Stały obydwie, rozglądając się po mieszkaniu, gdy nagle rozległy się bardzo charakterystyczne odgłosy. Najpierw cicho, a później coraz głośniej.

– To w łazience – szepnęła Zu. – Są w łazience. Podeszła cicho pod drzwi i otworzyła je gwałtownym pchnięciem. Stojąca za jej plecami Baśka nacisnęła włącznik światła.

Łazienka była pusta... Tylko na półeczce dzwonił telefon i to z niego dochodziły niepokojące dźwięki. Zu dopadła do aparatu i wyłączyła go, nie patrząc nawet na wyświetlacz.

– Ty masz taki sygnał w telefonie? – wykrztusiła Baśka.

– Zwariowałaś? Ktoś mi to wgrał i nawet wiem kto. Wsadzę mu jutro łeb do niszcarki dokumentów.

– Komu? – zainteresowała się siostra.

– Komu! Komu! Temu erotomanowi Karolkowi! Wgrał mi to, jak wyszłam na chwilę z pokoju. Przez jego wygłupy prawie nabawiłam się zapalenia płuc na tej ławce.

– Bo trzeba nosić telefon przy sobie, a nie zostawiać, gdzie popadnie –
Baśka pouczyła ją tonem starej ciotki.

– Zidiociałaś? A gdyby tak zaczął mi dzwonić w autobusie albo u pana Józefa? Bardzo dobrze, że go nie zabrałam ze sobą. Nie jestem taka głupia, jak ci się wydaje.

– Jesteś, jesteś. – Siostra pokiwała smutno głową. – Tyle tylko, że głupi ma zawsze szczęście. A w ogóle, to sprawdź, kto do ciebie dzwonił.

Zu zerknęła na wyświetlacz.

– Jasna cholera... To Michał dzwonił. Ja naprawdę coś zrobię temu Karolkowi. Zaraz spróbuję do niego oddzwonić. Nic, nie odbiera. Pewnie ma dyżur i jest zajęty. Nic, pewnie oddzwoni. Ty idź spać, a ja jeszcze trochę poczekam.

Baśka wskoczyła do wanny, gdzie spędziła bitą godzinę, głośno śpiewając i tak bardzo fałszując, że Zu musiała się do niej dobijać, żeby nie hałasowała, bo mogłaby obudzić sąsiadów, a ci wezwaliby policję.

– A właśnie, policja! – przypomniała sobie, gdy już prawie zasypiała w fotelu. – Muszę jutro zadzwonić do Pawła Gawła. A może do Gawła Pawła? Nie pamiętam...

Rozdział 26

GOOD MORNING, czyli...

CO ZAPAMIĘTAŁ STARY WIKARY

Śniło jej się, że kocha się z Michałem na wielkiej łące. Nagle zaczął ją potwornie uwierać jakiś kamor pod plecami, więc usiłowała się przekreślić, ale nie mogła. Okazało się, że obok klęczy całkiem goła Lidzia, która pracowicie związuje ją sznurkiem jak baleron, a potem dobiera się do jej męża. Zu obudziła się wściekła. Zamiast na łące leżała na fotelu i nie mogła się ruszyć, bo prawa noga utkwiała jej między bokiem mebla a poduszkami. Na komodzie wściekle dzwonił telefon domowy. Zu rzuciła się na niego.

– *Good morning, honey* – usłyszała po drugiej stronie.

– Słucham, że co? To ty, Michu? Dobrze, że dzwonisz. Nie, nie jest za wcześnie. Piąta? A to faktycznie wcześnie. A ty już na nogach? Aha, kończysz dyżur i idziesz odsypiać! To miłych snów, kocham cię. – I Zu już chciała się rozłączyć, ale usłyszała w słuchawce czułe słowa męża: – Stój, wariatko! Nie rozłączaj się. Przecież ja nie po to dzwonię do ciebie o piątę rano, żebyś mi powiedziała: „Dobranoc”. Znalazłem ten twój Green Hearse.

– Co znalazłeś?

– Green Hearse czyli Zielony Karawan. Po angielsku nie rozumiesz? A faktycznie, zapomniałem...

– O czym zapomniałeś? – ziewnęła Zu.

– O tym, że ty po angielsku ni w ząb. Otóż, jest tu, w Londynie, bardzo stary zakład pogrzebowy Green Hearse.

Co prawda tam nikt mi nic nie potrafił powiedzieć, a właściciel akurat gdzieś wyjechał. Ale za to skierowali mnie do miejscowego pastora. A

właściwie nie do niego, tylko do wikarego, który mieszka na plebanii już od wojny. Słuchaj, czego ciekawego się dowiedziałem.

Zu wyszarpnęła zdrętwiałą kończybę spomiędzy oparcia fotela, usiadła wygodnie i sięgnęła po kartkę papieru. Okazało się, że wiekowy wikary co prawda nie pamiętał, co jadł wczoraj na obiad, ale za to nie miał żadnych problemów z odtworzeniem wydarzeń sprzed kilkudziesięciu lat. Może dlatego, że były bardziej godne uwagi od tego, co daje się dziś do jedzenia starym ludziom pod pretekstem, że muszą przestrzegać diety? Nieważne. W każdym razie, przypomniał sobie, że w październiku albo listopadzie 1939 roku do jego parafii przyjechał mężczyzna. Był Polakiem i walczył w kampanii wrześniowej.

– To jak ojciec pana Leszka. Może to był on?

– Nie wiem, ale posłuchaj dalej. Po wojnie przyjechała do niego żona z synem. Czy ten twój pan Leszek ma może brata? – zapytał Michał i potężnie ziewnął.

– Ma, jak najbardziej – potwierdziła Zu.

– To się zgadza – ucieszył się Michał.

– Dupa sałata! – rzuciła subtelnie do słuchawki jego żona. – Ani pan Leszek, ani jego brat nie byli nigdy w Anglii. To musiał być jakiś inny człowiek. Dobra, dzięki kochanie. Bardzo za tobą tęsknię. Wracaj szybko.

Nagle zadzwoniła jej komórka. A raczej, nie tyle zadzwoniła, co potwornie zajęczała męskim głosem.

– Co tam się u ciebie dzieje? – zapytał podejrzliwie Michał. – Kto tam jest u ciebie? I nie mów mi, że to u sąsiadów, bo emeryci takich rzeczy nie robią.

– Bardzo byś się zdziwił. – Zu uśmiechnęła się na samą myśl o swojej teściowej i grabarzu, ale obiecała dyskrecję, więc powiedziała tylko. – To

ten głupek Karolek nagrał mi taki sygnał w komórce. To akurat był SMS. Dobrze, że nie słyszałeś, jak ktoś do mnie dzwoni. Muszę zmienić dzwonek.

– No, nie wiem.

Zu była na sto procent pewna, że słyszy, jak jej mąż nerwowo bębni palcami o biurko po drugiej stronie kanału La Manche.

– Ja ci chyba pas cnoty kupię i założę, jak będę następnym razem. A kluczyk zabiorę ze sobą do Anglii.

– Nie mogę się już doczekać – szepnęła Zu. – Niedługo zapomnę, jak to się robi, i co wtedy? Może faktycznie powinnam od czasu do czasu poćwiczyć?

– Nawet nie żartuj w ten sposób – Michał był bardzo poważny. – Jak czytam o tych wszystkich małżeństwach, które się rozpadły, bo ktoś wyjechał do pracy za granicę, to boję się, że z nami też tak będzie.

– Nie będzie – powiedziała stanowczo Zu. – W ogóle o tym nie myśl. Ja mogę ci obiecać, że swojej cnoty będę strzec.

– O ile sobie dobrze przypominam, to nie ma już czego strzec – roześmiał się Michał i ziewnął po raz kolejny. – No dobra. Muszę już iść. Zadzwonię, jakbym się czegoś jeszcze dowiedział. Kocham cię.

Jeszcze przez chwilę szeptali sobie cicho do ucha czułe słowa, wreszcie Zu z żalem odłożyła słuchawkę. Wzięła do ręki komórkę i odczytała SMS: „Przypominamy, że minął termin płatności za fakturę nr 1234987/56789”.

Firmy telekomunikacyjne zatrudniają jakichś frustratów, którym przyjemność sprawia dręczenie SMS–ami o piątej rano – pomyślała Zu, kładąc się do łóżka. – A może to jakiś biedak, który podobnie jak ja nie ma do kogo przytulić się o piątej rano?

Położyła się z powrotem, ale wcześniej na wszelki wypadek wyłączyła komórkę. Nie chciała ryzykować, że ją i kilku najbliższych sąsiadów obudzą odgłosy ostrego seksu. Zamiast tego, obudziło ją mało subtelne szarpanie za ramię i głos Baśki:

– Wstawaj, jełopo, bo się spóźnisz do roboty! – Młodsza siostra ściągnęła ze starszej kołdrę, po czym wrzasnęła donośnie i wskoczyła na fotel: – Pająk! Pająk!

Faktycznie, na prześcieradle usadowił się malutki pajaczek.

– Zabij go! Zabij go! – krzyczała Baśka.

– Przestań, wariatko, bo ten pająk dostanie zawału od twoich wrzasków. Co ci może zrobić taki mały pajaczek? – Zu ostrożnie przetransportowała pajaczkę w szklance na balkon i wypuściła na wolność. Po czym, na usilne żądanie Baśki, sprawdziła, czy gdzieś jeszcze nie czają się krwiożercze pajaki ludojady. Dopiero wtedy Baśka zlazła z fotela i poszła do kuchni zrobić śniadanie, a Zu mogła zamknąć się w łazience.

Kiedy wreszcie wylazła, na stole leżały już kanapki. Sięgnęła po jedną, ugryzła wielki kęs i o mało się nie udławiła, bo z kuchni wyszła Baśka w wielkiej czapce z pomponem na głowie.

– Rany boskie! Co ci się stało w głowę? – jęknęła Zu.

– Nic – Baśka wzruszyła ramionami. – Nie chcę, żeby mi jakiś pająk wplątał się we włosy.

– Wariatka. – Zu popukała się w czoło.

– Dobrze ci mówić, bo to nie ty znalazłaś wielkiego włochatego pajaka w majtkach, które miałaś właśnie wciągnąć na tyłek.

– No dobra, dobra. Lepiej powiedz, jak twoja wczorajsza rozmowa w sprawie pracy?

Baśka naciągnęła mocniej czapkę na czoło i usiadła za stołem.

– Bardzo fajnie – powiedziała. – Ale pewnie nic z tego nie będzie.

– A co, coś przypaliłaś?

– Nie dało się, bo to knajpa z sushi.

– Że co, suchy chleb tam dają? – zapytała starsza siostra.

– Żaden suchy chleb, ale sushi. I chyba przegięłam, bo powiedziałam temu sushimanowi, co mnie egzaminował, jak się robi prawdziwe nigiri i maki. Zdaje się, że się ostro wkurzył.

– Dobrze, że cię nie przepołowił samurajskim mieczem, cholerny sushimanel. Swoją drogą, to sushi, to straszne świństwo. Surowa ryba – blee.

– Ignorantka. Ty najbardziej lubisz frytki i kurczaka z grilla. Ale nie martw się, pewnie w końcu zatrudnię się w McDonald's i będziesz miała zniżkę na to swoje śmieciowe żarcie.

Zu zerknęła na zegarek i zerwała się od stołu, przy okazji zrzucając na dywan resztę kanapek.

– Muszę już lecieć, bo umówiłam się z klientem. Co robisz wieczorem? Masz jakieś spotkanie?

Baśka odpowiedziała, że ma, ale w południe w chińskiej knajpie, a wieczorem chce odwiedzić pana Józefa i zanieść mu...

– Sushi! – weszła jej w słowo Zu, wkładając kurtkę.

– A tam, kurczaka z grilla, bo mówił, że lubi.

– Ja też go lubię. To znaczy pana Józefa. I kurczaka z grilla też.

– Dobra, dobra, rozumiem. Zostawię ci skrzydełko i kuperek. – Baśka wypchnęła siostrę z mieszkania, wręczając jej telefon komórkowy, o którym Zu znowu zapomniała.

Rozdział 27

NIEKONTROLOWANY POŚLIZG, czyli...

O CZYM MARZĄ PRZEDSIĘBIORCY POGRZEBOWI

Zu włączyła telefon i schowała go do kieszeni. Obiecała sobie przy tym solennie, że w autobusie zmieni sygnał. Ale jeden autobus nie przyjechał, drugi podjechał i wywiesił tablicę „Zjazd do zajezdni” i w efekcie wepchnęła się dopiero do trzeciego, podobnie jak chyba połowa miasteczka. Komfort jazdy przypominał ten, w jakim podróżują sardynki w puszcze. Zu nie mogła nawet sięgnąć do torebki, żeby wyłączyć komórkę. Pozostawało jej tylko modlić się do patrona spraw beznadziejnych, żeby nikomu nie przyszło do głowy teraz do niej dzwonić. Jej prośby zostały wysłuchane i telefon grzecznie milczał, w przeciwieństwie do współpasażerów, którzy umilali sobie czas przepychankami cielesnymi i słownymi.

- Oko mi pani chce wybić tą parasolką?
- Jak panu niewygodnie, to taksówką trzeba jeździć.
- Takie walizy, to niech pan wozi bagażówką.
- A pan, to furmanką powinien jeździć.

I tak dalej, i tak dalej... Kiedy Zu wydostała się wreszcie z tego komunikacyjnego piekielka, do spotkania pozostało raptem pięć minut. Puściła się więc dzikim galopem przed siebie. Pruła przez kałuże, aż pryskało błoto. Dopadła furtki willi punktualnie o jedenastej. Nacisnęła dzwonek... Ktoś ze środka otworzył jej drzwi domofonem. Spokojnie i z godnością Zu weszła na podwórko i... poślizgnęła się na psiej kupie. Oszołomiona siedziała w samym jej środku, gdy z domu wybiegł pan Smith. Był bardzo przejęty i speszony...

– Przepraszam panią – pomógł Zu podnieść się. – Przed chwilą wypuściliśmy naszą suczkę Basię i gosposia nie zdążyła jeszcze sprzątnąć.

Sądząc po wielkości kupy zostawionej przez Baškę, musiała on być suką z Góry Świętego Bernarda. Z dwojga złego, Zu wołała już kontakt z jej kupą niż zębami. Szkoda tylko, że teraz tak nieziemsko śmierdziała. Pan Smith też to poczuł, bo natychmiast po wejściu do domu zaproponował:

– Gosposia odnieście pani kurtkę do pralni. Za godzinę będzie czysta, a my w tym czasie porozmawiamy.

Zu podała mu śmierdzący łach, a szalik, czapkę i rękawiczki chciała położyć na wieszaku. Ale zastygła w pół drogi z uniesioną dłonią, bo wisiał tam płaszcz w zieloną kratę należący do faceta, którego Karolek sfotografował przed kamienicą, a Baška goniła po cmentarzu. Co ten człowiek robił w willi Smitha? Czyżby śledził Kowalów na zlecenia Anglika? Tylko po co? W korytarzy rozległy się kroki. Zu wlepiła hipnotyzujący wzrok w drzwi. Drzwi od pokoju otworzyły się i stanęła w nich gosposia.

– Pani Kingo, trzeba odnieść tę kurtkę do pralni. Niech wypiorą ekspresowo.

Gosposia sięgnęła bez słowa po... zielony płaszcz w kratę. Włożyła go i wyszła, a Zu stała pod wieszakiem z głupią miną i szalikiem w ręku.

– Proszę do środka. – Pan Smith wskazał drzwi, przez które przed chwilą weszła gosposia. – Chętnie posłucham, co się pani udało zrobić w sprawie kamienicy.

Zu weszła do pokoju i usiadła w miękkim fotelu. Mieszkanie było urządzone wygodnie, ale nie luksusowo.

– Wynająłem razem z meblami. Wyszło całkiem tanio. Jak pani chce, to dam pani namiar na agencję nieruchomości. O, przepraszam, co ja

wygaduję, przecież pani pracuje w agencji. No właśnie... Czy znalazła pani jakąś kamienicę, w której mógłbym otworzyć zakład pogrzebowy? Najlepiej w jakiejś starej dzielnicy. Wie pani, młodzi ludzie często nie chcą mieć w sąsiedztwie sklepu z trumnami. Co innego emeryci, oni inaczej patrzą na życie.

– No i mieliby blisko, żeby sobie wybrać nagrobek – powiedziała Zu i natychmiast się zastrzegła: – Oczywiście żartuję.

– Nie, dlaczego? – zaprotestował pan Smith. – W Anglii to normalne, że człowiek załatwia takie sprawy za życia. Po co zostawiać to rodzinie? Można sobie wybrać miejsce, trumnę albo urnę i spokojnie... – w tym momencie do pokoju wbiegła suka wielka jak cielak i gospodarz podniósł się, żeby ją pogłaskać.

– Umrzeć? – dokończyła za niego Zu.

– Nie, no skąd? Żyć jeszcze nawet sto lat! Przedsiębiorcy pogrzebowi wbrew pozorom nie marzą wcale o tym, żeby ludzie szybciej umierali. My możemy poczekać, mamy czas, bo w końcu każdy i tak do nas trafi. Nieprawdaż? – i tu spojrzał z uśmiechem na Zu, a ona odniosła wrażenie, że właśnie zmierzył ją dokładnie wzrokiem i ocenił, jaki rozmiar trumny byłby dla niej najodpowiedniejszy i w jakim fasonie byłoby jej najbardziej do twarzy.

– Oczywiście – przytaknęła Zu. – Zaraz pokażę panu kilka zdjęć kamienic, które mogłyby pana zainteresować.

Sięgnęła po teczkę. W tym samym momencie spod fotela gospodarza podniosła się Baśka i ruszyła w jej stronę. Może spodziewała się, że gość wyciągnie z torebki wielką kość? Zuzanna spanikowała nieco i upuściła teczkę, z której wysypały się zdjęcia. Pan Smith pracowicie zebrał je z podłogi i zaczął oglądać. Baśka, widząc, że gość nie wyciąga niczego

interesującego, zajęła się obwąchiwaniem paprotki stojącej na stoliku. Zu tylko czekała aż na nią nasika. Ale nic takiego nie nastąpiło. Widocznie Baśka była dobrze wychowaną suką albo po prostu nie chciało jej się sikać. Kto ją tam wie. Te filozoficzne rozmyślania przerwał Zu pan Smith, który nagle podskoczył z radości w fotelu i krzyknął:

– To jest dokładnie to, czego szukałem. – I podał jej zdjęcie. Spojrzała. To było zdjęcie kamienicy, w której mieszkał pan Józef. Pewnie włożyła je do teczki przez pomyłkę.

– Przepraszam, ale ta kamienica nie jest na sprzedaż – powiedziała, chowając fotografię do torebki.

– Ale dlaczego? Jeśli ktoś już zgłosił chęć kupna, to ja dam więcej...

– Nie, to nie tak...

– Dam dwa razy więcej – kusił gospodarz. – Dokładnie o coś takiego mi chodziło. O, tutaj jest nawet na parterze jakiś zamknięty sklep. To byłoby idealne miejsce na mój zakład pogrzebowy. Proszę porozmawiać z właścicielami. Może przemyślą moją propozycję? Zobowiązuję się wyremontować całą kamienicę.

– Ale dlaczego akurat ta kamienica tak się panu spodobała? – zainteresowała się Zu. – Myślę, że było kilka innych ciekawszych propozycji.

– Może to będzie śmieszne, ale ten dom przypomina mi kamienicę ze zdjęcia, które przechowywał mój dziadek. To była jego jedyna pamiątka z Polski. Na tej fotografii byli we trójkę: dziadek, babcia i mój ojciec.

Zu nagle poczuła, jakby była o krok od odgadnięcia ostatniej brakującej litery tworzącej hasło w krzyżówce. Pewnie dziadek jej klienta to zaginiony przed laty ojciec braci Kowalów.

– Zdaje się, że pański dziadek był Polakiem?

– Tak – potwierdził pan Smith. Wyjechał tuż po wybuchu wojny. A po wojnie...

Zu wstrzymała oddech...

– Dołączyła do niego żona z synem – dokończył gospodarz. Proszę obejrzeć zdjęcia. To oni przed naszym domem w Londynie.

Zu wypuściła powietrze. To nie mógł być Kowal senior, bo on przecież zostawił w Polsce żonę i dwóch synów. Fałszywy trop. Szkoda!

– A jak się nazywał pański dziadek? – zapytała jeszcze.

– Jak to jak? – zdziwił się Anglik. – Smith oczywiście!

– No tak. – Uśmiechnęła się Zuzanna. – Ale mnie chodziło o to, jak nazywał się po polsku. Bo wie pan, u nas Smithów raczej się nie spotyka.

– Już rozumiem, o co pani chodziło. Smith to angielska przeróbka jego nazwiska. Ale jak się nazywał wcześniej... Może to dziwne, ale nie pamiętam... Dziadek bardzo niechętnie o tym mówił. W ogóle bardzo się denerwował, jak ktoś próbował coś z niego wyciągnąć. Jakby chciał coś przed nami ukryć albo o czymś zapomnieć. Po jego śmierci nie znalazłem żadnych polskich dokumentów, tylko jedno zdjęcie kamienicy. Naprawdę wyglądała identycznie jak ta z pani zdjęcia. Dlatego chcę ją kupić.

– Dobrze, porozmawiam z właścicielami – podniosła się z fotela i już chciała się pożegnać, gdy nagle przypomniała sobie, że przecież jej kurtka jest w pralni. Na szczęście w tym samym momencie rozległo się stukanie do drzwi i weszła gospoia niosąc jej odzienie – czyste, suche i pachnące.

Zu założyła kurtkę, pożegnała się z panem Smithem i wyszła z domu. Idąc do furki, patrzyła uważnie pod nogi. Nie miała ochoty na kolejny kontakt z kupą Baški. Gdy była w połowie drogi do przystanku, nagle z jednego z domów, które mijała, wyszła... pani Alina Kowal. Miała na sobie identyczny zielony płaszcz jak gospoia pana Smitha.

– Dzień dobry pani. – Uśmiechnęła się do Zu, ale zaraz spoważniała. – Mam do pani prośbę. Nie wiem, czy mogę w ogóle o to prosić. Niech pani nie mówi Leszkowi o naszym spotkaniu. On nie wie, że ja tu pracuję jako gosposia. I lepiej, żeby nie wiedział.

– Chyba lepiej jednak byłoby, gdyby pani mu o tym powiedziała – poradziła Zu. – On panią podejrzewa, że go pani zdradza. Mówił mi ostatnio, że pani często wychodzi i to na pewno na spotkanie z kochankiem.

– Co? Przecież mu powiedziałam, że chodzę na aerobik do Klubu Seniora – zdziwiła się pani Alina.

– Niestety, wydało się. – Pokiwała smutno głową Zuza. – Sąsiadka tam chodzi i uprzejmie doniosła panu Leszkowi, że na oczy tam pani nie widziała. Niech pani biegnie do domu i wszystko mu wytłumaczy. Na pewno byłoby lepiej, żeby się dowiedział, że jego emerytura nie wystarcza na opłaty i jedzenia, niż żeby myślał, że go pani zdradza.

– Ma pani rację. – Pani Alinka uściśnęła Zu i widząc nadjeżdżający autobus, sięgnęła do kieszeni po bilet. W tym samym momencie Zu dostrzegła oderwaną kieszeń jej płaszcza. Natychmiast skojarzyła to z opowieścią Baśki o tym, jak szarpnęła za kieszeń faceta w kraciastym zielonym płaszczu, gdy wyciągała go z grobowca. Czy to mogła być pani Alinka? Zu nie mogła jej sobie jakoś wyobrazić snującej się wieczorami po cmentarzu. Ale, kto wie? Akurat panią Alinę (wzrost: sto osiemdziesiąt centymetrów, waga: półciężka) można było spokojnie wziąć z daleka albo po ciemku za faceta. Musi poprosić Karolka erotomana, żeby powiększył jej zdjęcie, które zrobił podczas pierwszej wizyty na Wesolej. Może wtedy uda się na nim rozpoznać panią Kowalową. A nuż ona też śledzi swojego męża, bo podejrzewa go o zdradę. Może w pewnym wieku ludzie popadają w taką obsesję?

Jeśli tak, to mam przechlapane – pomyślała, wsiadając do autobusu, żeby pojechać do biura. – Michał już teraz ma fiksum–dyrdum na punkcie moich gachów. A jak się zestarzeje, to będzie mnie chyba trzymał pod kluczem...

TTLR

Rozdział 28

PORWANIE MOPA, czyli...

CO POLICJANT MOŻE SPRZEDAĆ NA AUKCJI

– Ty stary erotomanie! – wrzasnęła Zu, gdy weszła do biura, widząc Karolka przy biurku. – Zabiję cię...

Zamilkła, widząc, że kolega daje jej jakieś rozpaczliwe znaki. Gdy wtargnęła do pokoju, wpadła wprost na znajomego posterunkowego Pawła Gawła.

– Yyyyyy... To znaczy, chciałam powiedzieć, dzień dobry – wyjąkała Zu i już zamierzała ewakuować się do sekretariatu, gdy nagle jej wzrok padł na biurko Karola.

– O rany! Co to jest? – zapytała na widok góry piętrzących się tam śmieci.

– A to, proszę pani, znaleźliśmy w melinie tych bezdomnych, co okradli państwa agencję. Przyniosłem tutaj, bo może znajdą państwo jakieś swoje rzeczy. Byłoby dobrze, bo my w komisariacie nie mamy tego gdzie trzymać.

– A inni okradzeni? – zapytała Anita, która do tej pory przysłuchiwała się rozmowie z sekretariatu, ale nie wytrzymała i gnana ciekawością przyczłapała do pokoju agentów. – Będzie pan z tym chodził po całym mieście? – wskazała na wielkie pudło, w którym policjant przytargał łupy odebrane bezdomnym.

Policjant uspokoił ją, że po mieście nie będzie chodził. A że inni poszkodowani się nie zgłosili, to odzyskane przedmioty trafią pewnie do jakiejś noclegowni dla bezdomnych albo na aukcję.

– Ciekawe, dlaczego nikt nie zgłosił, że go okradli? – zastanawiała się głośno Zu.

– A pani by poszła na policję, jakby pani zwinęli z balkonu majtki, nawet najładniejsze? Albo jakby pani zginęło wiadro z mopem spod drzwi, albo... – tu policjant pogrzebał przez chwilę na biurku i z triumfem wyciągnął małą paczuszkę i dokończył: – ...jakby pani ktoś z biurka zwinął paczkę prezerwatyw?

Karolek spojrział na kondomy i dostał nagłego ataku kaszlu. Wybiegł z pokoju do kuchni, a Anita popędziła za nim.

– Co się stało koledze? – zdziwił się posterunkowy.

– A nie, nic – uspokoiła go Zu, dusząc się ze śmiechu. Astmę ma biedak od dzieciństwa i pewnie dostał jakiegoś ataku.

– Na widok prezerwatywy?

– Może to uczulenia na lateks? – podpowiedziała błyskotliwie Zuzanna. – Koleżanka z nim poszła i na pewno mu pomoże. Szklanek wody mu poda albo masaż serca zrobi. Właściwie to dobrze, że zostaliśmy sami, bo ja mam do pana prywatną sprawę. – I uśmiechnęła się promiennie o policjanta.

Ten spojrział na prezerwatywy trzymane w ręce i na jego twarzy Zu dostrzegła wyraz lekkiej paniki.

– Nie, no wie pani, ja nie mogę, na służbie...

– Nie może pan przyjąć zgłoszenia? – zmartwiła się.

– A, to pani o zgłoszenie chodziło. – Posterunkowy odetchnął i z ulgą usiadł na krzeselku Karolka. – Zgłoszenie oczywiście przyjmę. Co się stało?

Zu opowiedziała mu o podejrzanych praktykach konkurencyjnej agencji nieruchomości, która naciągnęła panią Lewandowską na dwadzieścia tysięcy złotych. Ku jej wielkiemu zdumieniu policjant wyraźnie

się ucieszył. Może nie lubił emerytów, bo mieszkał z jakimiś przez ścianę, którzy włączali codziennie o szóstej rano Radio Maryja albo sadzili pod oknem wawrzynka wilcze łyko, na który to kwiatek policjant miał akurat ciężką alergię? Okazało się jednak, że niesprawiedliwie oceniła przedstawiciela władzy, przypisując mu tak niskie pobudki.

– Z nieba mi pani spadła. Mamy tę agencję od dawna na oku, ale do tej pory brakowało nam dowodów. Przychodzili ludzie, składali doniesienia, a potem wycofywali zeznania. Podejrzewam, że agencja tym najbardziej (za przeproszeniem) upierdliwym zwracała po prostu pieniądze, i to z nawiązką. Może chociaż pani emeryci nie wycofają się w ostatniej chwili. Niech ich pani do mnie przyśle.

– Wszystkich? – przeraziła się Zu, której przed oczami stanął posterunek policji okupowany przez emerytów. Chyba za dużo naoglądała się w telewizji manifestacji z udziałem słuchaczy Radia Maryja. – Nie boi się pan?

– Ja tam strachliwy nie jestem. Do nas na posterunek codziennie przechodzą tłumy emerytów. Są nawet tacy, co się zjawiają codziennie i jak nie przyjdą, to zaraz dzwoniemy do MOPS-u, żeby sprawdzili, co się z nimi dzieje. Mamy taką babcię, co przynajmniej raz w tygodniu zgłasza, że sąsiadka jej koguta ukradła. A znowu druga, że ktoś jej kwiaty na grobie męża podmienia na jakieś stare i uschnięte. Jest też osiemdziesięcioletni dziadek, który przynajmniej raz w miesiącu przychodzi poskarżyć się na swoje dzieci, że mu chowają sztuczną szczękę, żeby umarł z głodu, bo im się do spadku spieszy.

– To wesoło pan ma. – Zu pokiwała głową. – To, w takim razie, jak się pan nie boi, to ja panu przyślę tych moich emerytów.

– Dobra. A przyjrzała się pani? Może tu jeszcze jest coś z państwa biura.

Pogrzebała chwilę w złodziejskich łupach. Wyciągnęła czajnik bezprzewodowy – poznała go natychmiast po obudowie, która pękła, gdy Zu osobiście walnęła nim o podłogę. Znalazł się też dziurkacz, o kradzież którego oskarżali się nawzajem wszyscy w agencji. I elektryczna szczoteczka do zębów należąca do Mikulskiego.

– Chętnie zabrałabym stąd jeszcze kilka rzeczy, ale niestety nie są moje. A szkoda – westchnęła, patrząc z zachwytem na wyjątkowo paskudną fajansową figurkę żaby. Idealnie pasowałaby do jej kolekcji, która liczyła już około pięćdziesiąt płazów.

– Nic straconego – pocieszył ją policjant. – W przyszłym miesiącu urządzimy wielką aukcję. Wystawimy na sprzedaż wszystko, co nie znajdzie do tej pory swojego prawowitego właściciela. Zadzwoń do pani i powiem, kiedy to będzie. Tylko niech pani pamięta o płaceniu rachunków za telefon, bo inaczej pani wyłącza i się nie dodzwonię. – Puścił oko do Zu, pożegnał się i taszcząc pod pachą wielkie pudło, wyszedł z agencji.

Drzwi trzasnęły. W tym samym, jakby na umówiony sygnał, wyszli z kuchni Anita i Karolek.

– Poszedł już? – Anita rozejrzała się po biurze.

– No, nareszcie – stwierdził Karolek i sięgnął po paczkę prezerwatyw, którą policjant zostawił na jego biurku. Już zamierzał schować ją do kieszeni, gdy nagle drzwi otworzyły się i stanął w nich... posterunkowy. Spojrzał na Karolka.

– Wiedziałem, że czegoś zapomniałem. Ale jeśli to pańskie, to proszę zatrzymać.

– Nie, nie... – wydukał Karolek. – No skąd, proszę...

Policjant wrzucił prezerwatywy do swojego pudełka, pożegnał się i wyszedł. Przez chwilę wszyscy czekali, czy nie wróci, ale nie... Po kilku minutach usłyszeli szum silnika samochodu i posterunkowy odjechał.

– Co to ja miałam powiedzieć? – Zu spojrzała na współpracowników.
– A! Już wiem! Karolek! Ty stary erotomanie! Zabiję cię! Coś ty mi wgrał do mojej komórki?

– Ja do twojej komórki? Zwariowałaś? – Karolek wyraźnie postanowił iść w zaparte. – Nic ci nie wgrywałem.

– Tak? No to posłuchaj. – Zu sięgnęła po słuchawkę biurowego telefonu i wystukała swój numer. Po chwili rozległy się charakterystyczne jęki i posapywania.

– Wyłącz to. – Karolek sam sięgnął po telefon Zuzy i przerwał połączenie. – Ja to chciałem wgrać do telefonu Anity.

– Tak? – Anita pochyliła się nad Karolkiem, który siedział przy biurku.
– A po co? I z kim byłeś w łóżku, jak to nagrałeś?

– No co ty? Ja to ściągnąłem z Internetu – bronił się Karol.

– Nie kłam. Poznałam twój głos! – Anita przycisnęła nieszczęsnego agenta do biurka tak, że ledwo mógł oddychać.

Nie wiadomo, jak skończyłaby się ta kłótnia kochanków. Na szczęście, w tym momencie z gabinetu Mikulskiego rozległ się okrzyk:

– Anita, proszę tu do mnie z fakturami, szybko!

Sekretarka niechętnie opuściła pokój agentów. Karolek wyprostował się i odetchnął głęboko kilka razy.

– Będę jej to musiał później wytłumaczyć – stwierdził.

– Nie boisz się, że ci oczy wydrapie? – zdziwiła się Zu.

– Moja droga... – Karolek przybrał ton protekcyjny, którym chciał pewnie przykryć to, że chyba jednak trochę się obawiał konfrontacji z rozeźloną Anitą. – Uwierz mi, że ja umiem postępować z kobietami.

– Wierzę, wierzę. I z telefonami. Zmień mi ten sygnał, dobra? A później znajdź zdjęcie faceta, którego sfotografowałeś, jak byliśmy pierwszy raz na Wesołej.

Karolek zaczął coś bredzić o bezradnych kobietach, które bez mężczyzn by zginęły, ale widząc minę Zuzy, przestał i zabrał się do pracy. Najpierw wykasował melodyjkę z jej telefonu, a później zaczął szukać zdjęcia w komputerze.

– O to ci chodziło? – Otworzył plik.

– No. Możesz powiększyć tego faceta? Chciałabym się mu przyjrzeć. Podejrzewam, że... No, powiększ, powiększ jeszcze...

– Dobra, Sherlocku Holmesie. To jest maksymalne powiększenie. No i co?

Zu wpatrywała się w ekran, z którego patrzył na nią... Pan Leszek. A może to był pan Józef. Ciągle miała problemy z rozróżnieniem starszków. Nie, to nie mógł być pan Józef, bo jego zastali w domu. Ale to nie mógł też być jego brat, bo przecież on otworzył im bramę. A może zauważył ich i przebiegł przez cmentarz, żeby spotkać się z nimi pod bramą i dowiedzieć się, czego tu szukają? Tylko po co wystawał pod własną kamienicą i to w płaszczu żony? Może kogoś śledził? Brata, panią Alinkę? I po co? Podejrzewał, że żona go zdradza, ale z kim? Z jego bratem. Czyżby po sześćdziesiątce zaczynały w człowieku hormony buzować bardziej niż czterdzieści lat wcześniej? W takim razie, najlepsze jeszcze przed nią i przez Michałem!

– No i co powiesz? – dopytywał się Karolek.

- Powiem... Nagraj mi to na płytę.
- Ale po co ci to? – chciał koniecznie wiedzieć kolega.
- Zrobię sobie foto tapetę. No, nagrywaj, nagrywaj, bo ja już muszę spadać.

Karolek nagrał plik i podał jej płytę. Odgłosy dochodzące z gabinetu szefa wyraźnie wskazywały, że skończył naradę z Anitą i lada moment może się pojawić w pokoju agentów. Musiała szybko zniknąć, żeby nie znalazł jej jakiegoś zajęcia.

– Chcesz mnie zostawić samego z Anitą? Nie rób mi tego! – zaskomlał Karolek.

– Przecież ty umiesz postępować z kobietami. Masz ich w końcu tyle... Matylda, Anita i pewnie kilka innych. – Zu poklepała kolegę po ramieniu dla dodania mu otuchy w tych trudnych chwilach, które miały nadejść. – Powiedz szefowi, że poszłam na spotkanie z klientem.

– A jak spyta, z jakim?

– To powiedz, że z bardzo ważnym i bogatym. – I Zu zamknęła za sobą drzwi, w chwili gdy Mikulski otworzył swoje. Jeszcze zdołała usłyszeć na klatce schodowej pytanie szefa: „A gdzie jest Zuzanna?”. Przemknęła się na palcach pod oknami agencji. A gdy była już pewna, że z okien biura nikt jej już nie zobaczy, puściła się pędem do przystanku autobusowego. Ludzie patrzyli nieco zdziwieni na kobietę w krzywo zapiętej kurtce, która biegła ulicą, a o nogi objęła jej się torba z laptopem. Niektórzy pewnie na serio zastanawiali się, czy baba przypadkiem tego laptopa komuś nie buchnęła i czy w takim razie nie powinni dzwonić po policję? Ale w naszym ogarniętym znieczulicą społeczeństwie nikt nie zdobył się na ten prospołeczny uczynek. Na szczęście dla Zuzy...

Rozdział 29

KURCZAK SATANISTY, czyli...

JAK ZDOBYĆ NOBLA W DZIEDZINIE MEDYCYNY

– Słuchaj, nie uwierzysz w to, co zobaczysz! – powiedziała Zuza, odpalając w domu laptopa. – Zaraz pokażę ci zdjęcie, które zrobił Karolek.

– Poczekaj, niech zgadnę... Zaraz zobaczymy największe cycki na świecie, najdłuższe nogi i najkrótszy rozum.

– Mam nadzieję, że nie, ale po Karolku wszystkiego się można spodziewać. Uwaga! Otwieram!

– A ja zamykam... oczy, żeby się w kompleksy nie wpędzić.

– Ty, głupia, jakie kompleksy? Żaden normalny chłop nie chciałby dotknąć takiego wieszaka z biustem napompowanym silikonem – stwierdziła Zu. – Cholera, zawiesił się, muszę zrestartować.

– A nie lepiej kopnąć? Ja tak zawsze robię z lodówką, jak za głośno chodzi, albo z pralką, jak mi się nie chce odblokować. Ty naprawdę myślisz, że one wszystkie mają silikon zamiast cyków? – zainteresowała się Baśka.

– No pewnie. Przecież cycki są z tkanki tłuszczowej. To skąd taki tłuszcz mają wziąć te wszystkie anorektyczki? – Zuza wzruszyła ramionami. – Zresztą, ty akurat nie masz co narzekać. Nosisz rozmiar B, czyli idealny. W pralkę to ja też kopię i w lodówkę, jak za głośno chodzi. W laptopa nie próbowałam, bo jak leży na stole, to nogi tak wysoko nie podniosę.

– Ja też nie... Ale wiesz, jak patrzę na okładki pism dla facetów to chyba rozmiar idealny to gdzieś od D chyba jest. Ale jak to nosić? Takim silikonem to można później dziecko karmić? – zaczęła się zastanawiać młodsza siostra.

– Nie zastanawiałam się nad tym. Ale, jakby dobrze pomyśleć, to by wyjaśniało, dlaczego na świecie jest coraz więcej oszołomów. Po prostu w niemowlęctwie nażarli się silikonu.

– To jest myśl! Nobla w dziedzinie medycyny masz jak w banku. No i co? Masz to zdjęcie.

– Już się otwiera! Spójrz!

Baśka posłusznie patrzyła w milczeniu przez następną minutę.

– No i co? – zapytała w końcu zniecierpliwiona Zu. – Pan Leszek czy pan Józef?

– Moim zdaniem ani jeden, ani drugi. Przypatrzyłaś się uważnie temu zdjęciu?

– No...

– I co?

– I nic. A ty w tym facecie widzisz coś dziwnego?

– Nie mówię, że facet jest dziwny – odpowiedziała Baśka cierpliwie, jakby rozmawiała z idiotką. – Zdjęciu się przyjrzyj uważnie. Nic nie widzisz?

Zu latała z lupą po całym ekranie, ale nic nie przykuło jej uwagi. Wreszcie zniecierpliwiona Baśka odsunęła nierozgarniętą siostrę od laptopa i powiększyła fragment zdjęcia, na którym było widać okna mieszkania pana Józefa. – W oknie Zu dostrzegła niewyraźną sylwetkę właściciela.

– No, dobra jesteś. – Zu poklepała siostrzyczkę po plecach tak serdecznie, że ta aż jęknęła. – W takim razie, to musi być pan Leszek w płaszczu swojej żony. Mam rację?

– Dupa sałata, wcale nie masz. – I Baśka powiększyła inny fragment zdjęcia. Widać na nim było... pana Leszka, który zmierza do bramy kamienicy.

Zu wpatrywała się w monitor komputera, nie rozumiejąc nic tego, co na nim widzi.

– Pewnie ten durny Karolek zrobił ci kawał i wmontował w zdjęcie trzeciego brata Kowala – podpowiedziała jej Baśka.

–Ale skąd wzięłby ten płaszcz? Przecież to płaszcz pani Aliny! Sama ją w nim widziałam. I kieszeń miała oberwaną dokładnie tak, jak mówiłaś. Nie pamiętasz? Na cmentarzu!

Baśka popukała się w czoło i stwierdziła, że jak żywo nie goniła pani Kowalowej po żadnym cmentarzu. Dodała też, że nie zamierza tego robić w przyszłości. Wolą się od razu zabezpieczyć, bo nigdy nie było wiadomo, na jaki idiotyczny pomysł wpadnie jej starsza siostra.

– Nie mówię, że ją goniłaś. Goniłaś kogoś w jej płaszczu. Ale skąd ktoś miałby mieć jej płaszcz. Cholera, nic z tego nie rozumiem! Wiesz co? Jedziemy do pana Józefa! Wskakuj w kurtkę.

Baśka odpowiedziała, że w kurtkę owszem wskoczy, ale niestety nie po to, żeby pojechać do pana Józefa. Umówiła się na rozmowę w sprawie pracy i musi zaraz wychodzić, bo to po drugiej stronie miasta.

– Znowu sushi? – zapytała Zu.

– Nie, tym razem to kuchnia tajska – odpowiedziała Baśka. – Tak się zresztą to miejsce nazywa Tajska Kuchnia.

Zu stwierdziła, że w takim razie idzie z nią, bo jako żywo nie była w żadnej tajskiej knajpie. I zapytała siostrę, co tam serwują i czy to w ogóle jest jadalne. I czy aby Baśka upewniła się, że chodzi o jedzenie, a nie tajski masaż erotyczny wykonywany na kuchennym stole.

– Na przykład sałatka z ośmiornicy, zielony ryż i kurczak satay.

– Zielony, bo co? Spleśniał? A do tego kurczak satanisty? Czy ty na pewno chcesz tam iść? – dopytywała się Zu, biegnąc po schodach za siostrą.

Po czterdziestu minutach były na miejscu. Zaskoczona Zu rozglądała się po sali restauracyjnej. W końcu szturchnęła siostrę...

– Te, zobacz... Tu nie ma ani jednego krzesła. Może komornik im zabrał za długi. Nie zatrudniaj się tu, bo ci na pewno nie zapłacą ani grosza.

– Cicho, ignorantko – ofuknęła ją młodsza siostra. – Tu się siedzi na ziemi, na poduszkach.

W tym momencie wszedł właściciel i po krótkim powitaniu zaprosił je do stołu. Zu klapnęła na poduszkę, ale nie bardzo wiedziała, co ma zrobić z nogami. Wierciła się tak długo, aż zniecierpliwiona Baśka pokazała jej, że nogi wsuwa się pod stół. Właściciel z lewego profilu przypominał Chińczyka, a z prawego – Hindusa, oglądany *en face* był bardzo egzotyczny i przystojny. Doskonale mówił po polsku. Zu przysięgła sobie ,że nie ZOSTAWI TUTAJ SWOJEJ młodszej siostry. Rodzice nigdy by jej nie darowali tajskich wnuków. Tymczasem, robiło się coraz bardziej niebezpiecznie, bo Baśka i gospodarz dyskutowali zawzięcie nad technikami robienia krokiecików z ogonkiem. To brzmiało jak pozycja z tajskiego podręcznika seksu. Już zamierzała przerwać tę pogawędkę i wywlec stąd swoją siostrę choćby siłą, gdy nagle właściciele restauracji stwierdzili:

– W takim razie niech rozstrzygnie mój ojciec. To stary mistrz kucharski.

Zniknął, a po chwili wrócił z mężczyzną na oko starszym od siebie o kilka lat. Zu pomyślała, że pewnie ojca nie było, to brata przyprowadził. Szczeka jej opadła do samej ziemi (co prawda daleko nie miała), gdy przedstawił gościa właśnie jako swojego ojca. Rozpoczęła się dyskusja na tematy kulinarne, która nie kręciła Zu w ogóle. Była za to żywo zainteresowana tajskim sposobem na odmłodzenie. Po chwili „sposób”

pojawił się osobiście w drzwiach. Była to młoda i hoża słowiańska dziewczyna.

„No tak – pomyślała Zu. – Przy takiej żonie, to żaden facet nie ośmieli się być zgrzybiałym starcem. Mam nadzieję, że Michał za trzydzieści lat nie wpadnie na pomysł, żeby się tak odmłodzić!”.

Tak się zadumała, że kompletnie przeoczyła koniec dyskusji na temat krokietów z ogonkiem. Ale jakoś nie zrobiło jej się z tego powodu specjalnie przykro, jej umiejętności kulinarne ograniczały się bowiem do przypalania, przesalania i rozgotowywania.

– To ja przyjdę w poniedziałek rano – powiedziała Baśka.

– Czekamy – powiedział gospodarz. – Restaurację otwieramy o dziesiątej, więc proszę stawić się o ósmej.

Siostry wyszły z restauracji tajskiej. Szły przez chwilę w milczeniu, wreszcie Baśka odezwała się:

– To co teraz robimy? Jedziemy do pana Józefa? Chcesz porozmawiać z nim o tym zdjęciu, na którym pojawił się trzeci brat Kowal albo ktoś, kto wygląda jak trzeci brat.

– Zaraz, zaraz... Nie przerywaj mi, bo o czymś myślę... Jak byliśmy w tej tajskiej knajpie, to coś przyszło mi do głowy – powiedziała Zu.

– Przyszło, rozejrzało się i uciekło, bo stwierdziło, że w takiej pustej głowie nie ma czego szukać.

– Nie bredź, bo mnie rozpraszasz. Może sobie zaraz przypomnę. Powiedz mi... Ty naprawdę zamierzasz pracować w tej knajpie?

– No pewnie! Dlaczego nie? Właściciel sympatyczny, doskonale zna polski, bo studiował u nas. No i ojca ma bardzo sympatycznego. Ty widziałaś tę jego żonę? Ona jest młodsza ode mnie! Po co taki starzec bierze sobie babę, dla której mógłby być dziadkiem? – dziwiła się Baśka.

– Żeby się odmłodzić. Widziałaś, że on wygląda na starszego brata swojego syna? Właśnie o to mi chodziło! Może na tych zdjęciach jest ojciec pana Józefa! No, ten, co przepadł po wojnie!

– Żeby się aż tak odmłodzić, to chyba musiałby sobie wziąć taką żonę, co jeszcze pieluchy nosi. Przecież on musi mieć teraz najmniej około dziewięćdziesięciu lat!

– A jego synowie – po siedemdziesiąt – odparowała Zu.

– Naprawdę uważasz, że jest taka różnica w wyglądzie ludzi, co mają sześćdziesiąt i osiemdziesiąt lat?

– No dobra – zgodziła się młodsza siostra. – Ale po co on w takim razie chodzi pod tę kamienicę i to w płaszczu pani Aliny?

– Już wiem! Wyjechał w czasie wojny do Anglii, tam spotkał ojca tego Smitha. No wiesz. Pomagał im prowadzić zakład pogrzebowy, a oni w zamian zaopiekowali się nim, jak się zestarzał. Może ten Smith tylko tak ściemnia, że chce kupić kamienicę? A tak naprawdę, to czeka, aż ją odzyskają bracia Kowalowie. Zmusił ich ojca do podpisania zrzeczenia się kamienicy i w odpowiednim momencie ujawni się i powie: „Won! To moje!”. A starego ojca wysłała tam na przeszpiegi – snuła domysły Zu.

– I każe mu tam chodzić w płaszczu gosposi? – Baśka popukała się w czoło. – Twoja koncepcja nie trzyma się kupy.

– To wymyśl coś lepszego – spojrzała wyczekująco na siostrę, a że ta ograniczyła się w odpowiedzi do wzruszenia ramionami, Zuza powiedziała triumfująco: – A widzisz. Ja w każdym razie dzwonię po policję.

– I co im powiesz, stara wariatko? Że twoim zdaniem obywatel Zjednoczonego Królestwa przetrzymuje faceta, który zaginął siedemdziesiąt lat temu? I zmusza go, żeby chodził po mieście w płaszczu gosposi? Jeszcze cię do wariatkowa odwiozą!

– Co ty tam wiesz?! – ofuknęła ją Zu i wystukała numer posterunkowego. – Dobry wieczór! Już dzwoniли do pana ci moli znajomi emeryci? Umówił się pan z nimi na jutro? To super! Nie, no nie ma mi pan za co dziękować. To drobiazg. A jak już mówimy o drobiazgach... Prośbę mam do pana wielką! Czy mógłby pan zwrócić uwagę na jeden dom – i tu zdradziła policjantowi swoje podejrzenia i porosiła, żeby wybadał, kto mieszka razem ze Smithem. – Może pan powiedzieć, że były skargi na jego psa, on ma takiego wielkiego kudłacza, ma na imię Baśka. No, to do widzenia.

– Pies ma na imię Baśka? – Młodsza siostra postukała się w czoło. – Czy ich kompletnie pogięło?

– No co chcesz? O angielskim poczuciu humoru nie słyszałaś? O, mamy autobus! Lecimy, bo nam ucieknie!

Rozdział 30

RODZINNE PODOBIENSTWO, czyli...

JAK SZYBKO SPOWODOWAĆ KRYZYS DYPLOMATYCZNY

Następnego dnia obudził Zuzę dźwięk telefonu. Odebrała mocno zaspana.

– A, dzień dobry panu – ucieszyła się, słysząc głos posterunkowego. – Udało się panu czegoś dowiedzieć? Smith mieszka z ojcem staruszką i ten ojciec jest Anglikiem? Dziękuję panu bardzo.

Zwlokła się z łóżka i poczłapała do łazienki. Otworzyła drzwi i osłupiała. Przed lustrem stała Baśka w piżamie i wielkim kapeluszu.

– Zwariowałaś? – zapytała Zu.

– Chciałam tylko przymierzyć. Pan Józef jest kochany, że wygrzebał dla mnie na strychu ten stary kapelusz swojej matki. Na żywo wygląda nawet lepiej niż na zdjęciu.

– Chyba nie będziesz w nim chodzić?

– A dlaczego nie? Kapelusze są teraz bardzo modne. Ale na razie, to muszę go oddać do jakiejś specjalistycznej pralni, bo strasznie jest zakurzony.

W pokoju znowu zadzwonił telefon Zu. Zostawiła siostrę w łazience i poczłapała z powrotem. To był pan Smith, który chciał się koniecznie z nią zobaczyć.

– Pewnie będzie mnie piłował w sprawie tej kamienicy Kowalów – westchnęła Zu. – Idziesz ze mną?

– No pewnie! – Baśka zdjęła kapelusz i delikatnie ułożyła go na krześle. – A przy okazji, oddam mój kapelusz do czyszczenia. Zjesz śniadanie?

– Chorego się pytaj, a nie mnie. Zjem wszystko, czego sama nie muszę robić.

Zuza zadzwoniła jeszcze do pracy, żeby uprzedzić Anitę, że nie będzie jej przed południem w biurze, bo ma spotkanie z klientem.

– Ty to się potrafisz ustawić – westchnęła Anita. – A my tu mamy piekło! Mikulski od rana się ciska, że za mało się dzieje, za mało klientów.

– No bo kryzys jest!

– To może przyjdź i mu to wytłumacz, jak jesteś taka mądra – zaproponowała sekretarka.

– A nie, ja nie mogę. Będę po południu. Myślisz, że od tej pory to on przestanie się ciskać?

– Wątpię – wycedziła Anita. – Jak chcesz trafić na jego dobry humor, to przyjdź za dwa lata, jak się kryzys skończy. Cześć, muszę kończyć, bo woła mnie szef.

Koło dziesiątej Baśka i Zuza wyszły z domu. Na klatce schodowej natknęły się na panią Jarzębską, która czatowała pod drzwiami Roszkowskich. W ręku trzymała jakieś papiery.

– Pani Zuzanno! – odezwała się. – Ja mam prośbę, a właściwie pytanie. Przepraszam, że głowę zawracam. Może pani się spieszy?

– Nie, nie. Nie ma problemu. – Zu uśmiechnęła się do sąsiadki.

– Wiem, że pani pracuje w agencji nieruchomości i dlatego... Wrzucili mi do skrzynki o taką ulotkę. Niech pani powie, czy to się opłaca.

Zuza wzięła od staruszki kartkę i ku swojemu wielkiemu zdumieniu przeczytała ofertę agencji Zacisze. Tę samą, na którą już zdążyła się nabrać pani Lewandowska.

– To oszuści – powiedziała stanowczo. – Niech pani się nie da nabrać. Za te dwadzieścia tysięcy pokażą pani jakieś zrujnowane mieszkanie.

Powiem pani w tajemnicy, że policja już się nimi zajmuje. Niech pani ten papier wrzuci do kosza.

Sąsiadka podziękowała i pobiegła do mieszkania, żeby obdzwonić wszystkich swoich znajomych i ostrzec ich przed oszustami. Zu zamknęła drzwi i wsiadła do windy razem z Baską taszczącą pod pachą wielki kapelusz. Po godzinie dotarły do willi Smitha. Otworzył im sam gospodarz.

– Dzień dobry, dzień dobry – przywitał się. – Miło, że panie przyszły. To koleżanka z agencji, tak?

Nie czekając na odpowiedź, pomógł im zdjąć płaszcze i wziął od Baški kapelusz. Przyjrzał mu się uważnie i krzyknął:

– Ten kapelusz wygląda identycznie, jak kapelusz mojej babki!

– Naprawdę? – zdziwiła się zaintrygowana Zu.

– No tak! – Pan Smith był wyraźnie poruszony i oglądał nakrycie głowy ze wszystkich stron. – Zaraz wyciągnę zdjęcie, to się panie same przekonają. No, naprawdę! Identyczny. Nawet kwiaty upięte w tym samym miejscu!

Poprowadził ich do salonu, posadził w fotelach, a sam zajął się szukaniem fotografii. Spodziewały się, że wyciągnie z jakiejś komody albo biblioteczki stary album rodzinny. Tymczasem on podał im pojedyncze zdjęcie... Zu spojrzała i...

– To niemożliwe! To samo zdjęcie. No zobacz, Baška

– i podała siostrze fotografię, którą kilka dni wcześniej widziały w albumie, który wypadł z pawlacza w mieszkaniu pana Józefa prosto na głowę Baški.

– Ta sama! – potwierdziła siostra. – Na tym zdjęciu są rodzice pana Józefa.

– Myli się pani – odpowiedział chłodno pan Smith.

– Na tym zdjęciu są moi dziadkowie. Pewnie się pani pomyliła. Te stare fotografie są do siebie takie podobne.

– Na pewno ta sama – upierała się Zu. – Nawet data na odwrocie się zgadza. 27 lipca 1939 roku. To nie może być zbieg okoliczności!

W tym momencie usłyszeli kroki... Ktoś schodził po schodach. Po chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich... Pan Józef? Pan Leszek? Kimkolwiek był ten mężczyzna, przeszedł przez pokój, wyjął fotografię z ręki Zu i zniknął za drzwiami. Przez następne pięć minut siostry wpatrywały się w drzwi, za którymi zniknął, jakby spodziewały się, że starszy pan znowu się pojawi. I faktycznie... Drzwi otworzyły się znowu, sobowtór braci Kowalów pojawił się po raz kolejny. Tym razem zabrał kapelusz, który Baśka położyła na krześle obok siebie i ponownie opuścił salon...

– Przepraszam, to mój ojciec. Ma siedemdziesiąt lat i jest... — pan Smith zawiesił głos.

– Chory na Alzheimera? – dokończyła współczująco Baśka.

– Nie, no skąd – machnął ręką gospodarz. – Jest zdrowy jak koń i wyjątkowo, jak to się dzisiaj w Polsce mówi, wyjątkowo...

– Upierdliwy – podpowiedziała Baśka. – O przepraszam, zagalopowałam się. Nie chciałam obrazić pańskiego ojca.

– Nic się nie stało. Bardzo kocham ojca, ale niestety, z ogromnym żalem muszę przyznać, że właśnie to słowo najlepiej oddaje jego charakter.

– To jest pański ojciec? – wyjąkała Zu, która od kilku minut usiłowała wyjść z szoku. – Nie mogę w to uwierzyć!

– A co? Niepodobny jestem do ojca. Wiem, wszyscy to mówią.

– Nie chodzi o to, do kogo pan jest podobny. Raczej o to, do kogo podobny jest pański ojciec.

– Do kogo? – zainteresował się pan Smith.

– Proszę zobaczyć – Zu wyciągnęła komórkę i wyświetliła zdjęcia braci Kowalów.

Pan Smith przyglądał się przez chwilę, wreszcie wyprostował się i powiedział zimno:

– Nie wiem, o co pani chodzi. Nie pozwolę dręczyć mojego starego ojca. Niech panie wyjdą. Jutro wyjeżdżamy do Londynu. Widzę, że tutaj nie da się robić interesów.

Zu i Baśka niechętnie podniosły się z foteli i ruszyły w kierunku drzwi. Nagle Zu zatrzymała się i powiedziała stanowczo:

– Nie, nie wyjdziemy. Wiem, że pan przetrzymuje tutaj ojca naszych przyjaciół, braci Kowalów. Na pewno wbrew jego woli. Nie pozwolimy, żeby wywiózł go pan z Polski, zanim nie zobaczy się z synami.

– Co pani bredzi? Jacy synowie? Ja jestem jego jedynym synem! Słyszałem o Polakach, że to naród złodziei. Ale żeby ktoś ośmielił się podszywać pod moją rodzinę tylko dlatego, że jestem bogaty? Jak pani nie wyjdzie, to wezwę policję. Wariatka!

Zu stwierdziła, że w takim razie ona poczeka na policję. Baśka usiłowała ją wypchnąć na zewnątrz, ale Zu zaparła się w drzwiach i nie dała się ruszyć. Pan Smith sięgnął po komórkę, żeby wezwać policję. Posterunkowy Paweł Gawel zjawił się po kwadransie. Na widok Zuzanny westchnął ciężko.

– Przecież mówiłem pani, że pan Smith, obywatel brytyjski, nikogo tu nie przetrzymuje. Mieszka jedynie ze starym ojcem. Zgadza się panie Smith?

– Jak najbardziej! Proszę zabrać te panie. A ja, swoją drogą, jutro przed odlotem zadzwonię do pani szefa i opowiem o tym, jak pani dzisiaj wdarła się do mojego domu.

Posterunkowy wyprowadził Zużę i Bażkę z willi...

– Aresztuje pan moją siostrę wariatkę? – zapytała Bażka.

– Nie, pani siostra i bez tego będzie miała duże kłopoty. Pewnie wyleci z pracy. No, chyba, że pan Smith złoży oficjalne doniesienie do prokuratury, ale może nie zdąży, bo jutro wraca do Londynu.

Policjant wsiadł do samochodu i odjechał, a Zu i Bażka ruszyły w stronę przystanku autobusowego.

– Wracamy do domu? – upewniła się Bażka.

– No co ty? Jedziemy do pana Józefa. Umówiłam się tam z panem Leszkiem i oni na nas czekają.

– I co im chcesz powiedzieć? – prychnęła młodsza siostra.

– Prawdę! – krzyknęła Zu. – Ja tego tak nie zostawię. Jak będzie trzeba, to odbijemy ich ojca.

– Wiesz co, zgadzam się z tym Smithem. Ty jesteś stara wariatka.

– No, no, nie pozwalaj sobie. – Zu walnęła ją torebką. – Tylko nie stara, tylko nie stara!

Rozdział 31

KREWNIACY, czyli...

KTO PRZED WOJNĄ WOZIŁ OWSIANKĘ CIĘŻARÓWKĄ

Zu i Baśka wysiadły z zatłoczonego autobusu w pobliżu domu pana Józefa. Jak zwykle, pod bramą kamienicy zatrzymała je wielka kłódka na grubym łańcuchu.

– Znowu przez cmentarz? – jęknęła Baśka.

– Nie marudź! – ofuknęła ją starsza siostra. – Przyzwyczajaj się, bo kiedyś też tam będziesz leżeć.

Baśka chciała coś odpowiedzieć, ale w tym samym momencie podszedł do nich pan Leszek.

– A, dobry wieczór panu – ucieszyła się Zu. – Właśnie idziemy do pana Józefa. Z nieba nam pan spadł, bo Baśka nie chce iść przez cmentarz – nagle urwała, bo dostrzegła, co mężczyzna miał w ręce. To był kapelusz matki panów Józefa i Leszka. Ten człowiek był ich sobowtórem.

– Przepraszam – odezwał się idealną polszczyzną. – Słyszałem przez drzwi, co pani mówiła. Jechałem za panią taksówką... Chyba najwyższy czas, żebym spotkał się ze swoimi braćmi.

– Braćmi? – wyjąkała Baśka.

– Tak – potwierdził mężczyzna. – Jestem Karol Kowal. Urodziłem się w tym domu w 1938 roku. Możemy wejść na górę? Postaram się wszystko wyjaśnić.

Cała trójka przeszła w milczeniu przez cmentarz. Przez teren zakładu pogrzebowego weszli do kamienicy... Wspięli się na drugie piętro. Zu już zamierzała zadzwonić do drzwi, ale spojrzała na Karola Kowala i cofnęła rękę.

– Całymi latami chciałem wejść po tych schodach, zadzwonić do drzwi i zobaczyć mamę. O cholera, ale się zrobiłem na starość sentymentalny! – Nacisnął dzwonek, ale nie rozległ się żaden dźwięk. – No tak! W naszej rodzinie wszyscy są beztalenciami w dziedzinie techniki. Jedynie trumny zawsze dobrze nam wychodziły! – I zapukał głośno w drzwi. Otworzył pan Józef.

– Leszek, co się wygłupiasz, przecież masz klucz. Po co... – tu urwał, bo zobaczył, że po schodach wspina się jego brat, mąż Aliny z Piskorskich Kowalowej. – Co to ma znaczyć? Kim pan jest?

Zu zobaczyła, że na schodach zrobiło się zbiegowisko. Zaczęli wyglądać sąsiedzi...

– Panie Józefie, może wejdziemy wszyscy do środka i porozmawiamy? – zasugerowała szeptem. – To na pewno wszystko uda się wyjaśnić.

Po chwili w przedpokoju stało trzech braci Kowalów – pod jedną ścianą pan Leszek i pan Józef, pod drugą – pan Karol. Dla zachowania równowagi Zu stanęła „w drużynie” pana Leszka, a Baśka – pana Karola. Choć Zuza zawsze podejrzewała, że młodsza siostra nie tyle chciała wesprzeć przybysza, ile po prostu pilnowała kapelusza.

– Już sobie przypominam – powiedział po długiej chwili milczenia pan Józef. – To ty zrobiłeś mi dziurę w głowie drewnianą ciężarówką.

– To była moja ciężarówka, a ty wlałeś do niej owsiankę, którą mama dała ci na śniadanie. Myślałeś, że się nie wyda, że jej nie zjadłeś – odpowiedział pan Karol.

– I wcale by się nie wydało, ale na mnie naskarżyłeś!

– Ja też już sobie przypominam! – włączył się pan Leszek. – Dokładnie pamiętam, że bez przerwy się kłóciliście. A Józek wypchnął cię z okna w Świdrze!

– Zgadza się – pan Karol podwinął rękaw. – Do dzisiaj mam ślad. Właściwie w pewnym momencie nawet zacząłem się cieszyć, że go mam. To pozwalało mi pamiętać, kim jestem, kim są moi rodzice. Szczególnie, jak po wojnie ojciec zabrał mnie ze sobą do Anglii. Wam tu nie było lekko, ale mnie też nie... Pewnie nie pamiętacie ojca...

– Mnie się raz przyśnił – powiedział cicho pan Leszek. – Stał obok mojego łóżka i patrzył, a później cicho zamknął drzwi.

– Ja miałem taki sam sen – krzyknął pan Józef.

– Bo to nie był żaden sen. Ja też pamiętam, jak ojciec stał obok waszych łóżek, a mama pakowała moje rzeczy. Później długo mnie przytulała. W końcu ojciec wziął mnie za rękę i razem wyszliśmy. Nie wiedziałem, że wrócę tu dopiero po siedemdziesięciu latach.

– Ale dlaczego nie zabrał nas wszystkich? – zapytał pan Józef. – Dlaczego zostawił mamę?

Pan Karol usiadł w fotelu. Milczał przez chwilę, a gdy się znowu odezwał, Zu miała wrażenie, że czas cofnął się o kilkadziesiąt lat... Był rok 1939... Młody Bronisław Kował został zmobilizowany. W domu zostawił żonę i syna Karola. Nie wiedział, że jego żona była w ciąży i kilka miesięcy później urodziła bliźniaki – dwóch synów. Bronisław przedostał się do Anglii. Po wojnie postanowił wrócić do Polski po zostawioną tam rodzinę. Załatwił lewe paszporty dla żony i syna.

– Ale w domu czekało na niego trzech synów – stwierdził pan Leszek. – Teraz rozumiem, dlaczego nas nie zabrał.

– Nie miał możliwości załatwienia dokumentów dla wszystkich, a mama nie chciała jechać bez was. Zamiast niej pojechała jej siostra – ciotka Irena.

– I to ona była na zdjęciach, które pokazywał nam pański ojciec, tych robionych po wojnie! – krzyknęła Zu.

– Tak. Ojciec nie kontaktował się z wami, ponieważ bał się o wasze bezpieczeństwo, a szczególnie matki. W wydziale paszportowym w każdej chwili mogli dogrzebać się w papierach do informacji, że ktoś wyjechał na jej paszport do Londynu. Nie wiadomo, co stałoby się wtedy z całą waszą trójką.

– Ale jak już byłeś w Polsce, to dlaczego od razu do nas nie przyszedłeś? – zapytał pan Leszek.

– Nie wiedziałem, czy w ogóle mnie pamiętacie i czy nie macie żalu, że wtedy ja wyjechałem z ojcem. Ale często zakradałem się i czekałem pod domem.

– To pan przychodził w tym zielonym płaszczu i to pana goniła Baśka po cmentarzu? – domyśliła się Zu.

– Tak – przyznał niechętnie pan Karol. – Syn nie pozwalał mi samemu wychodzić i chował mój płaszcz. To brałem płaszcz gosposi...

Przez resztę nocy bracia składali brakujące kawałki swojego życia – Leszek i Józef uzupełniali je wspomnieniami o ojcu, a Karol o matce. Baśka i Zuza przysłuchiwały się w milczeniu. Nagle Zu podskoczyła na krześle.

– Przepraszam, panie Karolu... Czy pański syn wie, gdzie pan jest?

– Nie, wymknąłem się za panią, jak poszedł do telefonu rezerwować bilety!

– Olaboga! To pana już policja w całym mieście szuka!

– Eee, polska policja. – Uśmiechnął się pan Karol. – Przecież oni nawet trupa powieszzonego na latarni nie znajdują. Wiem, bo oglądałem różne komedie o milicjantach i policjantach.

– Obawiam się, że pańska wiedza o naszych organach ścigania jest trochę zakurzona. Chciałabym się mylić, ale pewnie lada moment wpadną tu antyterrorysty w kominiarkach.

Ledwo to powiedziała, gdy rozległ się łomot do drzwi... Wszyscy zdrętwieli ze strachu... Łomot powtórzył się...

– Panie Józefie, panie Józefie, jakieś łobuzy kradną pana makulaturę – za drzwiami rozległ się głos sąsiada.

Bracia Kowalowie rzucili się w stronę drzwi. Baśka i Zu obserwowały przez okno akcję pościgu za łobuzami na cmentarzu.

– Chyba ich już zostawimy samych, co? – odezwała się Baśka.

– Chyba tak. Poczekaj, tylko zadzwonię do Smitha, zanim zgłosi porwanie ojca. Wybrała numer.

– To pani – odezwał się niechętny głos po drugiej stronie. – Jeśli chce mnie pani prosić, żebym nie składał skargi na panią...

– Nie – przerwała mu Zu. – Może się pan poskarżyć, jeśli pan chce. Ja mam dla pana informację na temat pańskiego ojca.

– Mój ojciec śpi w swoim pokoju i proszę go nie niepokoić.

– Jest pan pewny? Może proszę iść sprawdzić...

Pan Smith odłożył komórkę. Było słychać jak człapie powoli po schodach. Po chwili wrócił zdyszany: – Gdzie jest mój ojciec? Proszę szybko mówić, bo wezwę policję.

– Pański ojciec cały i zdrowy goni po cmentarzu złodziei makulatury. Wiem, że trudno w to uwierzyć.

– Niestety nie – sapnął pan Smith. – Akurat jeśli chodzi o mojego ojca, to jest do czegoś takiego zdolny. Gdzie on jest? Zaraz po niego przyjadę.

Zu podała mu adres i rozłączyła się. W tej samej chwili wrócili zdyszani bracia Kowalowie. Zuza powiedziała, że one już idą, ale lada moment zjawi się tu syn pana Karola.

– To ty masz syna? – ucieszyli się Leszek i Józef.

– Tak – przyznał Karol. – To stara zrzęda i nudziarz. Zresztą sami się przekonacie.

Zu i Baśka wyszły, zamykając za sobą cicho drzwi.

– Czy ty myślisz, że pan Smith ucieszy się, że ma dwóch stryjów?

– Myślę, że raczej się załamię, jak się przekona, że są podobni do jego ojca – zachichotała młodsza siostra.

– Mnie to jeszcze jedna rzecz ciekawi... – zamyśliła się Zu i przystanęła na schodach. – Ta oberwana kieszeń w płaszczu pani Aliny. Cały czas myślałam, że to ty ją urwałaś wtedy na cmentarzu. Ale nie, bo pan Karol był przecież w płaszczu gosposi. Chyba że latałaś po całym mieście i obrywałaś kieszenie bogu ducha winnym ludziom...

– Uważaj, bo zepchnę cię ze schodów! I jeszcze każdy, kto cię zna, zaświadczy, że na pewno sama spadłaś, bo to akurat do ciebie podobne, jełopo.

Zu zamierzała coś odpowiedzieć swojej wrednej młodszej siostrze, ale nagle usłyszały głos pani Aliny, która wspinała się na górę.

– No ja ją chyba zamorduję. Znowu włożyła mój płaszcz. Trzeci raz w tym tygodniu!

– Kto włożył pani płaszcz? – zapytała ze współczuciem Baśka.

– No gosposia tego Anglika, co to mieszka niedaleko ludzi, u których sprzątam – odpowiedziała poirytowana pani Kowalowa. – Wpada

codziennie na kawkę i herbatkę, a jak wychodzi, to mój płaszcz zakłada zamiast swojego. Identyczne mamy, na bazarku kupione. A ostatnio, to mi nawet kieszeń urwała! O, niech pani zobaczy...

Zu, dusząc się ze śmiechu, chciała powiedzieć, że Baśka tej kieszeni oglądać nie musi, bo ją sama oberwała, ale siostra uciszyła ją mocnym kopnięciem w goleń.

– Bardzo przykra sprawa, ale tacy są ludzie – stwierdziła Baśka. – Idzie pani do pana Józefa.

– Tak, jest w domu?

– Jest, jest i to nie sam. Będzie pani miała niespodziankę – roześmiała się Zu.

Jaką niespodziankę? Popili się czy co?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy – uspokoiła ją Baśka. – Proszę się nie denerwować.

– Jak ja się mam nie denerwować? – westchnęła pani Alina. – Przecież jak oni się spotkają, to mam wrażenie, że ich nie jest dwóch, ale z dziesięciu, taki kołomot robią.

– No dziesięciu nie, ale trzech na pewno – stwierdziła Zu, ale pani Alina już tego nie słyszała, bo szybkim krokiem zmierzała do mieszkania szwagra.

Rozdział 32

POGOŃ ZA PIENIĘDZMI, czyli...

JAKIE SĄ SKUTKI NIEZNAJOMOŚCI JĘZYKÓW OBCYCH

Następnego dnia Zu obudziło dzwonienie.

– Cholera! – mruknęła i wystawiła głowę spod kołdry. – Co jest, no kurcze blade? Przecież nie nastawiałam budzika, bo i tak wyleją mnie z roboty. Sam dzwoni czy co? Wzięła do ręki budzik, ale ten milczał jak zaklęty. Za to telefon komórkowy latał po całym stole, bo Karolek (co prawda) zlikwidował jęki i posapywania, ale w zamian przestawił aparat na tryb wibracyjny. Zu złapała komórkę w ostatniej chwili, bo już balansowała na krawędzi stołu.

– Tak słuuucham? – ziewnęła do aparatu.

– Cześć kocie–Zuzocie – popłynął do niej głos wprost z Londynu. – Właśnie wyciąłem trzeci wyrostek tej nocy i nagle poczułem, że koniecznie muszę do ciebie zadzwonić.

– To słodkie, Michu, tylko powiedz, w jaki sposób ja ci się z tymi trzema wyrostkami skojarzyłam? – Zu podciągnęła spodnie od piżamy.

– Nie z wyrostkiem, ale powiedzmy z jego bliskimi okolicami – szepnął Michał.

– Rany boskie! Z jelitem grubym ci się kojarzę? Nie! Albo – nie daj Boże – z pęcherzem?

– Kochanie, jesteś uosobieniem romantyzmu – stwierdził Michał. – Teraz, jak będę się z tobą kładł do łóżka, zawsze pomyślę o twoim jelicie grubym. Lepiej powiedz, co u ciebie. Jak tam tajemnica pana Smitha?

– Rozwiązana. Pan Smith starszy okazał się być bratem moich znajomych – niejakich braci Kowalów.

Zu streściła mężowi wydarzenia poprzedniego popołudnia.

– No i on, znaczy ich ojciec, po powrocie do Anglii zmienił nazwisko na Smith. Ciekawe dlaczego na Smith? Ładniejszych nie było?

– Bo Smith, ty lingwistyczna ignorantko, to po polsku Kowal. Szkoda, że mi tego wcześniej nie powiedziałaś, bo od razu bym skojarzył, gdzie się podział ten Polak, o którym opowiadał mi wikary. Ale może i dobrze, że tego nie wiedziałaś, bo historia była bardziej emocjonująca.

– No, ale może, jakby się to wyjaśniło wcześniej, to nie wywaliliby mnie z roboty – westchnęła Zu. – A tak, to Smith już zdążył zadzwonić do Mikulskiego i na biurku czeka na mnie wypowiedzenie.

Istotnie, gdy Zuza dojrzała do pracy, czekała na nią na biurku koperta, podpisana ręką szefa: „Dla Zuzanny”.

– Co to jest? – zapytała podejrzliwie i na wszelki wypadek odsunęła kopertę na drugi koniec biurka.

– Nie wiem. – Anita wzruszyła ramionami. – Chyba nie bomba, bo nie tyka i nie węglik, bo się nic w środku nie przesypuje. Otwórz, to się dowiesz.

– Nie muszę otwierać – westchnęła Zu i w kurtce klapnęła na krzesło Karolka, żeby być jak najdalej od feralnej koperty. – To wypowiedzenie.

– Że co? – zapytał Karolek, wchodząc do biura i siadając z konieczności przy biurku Zuzy.

– Że mnie wylał! – przetłumaczyła Zu z polskiego na nasze. A widząc zaskoczone miny współpracowników, po raz kolejny opowiedziała, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Zakończyła. – I teraz oni sobie pojedą do Anglii i ja chyba też.

– A co? Zaprosili cię – zapytała z zazdrością Anita.

– Eee tam! Ja pojedę na zmywak do Londynu, bo tu żadna agencja mnie nie zatrudni, jak Mikulski rozpuści wici, co nawywijałam.

– Ale wiesz co? Ciebie z tego zmywaka to po jednym dniu też wywałą. U nas tłuczesz średnio trzy kubki tygodniowo, to byś ich puściła z torbami – prorokował ponuro kolega.

Zu zamierzyła się na niego koszem ze śmieciami, niestety pełnym. Po całej podłodze rozsypały się papiery, ogryzki i zużyte chusteczki do nosa. W tym samym momencie pod oknem usłyszeli samochód Mikulskiego. Cała trójka rzuciła się na kolana. Tak ich zastał szef. Spojrzał na nich podejrzliwie.

– Klientów na tej podłodze raczej nie znajdziecie. Może lepiej usiądźcie przy biurkach i weźcie się do roboty. I wyrzucicie te śmieci, zanim was zasypią.

Zu chwyciła kosz i ruszyła w stronę drzwi. Po chwili zawahała się, spojrzała na swoje biurko i wróciła. Do śmieci dorzuciła kopertę z wypowiedzeniem i ruszyła do śmietnika. Gdy wróciła, już w drzwiach usłyszała:

– Zuza do szefa. Czeka na ciebie.

Najwolniej jak potrafiła weszła do gabinetu prezesa. Miał krawat w żółte słoneczniki i wyjątkowo dobry humor.

Cieszy się, że mnie wylał? Parszywy sadysta i dupek. Dupek i sadysta! – pomyślała w duchu.

– No, siadaj, siadaj. Dzwonił do mnie z samego rana pan Smith.

– Wiedziałam, że zadzwoni – powiedziała Zu, a pod nosem dodała: – Angol pieprzony!

– Co mówisz? Zresztą, nieważne! Pan Smith prosił, żeby ci podziękować. Ponoć wspaniale zajęłaś się sprawami jego, jego ojca i dwóch

stryjów. Nie wiem, skąd mu się ci stryjowie wzięli, bo nic o nich nie mówił, ale mniejsza o to. Ja w każdym razie jestem bardzo zadowolony z twojej pracy i jak już pewnie wiesz – dostałaś premię i podwyżkę.

– Premię? – zdziwiła się Zuza.

– No tak, zostawiłem w kopercie na twoim biurku. Chciałbym, żebyś...

– ale prezes nie zdążył wyrazić swojego życzenia, bo jego pracownica zerwała się z krzesła, trzasnęła drzwiami i wypadła z biura jak szalona. Mikulski westchnął: – Zwariowała ze szczęścia czy co? Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, że jej dałem tę podwyżkę.

Zuza tymczasem biegła w stronę śmietnika. Stała tam właśnie wielka śmieciara, a panowie w przybrudzonych kombinezonach pakowali do niej worki ze śmieciami. Wyrwała jednemu z nich ten, który przed chwilą sama wyrzuciła i wysypała go na chodnik. Panowie patrzyli z zainteresowaniem.

– Te, Staszek! – odezwał się jeden z nich. – Co ta kobita robi?

– A to pewnie jakaś ekologia jest – odpowiedział drugi.

– Ekologia? – zdziwił się pierwszy.

– No. Śmieci będzie oglądać. Nie słyszałeś na ostatnim szkoleniu?

– Nie, w kącie przysnąłem, bo dziecku zęby wychodzą i po nocach spać nie daje. A jak poogląda to co?

– A nie wiem. Zobaczymy.

Zu tymczasem wyłowiła bezcenny, a raczej bardzo cenny list od szefa, wytarła rękawem ślady po kefirze i schowała przesyłkę do kieszeni. Resztę śmieci wrzuciła do worka, oddała najbliższemu śmieciarzowi i ruszyła w stronę biura.

– Wariatka jakaś – skomentował Staszek. – Jakby puszki wygrzebała albo butelki, to jeszcze bym zrozumiał. Sprzedać można i na piwo jest. Ale papier? Wariatka.

Śmieciarze odjechali, a Zuza otworzyła drzwi od klatki. Już miała je zamknąć za sobą, gdy nagle coś przykuło jej uwagę. Pod komendę policji zmierzał jakiś tłum.

– Manifestacja czy ki czort? – zastanawiała się. Spojrzała jeszcze raz i na czele pochodu ujrzała panią Lewandowską, sąsiadkę swojej teściowej. A obok niej – panią Jarzębską. – Aha, to moi emeryci idą na spotkanie z sierżantem. Niech go ma w swojej opiece Archanioł Gabriel, patron policjantów i jeszcze na wszelki wypadek Święty Antoni, patron spraw beznadziejnych...

TTLR